

Krystyna Boglar

Dalej są tylko smoki...

1997 r.

TMN

*Kiedy kartografom kończy się mapa, piszą:
dalej są tylko smoki.
Al Idrisi ok. 1154r.
(kartograf arabski)*

*„A wjechawszy do Jeruzalem z wielkim
pocztem i z bogactwem, a wielbłądownie
nieśli rzeczy wonne i złota niezmiernie
wiele, i kamienie drogie... nie przyszło
nigdy potem tak wiele rzeczy jako te,
które dała królowa Saby
królowi Salomonowi.”
Księgi Salomonowe*

Siedziała na tarasie hotelowej restauracji Alpenrose i jak zahipnotyzowana wpatrywała się w pasmo mgły zakrywające magiczną, jak tu nazywano, górę Matterhorn.

— Pokażesz się czy nie? — wymruczała zniecierpliwiona. — Do diabła, nie mam tyle czasu!

Pomarańczowe plastikowe krzeselka nie należały do najwygodniejszych, a na białym, prostokątnym blacie stolika widniały parujące niechętnie w porannym słońcu resztki śniegu. Był koniec maja, w szwajcarskich dolinach dobrze utrzymane beżowe krowy ze znużeniem przeżuwały świeżą trawę. Ale tu, w Zermatt, na wysokości tysiąca sześciuset dwudziestu metrów śnieg zalegał nie tylko okoliczne czterotysięczniki, ale nawet chodniki miasteczka. Jezdni nie. Tę, od wczesnego ranka, czyścili lekkie pług.

Zermatt lśnił w promieniach wiosennego słońca. Wszystkie domy leżące wzdłuż jezdnej drogi prowadzącej do Winkelmatten, skąd wyrusza kolejka linowa na Furi, miały tylko jedno zadanie: przenocować, nakarmić, zaopatrzyć w każdą liczącą się walutę, sprzedać, co się da, i zgarnąć szmal. Bo tak naprawdę wyłącznie to się liczy. Jak w każdym ośrodku narciarstwa i turystyki. Z tym że ten żyje w blasku sławy magicznej góry: Matterhornu. Wierzchołkowi, na którym wciąż giną wspinacze, podporządkowano wszystko. Zadbano nawet o ekologię. Dlatego nie ma tu samochodów. Oczywiście nie licząc taksówek elektrycznych. W Zermatt nie ma parkingów. Samochody zostawia się w Täsch, skąd pociąg elektryczny zabiera turystów i ich bagaże.

Bo magicznej góry nie może przesłonić smog. Ale wciąż, aż do znużenia, przesłania ją mgła. I szalejąca powyżej trzech tysięcy metrów zadymka.

Pojawiła się zaniepokojona kelnerka. Omiotła ściereczką sąsiedni stolik, przy którym usiadł nobliwy starszy pan.

— Co podać?

— Kawę. Ze śmietanką.

Agata odwróciła głowę. Ten facet jechał ze mną kolejką z Täsch. Miał mało bagażu. Ale zapamiętałam jego torbę w intensywnie zielonym kolorze. Z prawdziwej skóry.

Krokodylowej. Takie sprzedają w najelegantszych sklepach Kairu. Była najwyraźniej zbyt ciężka dla mocno starszego pana. Toteż zasapał się, zanim ją wyniósł na peron.

Mężczyzna zdjął kapelusz i lekko skinął głową. Miał miły uśmiech i równiutkie, zbyt białe, by były prawdziwe, zęby.

— Czeka pani na cud, madame?

Agata potarła zmarznięte dłonie. Gdzieś schowała rękawiczki i, jak zwykle, nie pamiętała gdzie. Odparła w szkolnej niemczyźnie, bo nie był to język jej życia:

— Myślałam, że się pokaże. Ta święta góra Szwajcarów.

— Błąd, madame! Naszą narodową świętością są wyłącznie banki. Im głębsze mają podziemne sejfy, tym lepiej. A tak między nami mówiąc, Matterhorn nie jest tu górą najwyższą. Gdyby była lepsza widoczność, zobaczyłaby pani szczyt Monte Rosa.

Agata posłała mu uśmiech. Odsunęła pustą filiżankę.

— Wiem. Ale wygląda jak stara, rozłożysta kobyła. Widziałam na zdjęciu. Matterhorn jest smukły, elegancki...

Kobyła wyraźnie rozśmieszyła Szwajcara.

— Pozwoli pani, że się przysiadę. I przedstawię: Cornelius Tschudi, jeśli mogę...

— Profesor Tschudi? — przerwała zdziwiona. Powinnam się była domyślić, że to ktoś z branży. Oddawał przecież bagaż tam gdzie ja.

— Do usług. Madame... też na konferencję? Niech zgadnę... Austria? Nie. Pani niemiecki jest zbyt... słowiański. Praga? Też nie. Moskwa odpada, bo jedynym przedstawicielem jest Jurij... więc... już wiem! Polska!

Agata skwapliwie uściśniła wąską i wcale nie tak starczą dłoń.

— Jest pan nie tylko znanym egiptologiem i świetnym antropologiem, lecz również... detektywem! Nazywam się Agata Lubecka. Ukończyłam orientalistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim...

— Stary, piękny Kraków! — rozczulił się Cornelius, siadając ostrożnie. Bał się widocznie, że delikatny, pomarańczowy plastik pęknie z hukiem, a on, gwiazda uczonych z Zurychu i Lejdy, wyląduje na betonie. — Jadłem tam najlepsze eskalopki ze szparagami!

— To jeszcze jedna z pańskich pasji, profesorze? — Agata zaciągnęła zamek puchowej kurtki. Gratulowała sobie, że ją wzięła, choć należała raczej do strojów turystycznych niż konferencyjnych.

— O tak! Lubię dobre jedzenie. I sam bywam niezłym kucharzem. Moja żona, Lieselotte, twierdzi, że się marnuję na uniwersytecie. Co pani, madame, sądzi o pomysle przejazdu z Zermatt do Sankt Moritz słynnym Glacier Expressem?

Agata uśmiechnęła się. Zerknęła na miejsce, gdzie powinien ukazać się tajemniczy szczyt. Cóż, mgła nie podniosła się ani o centymetr.

— Trochę się zdziwiłam. Miejscem konferencji także. Dlaczego Sankt Moritz? A nie Genewa, Zurych czy Berno...

— Bo to byłby banał, madame. A ja nie cierpię banałów!

— Pan to wymyślił, profesorze Tschudi?

— Jak najbardziej. A właściwie moja żona, Lieselotte. „Dobry Boże, Corneliusie — powiedziała przy porannej kawie — czy chcesz, aby ci wszyscy naukowcy rozpiechli się nocą po spelunkach dla narkomanów? Ile razy można oglądać tę berneńską sturówkę z fontannami, wieżę zegarową i piętnastowieczną katedrę, choćby i najbardziej gotycką. A Genewa? Zegar kwiatowy, fontanna na jeziorze i Palais des Nations z trzema tysiącami okropnych nierobów..”

Agata wybuchła śmiechem.

— Pańska żona miała na myśli urzędników ONZ?

— Naturalnie. Powiedziała rozsądnie: „Corneliusie, stary osłe, zabierz ich wszystkich tam, gdzie się nie rozpełzną. Do Sankt Moritz. Jest tam dostatecznie drogo, gdyż niczego poniżej futra z norek kupić się nie da. Więc nie będą łązić po sklepach. Najwyżej, sapiąc, spróbują wspiąć się na górę. Ale trzeba im zapewnić luksusowe warunki. Skoro przewidziałeś tylko dwudziestu trzech gości, Szwajcarię stać będzie na słynny Badrutt's Palace. Spędzicie tam milutki tydzień i załatwicie to, na czym ci zależy”.

— A na czym panu zależy, profesorze?

Spojrzał na nią spod oka. Jego bardzo błękitne tęczęwki miały chłód lodowca.

— Nie wie pani, Agatho Christie?

Zdziwiła się.

— Dlaczego kojarzę się panu z największą autorką kryminałów?

— Z listy gości zaproszonych, sam ją układałem, pamiętam, że ma pani drugie imię: Christine...

— Po polsku: Krystyna.

— Można sobie połamać język. Dla mnie pozostanie pani Agathą Christie. Bo nazwisko też trudno wymawialne: Lu... be... ka?

— Rozbawił mnie pan, profesorze. Ale... nawiasem mówiąc, zdziwiło mnie to zaproszenie. Nie jestem ani egiptolożką, ani się nie zajmowałam wykopaliskami w Jordanii czy w Izraelu. Ukończyłam wydział orientalistyki, ale... specjalizowałam się raczej w historii sztuki islamu. Oczywiście sporo wiem o archeologii śródziemnomorskiej, współpracowałam okresowo z polską misją...

— W świątyni Hatszepsut, prawda?

— Także w Aleksandrii.

Kelnerka weszła na taras przez rozsuwane szklane drzwi.

— Państwo płacą?

Agata uśmiechnęła się. Zanim wyjęła portmonetkę z czeluści kieszeni kurtki, profesor już podawał banknot.

— Proszę pozwolić staremu słudze...

Nie oponowała. Miała bardzo mało franków szwajcarskich. Z własnego konta zresztą. Zaproszenie przyszło imienne. Na adres uniwersytetu. A ona nigdy tam nie pracowała. Czyżby stary Cornelius nie wiedział o tym? Ani jego mądra Lieselotte? Postanowiła poddać się sytuacji mającej już na samym wstępie coś z ducha nieodżałowanej Agathy Christie. Przyjechała nie dlatego, że zainteresował ją sam temat oficjalnych referatów. Bardziej ciekawiło ją to, czego w zaproszeniu nie było.

Podnieśli się jednocześnie. Cornelius Tschudi miał niezłą sylwetkę, choć jego czarny, długi płaszcz i równie mroczny szeroko-skrzydły kapelusz tak odbiegający od tutejszej sportowej mody powodowały, że wyglądem przypominał nieco doktora Mabuse ze starego, niemego filmu. Jego błyszczące półbuty z dobrej skóry ślizgały się po mokrej jezdni. Nie, stanowczo odbijał od różnokolorowego tłumu z nartami na ramionach, ciągnącego równym sznurkiem ku okolicznym kolejkom zębatym i linowym.

— Pozwoli pani, że ją wezmę pod rękę?

Agata uśmiechnęła się. Jej porządne adidasy nie poddawały się poślizgom. Ale też nie miały nic wspólnego z elegancją.

— Naturalnie, profesorze. Cała przyjemność po mojej stronie.

Drobili małymi kroczkami, mijając kamienną wieżę kościoła z zegarem wskazującym jedenastą czterdzieści pięć.

— Proszę spojrzeć na prawo — wysapał Cornelius, unosząc dłoń w zamszowej rękawiczce. — Hinter Dorf. Wiekowe, zapadające się ze starości domy. Ciekawostką są te kamienne płyty na słupach stodół. Widzi pani?

— Tak. Idąc w tę stronę zastanawiałam się, czy to aby nie są jakieś... ołtarze ofiarne...

Zatrzymał się rozbawiony.

— No nie! Zapobiegały tylko dostawaniu się myszy do środka!

Teraz Agata parsknęła.

— Co za proza życia!

Maszerowali rażniej środkiem ulicy, zostawiając po obu stronach małe sklepiki pełne najdroższych w Europie towarów. Co krok mijali bank lub choćby tylko kantor wymiany pieniędzy. Ale Agata czuła się, jakby przemierzała Krupówki. O mały włos nie przegapiła bydła.

— Proszę spojrzeć na balkony. Co pani tam widzi?

— No... krowy! Wasze wspaniałe, mleczne krowy z olbrzymimi dzwonkami na szyjach. Swoją drogą zabawne, że pasą się właśnie na... balkonach!

— Reklama jest dźwignią handlu, madame. Te zwierzęta z plastyku wyglądają jak żywe. A szwajcarska krowa to źródło sukcesu. Krowy i banki. My lubimy naturę i pieniądze. O, stary znajomy! — zawołał zrywając kapelusz z głowy. — Hej, Michael!

Zapatrzony w wystawę z wytworną odzieżą sportową, wysoki i chudy jak tyka mężczyzna odwrócił głowę. W jego oczach za okularami w cienkich, złotych oprawkach błysnął ognik zainteresowania.

— Cornelius, stary przyjacielu! Nie spodziewałem się ciebie tutaj, w Zermatt!

— Miałaś nadzieję, że układam z kwiatów bramę tryumfalną na wasze powitanie w Sankt Moritz? Pozwoli madame, że jej przedstawię Michaela Burrowsa z Cambridge. Mówi pani po angielsku?

Agata podała zziębniętą dłoń. Oczy za okularami błysnęły ciepło.

— Agata Lubecka. Z Polski — odparła całkiem poprawną angielszczyzną. Nawet akcent był prawie oksfordzki. — Znam pańskie dzieło: „The History of the Qumran Community”. Tłumaczyłam je.

Objął jej palce obu dłońmi.

— Ależ pani zziębła. Och, nie mówmy teraz o zwojach znad Morza Martwego. Cieszymy się widokiem Alp, dopóki ten okropny stary rząd Cornelius nie usadzi nas w jakiejś dusznej sali konferencyjnej! Błagam! — Jego oczy, nieco rozmazane przez szkła, miały blask bursztynu.

— Dobrze wam mówić, moi drodzy! Cały program i tak jest na mojej głowie! Całe szczęście, że Badrutt's Palace jest dostatecznie drogi, by zorganizować wszystko na najwyższym poziomie.

Agata czuła, że dłoń profesora wysuwa się spod jej ramienia. Przyjęła to z odrobiną ulgi. Chodniki i jezdnie w pobliżu dworca były suche i bezpieczne.

Burrows odziany w skrzyżowanie wielbłąda z pikowaną kołdrą chwiał się na długich nogach. Jego wąskie wargi rozciągnęły się w uśmiechu.

— A tak naprawdę, stary zboreźniku, ile się tam płaci za noc?

Cornelius zmarszczył brwi. Śmieszne siwe włoski krzaczastych brwi niebezpiecznie opadały mu na oczy.

— Och, niewiele. Coś ponad osiemset franków za dobę.

— Ze śniadaniem? — dociekał Michael, wypuszczając wreszcie dłoń Agaty.

— No... tak. Ale od kiedy interesuje cię forsa, która nie musi opuszczać twojego portfela, przyjacielu? Szwajcaria wita swoich gości nie licząc kosztów!

— I to mnie właśnie martwi — wymruczał Burrows tym razem ze śmiertelną powagą.

Agata w głębi duszy pomyślała tak samo. Właściwie dlaczego zostałam zaproszona? Razem z kilkoma naukowcami, o których wiem, że zajmują się każdy czym innym. Profesor Tschudi najwyraźniej miał jakiś cel. Ale jaki?

— Aurelia! — zawołał, machając dłonią w kierunku grupki stojącej przed oszkloną witryną biura turystycznego. — Bądź pozdrowiona w starej Europie!

— Kto to? — spytała Agata, gdy Cornelius truchcikiem ruszył na drugą stronę jezdni.

— Aurelia Levy — wymruczał Burrows, chowając ręce do kieszeni. — Pracownik naukowy Uniwersytetu Hebrajskiego. Przedtem się nazywała jakoś... inaczej...

— Przedtem?

— No... zanim wyemigrowała z Europy do Izraela. Jak oni wszyscy.

— Oni? To znaczy kto?

— Żydzi.

Agata przyjrzała się Michaelowi. Był mężczyzną w nieokreślonym wieku. Mógł mieć równie dobrze pięćdziesiątkę, jak i sporo więcej. Niezłe utrzymana sylwetka, lekko falujące, nie tknięte siwizną włosy i coś niemilego, czającego się w kącikach ust.

— Jest pan... antysemitą, profesorze?

Rozłożył dłonie jak człowiek uciekający przed nieszczęściem, od którego uciec się nie da.

— Ależ, Agatho! Co pani mówi! To absurd. Zajmuję się Żydami od zarania ich dziejów!

— Aż po holocaust? — spytała, choć zabrzmiało to jak wyzwanie.

Oddalił się o parę kroków.

— Proszę mnie nie obarczać winą za papieża Grzegorza Dziewiątego! To on w tysiąc dwieście piętnastym roku ustanowił dla Żydów obowiązek noszenia na piersiach lub na plecach „krążka żółtego materiału, aby odróżniali się od chrześcijan w sposób widoczny”.

Agata uśmiechnęła się kącikami ust.

— Nie on to wymyślił. Przed nim był jeden z rzymskich cesarzy. Proszę mi powiedzieć, nad czym pracuje Aurelia Levy?

Burrows rozpiął swoje wielbłądzie wdzianko. Robiło się ciepło.

— Wbrew pozorom nie nad historią i archeologią Palestyny, lecz nad obszarem Arabii Saudyjskiej pomiędzy Pustynią Śmierci a Oceanem Indyjskim. Dziwną, suchą krainą zwaną ongiś Ausan, później Qataban Sabea i wreszcie Himiarites.

Agata potrząsnęła włosami.

— Niewiele o tym wiem. W ogóle... co pan myśli o konferencji?

Nie zdążył odpowiedzieć. Cornelius Tschudi holował w ich kierunku starszą, wytwornie odzianą w futro z norek damę o błękitnawych włosach. I jeszcze dwóch mężczyzn w strojach zdecydowanie miejskich.

— Aurelia Levy. A to Jacques Trever z Sorbony oraz Tom Collins z British Library w Londynie.

Wymieniano uściski dłoni.

— A teraz zapraszam was na peron trzeci, skąd odchodzi nasz Glacier Express! — zawołał Cornelius, zabawnie klaszcząc w dłonie. — Podróż do Sankt Moritz potrwa niemal osiem godzin, choć to zaledwie dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów! Chciałem, drodzy państwo, byśmy się wcześniej nieco lepiej poznali. I pokochali, zanim... znienawidzimy się w uczonych dysputach.

Wszyscy skwitowali to śmiechem.

— A gdzie reszta, profesorze Tschudi? — Francuz wyglądał bardzo młodo. I ładnie, w błękitnym moherowym swetrze pod szarą dyplomatką o nienagannym kroju.

— Jeremy Tavernier poszedł już do wagonu restauracyjnego. Chce dopilnować menu, jakim nas uraczą w trakcie podróży.

— Kim jest Jeremy? — Agata pociągnęła za wielbłądzi rękaw.

— Archeolog. Słabo go znam. Wiem tylko, że mieszka w Amsterdamie, odkopał parę grobów z ceramiką na cmentarzysku Tanit w Kartaginie. Kopał też w Megiddo...

— Stajnie króla Salomona? — Agata roześmiała się głośno.

— Niech pani zamilknie, na Boga! — ścisnął jej ramię, aż zabołało.

Spojrzała zaskoczona.

— Przepraszam. Niewiele wiem na ten temat. Nie jestem archeologiem. Z niczego się nie wyśmiewam, ale...

— Wszystko, o czym będzie mowa na naszej konferencji, jest śmiertelnie poważne — wymruczał.

— Dlaczego?

— Bo Cornelius Tschudi jest znanym sknerą. Jeśli wydłubał tyle pieniędzy, by nas gościć w najdroższym hotelu w Szwajcarii, coś to znaczy.

— Co, u Boga Ojca?

— Że w Lesie Sherwoodzkim dzieje się coś tajemniczego.

Widocznie uznał temat za wyczerpany, bo dość niegrzecznie wysforował się do przodu, roztrzając grupę wesołych narciarzy. Agata chcąc zatrzeć niemiłe wrażenie, odwróciła się, by po raz ostatni rzucić okiem na górę-widmo. Niestety. Mgła wciąż przesłaniała szczyt. Co on miał na myśli mówiąc, że w Lesie Sherwoodzkim... Pożegnała spojrzeniem nieobecna górę, zrobiła krok i potknęła się o parę nart stojących w przejściu. Dokładnie tarasowały chodnik. Runęłaby, lecz w ostatniej chwili podtrzymała ją silna męska dłoń.

— Oh, excusez-moi... — jej oczy zetknęły się z innymi. Przezroczytymi jak górski kryształ z cętkami złota.

— To ja przepraszam! — wyszeptał zachwycony. Mówił po francusku z jakimś szczególnym akcentem. — Postawiłem narty w najgłupszym miejscu. Wybacz pani? — Wpatrywał się w jej twarz z takim natężeniem uwagi, jakby od tego zależała jego przyszłość.

— Nic się nie stało. Przepraszam. Muszę zdążyć na Glacier Express do Sankt Moritz.

Stał wysoki i smukły w ciemnoniebieskim kombinezonie narciarskim i śmiesznej wełnianej czapce. Na jego przystojnej, nieco pobrużdżonej twarzy malowały się zmarzwienia całego świata.

— Bon Dieu! Pojadę tam za panią! Gdzie pani mieszka?

Agata roześmiała się. Dawno przekroczyła trzydziestkę i takie oświadczyły na środku drogi mogły ją jedynie rozbawić.

— W jakimś superhotelu. Nie pamiętam nazwy!

Profesor Cornelius Tschudi machał z daleka rękami, niczym holenderski wiatrak.

— Agatha! Vite!

Nieznajomy łagodnym ruchem dłoni ściągnął z czapki parę porządnych gogli. Zalśniły błękitem.

— Merci. Teraz wiem, jak ma pani na imię! — odwrócił się w stronę świętej góry i pomaszerował sztywnym krokiem, bo tylko na tyle pozwalały plastikowe markery.

Organizatorzy konferencji byli zadowoleni. Oddany wcześniej bagaż leżał już na półkach w eleganckich przedziałach pociągu. Przy wejściu do pierwszej klasy stał przedstawiciel biura, z plakietką w klapie i kartką zapisanego papieru.

— Przedział trzeci... madame Lu... be... ka..., monsieur Tschudi, monsieur Burrows...

Agata zręcznie wspięła się na schodek, obrzuciwszy uważnym spojrzeniem wiśniowo-szare, wypucowane do połysku wagony. Czuję się tak, jakbym wchodziła do słynnego Orient Expressu. Cóż za wygoda i nieskazitelna elegancja wnętrza! — pomyślała.

Istotnie. Sześciuosobowe przedziały z lotniczymi fotelami, obitymi popielatą miękką tkaniną, były na tyle przestronne, by wygodnie pomieścić wyciągnięte nogi. Nawet tak długie jak Burrowsa.

— Ma pani miejsce przy oknie — powiedział bez cienia uśmiechu.

Skinęła głową. Jej stara torba, sterana licznymi podróżami, leżała na górnej półce. Wizytówka ledwie się trzymała, ale to już była zasługa arabskich pracowników kairskiego lotniska.

Burrows wyjął z podręcznej torby metalową piersiówkę i pociągnął łyk.

— Wcześniej pan zaczyna, Michael! — uśmiechnął się Jacques Trever ze środkowego miejsca. — Cóż to takiego?

— Irlandzka whisky. Lepsza od szkockiej. Masz ochotę?

Francuz skrzywił wargi.

— Wyjątkowe świństwo! Niech się pani nigdy nie da na to nabrać! — rzucił w kierunku Agaty.

— Monsieur Burrows nawet mi nie zaproponował — powiedziała poważnie, wieszając kurtkę.

W Michaela jakby piorun strzelił.

— Ja przepraszam... bardzo! Jeśli madame ma ochotę...

Cornelius Tschudi stał w drzwiach, tłumiąc śmiech.

— Dobra nauczka, Agatho! Maniery jakie takie obowiązują nawet profesorów Cambridge. I przestań pociągać z tej okropnej butelki, Michaelu. Twój oddech zanieczyści wspaniałe górskie powietrze!

Burrows wyglądał jak zbity szczeniak. Jego złote okulary zaszyły mgłą. Zdjął je i zaczął bezsensownie wycierać szalikiem.

— Jeszcze raz przepraszam. Źle spałem tej nocy. Myślałem, że łyczek pozwoli mi przetrwać tych osiem złowrogich godzin. Nie znoszę pociągów.

— Między nami mówiąc, ja też — zlitowała się Agata, siadając w fotelu. — Mam ochotę wyskoczyć z wagonu już po godzinie. Wszystko jedno, w zboże czy buraki...

— Będzie pani miała trudności z tymi... burakami. Jedziemy przez lodowce — odparł Tom Collins okropną francuszczyzną. — Ja lubię takie podróże... ekologiczne! Dobrze zamrożona woda robi na mnie kolosalne wrażenie. Szczególnie po skisłym, mokrym Londynie. I widoki są oszałamiające!

Pociąg drgnął i bezszelestnie ruszył. Za oknami odpływał w dal dworzec, zabudowania, ośnieżone drzewa i... mleczna poświata w miejscu świętej góry.

Jedno miejsce w przedziale pozostało puste, choć багаż na półce wskazywał, że jest zajęte.

— Gdzie Aurelia? — spytał Tom, wyglądając na korytarz.

— W sąsiednim przedziale. Plotkuje z Samantha, bo dawno się nie widziały. — Cornelius bez długiego płaszcza i szerokoskrzydłego kapelusza wyglądał nieco starszej. Może dlatego, że siwe, rzadkie włosy pokrywały czaszkę niezbyt szczelnie. Wąskie ramiona, obciążone tabaczkową marynarką, robiły wrażenie przygarbionych. Ale ciepły uśmiech nie schodził mu z warg. — Wszyscy się tu znamy. Mniej lub więcej. Nową twarzą jest jedynie Agatha. Czyż nie tak?

— Na szczęście jest młodą, piękną kobietą! — odezwał się Francuz, grzebiąc w aktówce z czarnej skóry.

— I znaną tłumaczką. A także orientalistką. Jej ojczyzną jest Polska — dorzucił profesor miękko.

— O, wasz kraj oswobodził się wreszcie z moskiewskiego ucisku! — westchnął Burrows, wpychając piersiówkę do podręcznego bagażu.

— No, nie! — Tom Collins przerwał, bo długonogi wyraźnie szykował się do dalszej tyrady. — Ani słowa o polityce. Jestem gotów wsiąść w pierwszych lepszych... burakach!

Wszyscy się roześmiali. I odetchnęli z ulgą. Do wagonu zajrzał blondyn z szopą kręconych włosów. Agacie przypomniał się natychmiast aktor z „Różowej Pantery”. Miał podobny, dziecinnie naiwny wyraz twarzy i niepewność w ruchach.

— Jeremy, wejdz, chłopcze! — uśmiechnął się Cornelius, zakładając nogę na nogę. — Nasz specjalista w dziedzinie archeologii, Agatho.

— Tak, wiem. Tłumaczyłam jedną z pańskich książek. Czy rzeczywiście widział pan stajnie króla Salomona?

W przedziale zapadła cisza. Dziwna. Grobowa. Za oknami przesuwiał się przepiękny krajobraz alpejski.

— Spójrzcie! — Cornelius szybko przerwał milczenie. — Co za widok! Na Mittelallain kursuje najwyższej położona podziemna kolejka zębata.

— Takie wasze górskie metro! — roześmiał się Różowa Pantera, wciąż tkwiąc w przejściu.

— Może usiądziesz koło Agathy, Jeremy? Na razie. Pozwól tym kobietom w sąsiedztwie pogadać bez świadków.

Młodzieniec, który na trzeci rzut oka okazał się nie tak znów bardzo młodzieńczy, miał szczere błękitne spojrzenie i pachniał bardzo dobrą wodą kolońską. Bezceremonialnie podniósł do ust dłoń Agaty, pocałował ją i wyrecytował niczym marny aktor szekspirowskiej trupy:

— „Azaliż byłyby one zdolne do gadulstwa ponad wszelką miarę siedząc na złocie, którym król Salomon wyłożył swój tron z kości słoniowej i uwieńczył cedrowe kolumny swej świątyni...”

Burrows prychnął niczym wściekła foka.

— Proszę przestać, panie Tavernier! Na Boga! Księgi Salomona to ostatni tekst, którego chciałbym słuchać w rytm kół dudniących po lodowcu.

Agata czuła ciepło dłoni Holendra. Miał długie, kształtne palce, zakończone wyjątkowo ładnymi paznokciami, co niezmiernie rzadko zdarza się u mężczyzn.

— Proszę mnie puścić — wyszeptwała słabo. Czuła podświadomie, że jest obiektem zainteresowania tych wszystkich ludzi zebranych, nie wiedzieć czemu, przez Corneliusa i usadzonych wbrew ich woli na popielatych, ergonomicznych fotelach. Nie znali jej tak, jak ona nie знаła ich. Nie wiedziała, czym się wyróżnia i dlaczego jedzie przez lodowiec, mając po obu stronach błyszczące w słońcu czterotysięczniki. Odetchnęła, gdy Jeremy wreszcie wypuścił jej dłoń.

W dwie minuty później do przedziału wszedł szef wagonu restauracyjnego.

— Państwo pozwolą. Lunch zaraz zostanie podany.

Jeremy-Różowa Pantera klasnął w dłoń:

— Nareszcie! Jestem głodny jak wszyscy diabli! Ludzie! Chodźmy jeść!

Cornelius wstał, podając dłoń Agacie.

— Madame, pani pozwoli, że ją poprowadzę. Nasze miejsca są numerowane, ale... jakiś nieokrzesany nowobogacki turysta mógłby je nam próbować zająć... tędy...

Agata wyszła na korytarz. Z sąsiedniego przedziału wydostawała się właśnie błękitnowłosa Aurelia, porzuciwszy na siedzeniu swoje bezcenne futro i wysoka, lekko przygarbiona Amerykanka o nieco przydługim nosie i nieokreślonego koloru włosach, ściągniętych na karku potężną szylkretową zapinką.

— Samantha York — powiedziała, wyciągając do Agaty kościstą dłoń.

— Lu... becka — wymruczała Agata wpatrzona w olbrzymi pierścień na serdecznym palcu. — Co za wspaniały...

— Och, ruszcie się, moje drogie! — Burrows nacierał z tyłu. — Proszę się nie niepokoić, droga Polko. Ten pierścień to tylko wspaniała kopia oryginału pochodzącego z wykopalisk w okolicy Abusir.

— Prezent od doradcy prezydenta Mubarak — dorzuciła właścicielka, cofając dłoń. — Wszyscy wiedzą, że był moim kochankiem. I dlatego dostałam tam koncesję na wykopaliska.

Agata popatrzyła na nią ze szczerą sympatią. A przy okazji zapamiętała niezwykle rysunek klejnotu: złota kobra z purpurowymi oczami z czystej wody rubinów, pożerająca własny ogon.

Wagon restauracyjny zapełniony był zaledwie w połowie. Czterooosobowe stoliki nakryte złotawymi obrusami zastawiono wyjątkowo piękną porcelaną i szkłem.

— Przyjrzyjcie się szklankom. Mają ukośne dna. To dlatego, by się z nich nic nie wylało, gdy pociąg zacznie się wspinać pod górę. Lub zjeżdżać w dół! Jest nas ósemka, moi mili — mówił profesor Tschudi, wskazując dwa stoliki po obu stronach przejścia. — Zmieścimy się bez problemu. W tym układzie geometrycznym będziemy mogli nawet ze sobą konwersować.

Agata grzecznie czekała, aż ktoś wskaże jej miejsce. Oprócz młodszego Taverniera jej wiek, z biedą, można było zaliczyć do „następnego pokolenia”. Wypadało zastosować się do etykiety.

Cornelius w dalszym ciągu dyrygował. Wydawało się, że mu to sprawia swoistą przyjemność.

— Tom, Aurelia, proszę przy oknie. Zostawcie dwa miejsca obok dla mnie i Agathy. Reszta do stolika na lewo. W układach dowolnych.

Agata odetchnęła z ulgą. Ucieszyła się, że przy stole nie będzie miała za sąsiada nadętego i raczej źle wychowanego Burrowsa. Zajęła miejsce, przyglądając się podejrzliwie sztukom. Jeśli jest jakiś przyrząd, którym nie będę umiała się posługiwać... no, coś do ostryg lub homara, to dam plamę! Raczej poczekam i przyjrę się, jak oni tym wymachują. Nie... nic takiego. Zwykła łopatka do ryby. Ufff...

— Przygląda się pani porcelanie? — zagadnął Cornelius, uniósłszy palec wskazujący. Maitre w czarnym smokingu skinął głową. — To Langenthal. Szwajcarsko-chińskie dzieło.

— Wytworne — mruknęła Aurelia. — Ten szarobiały deseń... Co nam zaserwujesz, Corneliusie? Bo mam nadzieję, że nie wasze plebejskie... sorry, fondue z sera gruyère...

Milczący dotąd Tom przesunął dłonią po nieco przydługich włosach. Miał okrągłą, różową twarz starego niemowlaka. I wydawał się niebezpiecznie zadowolony ze wszystkiego.

— A ja lubię fondue. Z serowej mieszanki. Do tego dobrze podpieczoną polędwicę.
Aurelia z lekko przechyloną na bok głową przyglądała się Agacie. W jej wzroku było jeszcze coś oprócz ciekawości. Kobięca zazdrość?

— Przestańcie tyle mówić o jedzeniu. Corneliusie, dlaczego właściwie zaprosiłeś panią Lu... be... och, Agatho, pozwól, że ci będę mówiła po imieniu. Jesteś ode mnie młodsza o jakieś sto lat! Więc?

Profesor Tschudi otworzył usta, ale właśnie podano consommé ze szparagów z pty-siowym groszkiem. Kelner pochylił się w ukłonie.

— Wina z Wallis czy Ticino?

— Wolicie włoskie? No... prawie włoskie...

— Ale do czego, Corneliusie? — stęknęła Aurelia, unosząc czarne jak smoła oczy. Wyglądało to tak, jakby prosiła znudzonego Jahwe o zmiłowanie nad starym zrządą.

— Filets de féra aux amandes — westchnął kelner.

Profesor ożywił się.

— Podadzą filety z ryb. Z migdałami.

— Dla mnie wino z Wallis — przecięła błękitnowłosa. — O ile znam życie, to ty nigdy o niczym sam nie zdecydujesz!

Profesor wyraźnie się zmartwił.

— Właśnie zadecydowałem. Wygłosisz jeden z tych cholernie nudnych referatów na temat szczątków porozkradanych manuskryptów z Qumran. À propos, Aurelio... czy ty aby nie odkupiłaś jakichś fragmentów od hiszpańskich mnichów? Podobno od lat je skupują. I to wszystko idzie z Izraela via Watykan do klasztorów w górach.

Aurelia posłała mu martwy uśmiech.

— Nie sądz, że o tym nie wiemy. Ale co ma zrobić papież, skoro mu się wali cała doktryna chrześcijańska? Od pięćdziesięciu lat Kościół ukrywa te fragmenty, które nie pasują do zjawiska zwanego Jezusem.

— Przestańcie! — dzieciątko Tom zacisnęło różowe wargi. — Nie tylko Watykan je skupuje. Także Amerykanie, Brytyjczycy i Francuzi. Nie chce się przy obiedzie zajmować zwojami z Qumran. Przecież nie o nie ci chodzi, Corneliusie!

Agata przysłuchiwała się rozmowie, jedząc pyszną, gęstą zupę. Była bardzo głodna. Od przyjazdu do Zermatt — miejsca zbiórki dla ośmiorga wybranych — nie wzięła do ust niczego. Nie miała zbyt wiele pieniędzy. Chwała najwyższemu, kimkolwiek jest, od teraz jestem na całkowitym utrzymaniu profesora! Ale dlaczego wciąż przerzucają się słowami, nie dotykając sedna sprawy? Dlaczego sesja naukowa nie ma szczegółowego programu? To ją zaskoczyło już w Warszawie. Studia skończyła dwanaście lat temu. Nie została na krakowskim uniwersytecie, bo jej nikt o to nie prosił. Do pomocy przy restaurowaniu świątyni Hatszepsut pojechała na dobrą sprawę jako wolontariuszka. Nie chciała stałej posady. Od lat w charakterze wolnego strzelca tłumaczyła z trzech języ-

ków uczone dzieła ludzi z Oksfordu, Sorbony i uniwersytetu w Yale. Była w ten sposób au courant tego wszystkiego, co działo się od czterech tysięcy lat na obszarze Maghrebu, Palestyny i Arabii. I to wszystko. Dlaczego więc została zaproszona na lodowiec pod królujący nad nim Piz Nair? Przecież nie po to, by grać w golfa na zamrożonej tafli jeziora. Nie wykupi także karty wędkarskiej w Gemeindepolizei.

Podano rybę. Wyglądała przepięknie. Wino miało kolor złotawy z leciutkim odcieniem zieleni. Profesor milczał, nie odpowiedział Tomowi. Wydawało się, że jakaś tajemnica zasnuwa pajęczyną czteroosobowy stolik i siedzących przy nim ludzi.

— Kartofelki jak marzenie! — rozczuliła się Aurelia, pochłaniając szybko, trochę zbyt szybko, drugą porcję ryby. — Wiesz, profesorze Tschudi? Miałeś jednak cholernie dobry pomysł, wsadzając nas w ten Train Glacier. Spójrzcie tylko za okno. Co za widok! Czy to nie przełęcz Oberalp?

Agata odłożyła widelec. Chętnie by jeszcze zjadła trochę ryby, głównie z powodu wspaniałego sosu z przetartych migdałów. Ale nie miała odwagi. Półmisek stał przed Aurelią. I chyba wyciągnęłaby nabity pistolet, gdyby jej ktoś zechciał go zabrać.

Za oknami przesuwają się ośnieżone szczyty. W dolinach poprzecinanych spływającymi z lodowców rzekami tuliły się rzędy domostw. Tu i ówdzie błyszcząły w słońcu łąki pokryte wspaniałą szmaragdową zielenią. Raz po raz pociąg wpadał na przerzuczone nad przepaściami mosty.

Z sąsiedniego stolika wychyliła się pociągła, nieco końska twarz Samantha York.

— Długo będziemy się bawić w tajemnicę, profesorze Tschudi?

Cornelius powoli odstawił szklaneczkę.

— No cóż... dobrze, uczeni koledzy. Wszyscy i tak wiedzą, o co naprawdę chodzi.

Agata zdziwiona uniosła brwi.

— O co, profesorze?

— Ona ma z tym coś wspólnego, Corneliusie? — Palec Samantha bódł w powietrze. Burrows zachłysnął się łykiem wina. Zakaszłał, otarł usta serwetką i wypalił:

— Co o niej wiesz, Agatho Lube... ka?

— O kim, na Boga?

Jeremy Tavernier przechylił głowę.

— O królowej Sabejczyków. Jak mówi święta Biblia, zawiozła królowi Salomonowi dary na sześćdziesięciu wielbłądach...

— Saba?

— Miała na imię Bilqis. I diament o wadze stu trzech karatów. Jej najsłynniejszy talizman zwany...

— Malach Ha-Mavet — dorzuciła Aurelia. — Co po hebrajsku znaczy „Anioł śmierci”. Ten diament zniknął!



Pustynia drżała od upału. W powietrzu unosiły się drobiny piasku, zasnuwając delikatną mgiełką wydmy i skały aż po horyzont. Żółta tarcza słońca wysyłała bezlitosne promienie, osuszając z potu twarze ludzi. Zwierzęta szły wolno, z otwartymi pyskami. Na skudlonej sierści chwiały się juki i palankiny z lekkich trzcin, osłaniające zwojami cienkiego płótna siedzące tam kobiety.

Karawana pięćdziesięciu wielbłądów była w drodze od trzydziestu dwóch dni. Przemierzała bezmiar piasku od północy, wzdłuż wybrzeża morza, gdzie zaopatrzwszy się w wodę, jarzyny i daktyle, skręciła na skalistą pustynię, kierując się na południowy zachód. Wracała do swojego kraju ze stolicą w Marib. Do świątyni Awwam, poświęconej wielkiemu bogowi imieniem Al-maqa. Po wielu latach pobytu na północy.

Mężczyźni otuleni białymi i niebieskimi szatami, farbowanymi w wywarze z indygo, ukrywali na piersiach krótkie noże w oprawie z ciężkiego srebra. Ci, którzy nie stanowili bezpośredniej ochrony, nieśli długie dzidy. Straż tylna miała dodatkowo kołczany z kory drzewa, zwanego balsamowcem, i strzały, których groty nigdy nie chybiały. Wyrobione z kości słoniowej przebijały ciała ludzi i zwierząt, nie dając szans ujścia z życiem.

Jadący przodem starzec o spalonej słońcem skórze i zapadniętych oczach, w których nie było strachu, tylko ból, zatrzymał wielbłąda. Odwrócił się, unosząc dłoń.

— Postój. Za skałą o pysku lwa jest studnia. Ostatnia przed wkroczeniem na obszar Pustyni Śmierci. Oby była w niej woda.

Zwierzęta zatrzymały się. Ich rozdęte chrapy wietrzyły wilgoć. Zdejmowano juki i worki.

Starzec podszedł do dwóch wielbłądów niosących palankiny. Zza zasłony z cienkiej materii w złote pasy wyjrzały oczy siedzącej tam kobiety.

— Czas — powiedział, dotykając dłonią czoła.

Zwierzę uklękło na przednie nogi. Potem na tylne. Kobieta zakutana w zawój z żółtej materii zeszła z grzbietu.

— Noc jeszcze nie nadeszła, panie.

Nie słuchał. Wpatrzony w drgające od upału powietrze zarządził:

— Królowa jest słaba. Rozbijemy namiot. Idź jej usłużyć, Amati. Jeśli chcesz, by kiedykolwiek zobaczyła lwice przed świątynią i swój pałac w Marib.

Kobieta przysłoniła oczy. Blask raził i powiększał ból. Drobiny piasku wdzierały się pod powieki, w nozdrza i do ust.

— Tak, panie.

Bilqis otworzyła oczy. Czowała ogromną słabość i ciężar własnego ciała, które w długiej podróży wysychało na wiór. Jej dłonie przypominały piszczele. Palce ciemne, przy-

ozdobione pierścieniami, których zdjęć już nie była w stanie, miały wygląd krogulczych łap. Gdzie się podziała moja moc i uroda? Gdzie krągłe ciało i łabędzia szyja, którą tak lubił głaskać? Gdzie płaski brzuch i długie, toczono uda, na które patrzył z uśmiechem mędrca wiedzącego wszystko? Dlaczego w swej dobroci i roztropności pozwoliłeś mi zostać u siebie tak długo? Za długo. I dlaczego oddałem ci swój amulet mogący mnie obronić przed nagłą śmiercią? Kochałem cię, królu Izraela, żydowski władco Północy. Zbudowałeś mi pałac obok świątyni. A ja cieszyłam twoje oczy i zmysły. Przekazałam ci kamień, by cię chronił na wieki. Tylko ciebie! Wprawileś go w gwiazdę twego ojca Dawida i nosiłeś na gołym torsie. Nie zdejmowałeś nigdy. Nawet podczas chłodnej kąpieli. Obiecałeś mi to, Salomonie. A ja ci uwierzyłam.

Amati rozsunęła delikatną tkaninę.

— Zatrzymujemy się przy studni, królowo. Belham ją znalazł. Zwierzęta muszą pić. I twoi ludzie także.

— Dobrze, moja droga. Pomóż mi zejść na piasek. Dlaczego jest tak ciemno?

Kobieta zakryła usta dłonią. Nie mogła powiedzieć prawdy, że słońce stoi w zenicie, a cień jest krótki jak ludzkie życie. Królowa pomału traciła wzrok. I nikt nie umiał temu zaradzić. Jej jasne i czyste niegdyś źrenice o barwie malachitu zachodziły mgłą. Widziała tylko cienie i zarysy bliskich skał.

Namiet był już rozstawiony. Wewnątrz panował upał, ale ciężkie kobierce przykrywały rozżarzony piach i można było nań stanąć nogą obutą w sandał wyszywany błyszczącymi kamykami.

— Wejdz, królowo. Usiądź na poduszkach. Zaraz Miran przyniesie wody i obmyję całe twoje ciało, pani.

Bilqis macała dłonią wokół siebie.

— Gdzie skrzynka z pachnidłami? Tam są przybory do czesania. Włosy mi wyłażą garściami. Dlaczego?

Amati znów przesłoniła usta.

— To nic, królowo. Kiedy dotrzemy do naszej krainy, wszystko się odmieni. Znów będziesz siedziała w ogrodach kwitnących na biało i różowo. Znów strumień będzie szemrać pośród gęstego listowia. Czeka na cię tron z alabastru i dwa złote lwy...

Bilqis zdjęła chustę okrywającą głowę i pół twarzy.

— Ale nie będą to lwy Judy. Mój pan mnie wygnał. Już nie chciał ani mojego ciała, ani przepowiedni. Wziął sobie żonę innowiercy. Do pałacu w Megiddo wkroczyła bogini Isztar. Pogwałcił prawa swojego kraju. I swoich bogów. Ta kobieta jest córką fir'aun z Tanis w Egipcie.

Amati usłyszała głosy sług niosących wodę w workach ze skór gazeli.

— Nie myśl o tym, królowo. Byłaś jego sercem i życiem. Żadnej tak nie kochał jak ciebie. Żadnej tak nie pożądał.

— To prawda. — Bilqis powoli obnażała wychudzone ciało. Skórzany basen musiał jej zastąpić kryształowo czyste wody w obramowaniach z marmuru, w których co dzień kąpała się przed wschodem i zachodem słońca. Tam, na północy. W kraju Izraela.

— Jestem brzydka, Amati?

Służąca delikatnie obmywała piersi swojej pani.

— Zawsze będziesz piękna dla twego ludu.

— Porzuciłam go, Amati. Na tak długo.

— Oni czekają, królowo. Święte miejsca i twój pałac o tysiącu komnatach. Znów przybywać zaczną kupcy z Ofiru i zza morza. Znów przywiozą okrętami złoto, srebro, kość słoniową i koczkodany i pawy...

— Mówią, że żaden kraj na świecie nie jest tak bogaty jak Sabejczycy. Jak my... byliśmy.

— I znów będziemy, pani. Tylko nie myśl już o królu Izraela. On poślubił tę kobietę z kraju zwanego Egiptem, bo musiał. Tak mówili na jego dworze. Sama słyszałam.

— A mnie odprawił. — Bilqis uczuła ból w piersiach. Jej czoło zrosił pot. — Obym dojechała... ciemno mi...

Wierna służka nie potrafiła zapanować nad łzami. Płynęły bezgłośnie, miała pewność, że królowa ich nie widzi. Ani jeden szloch nie rozerwał jej krtani. Zdusiła go w sobie.

— Połóż się, pani. Wszystko minie, gdy tylko przejdziemy pustynię.

Bilqis wyciągnęła swe długie ciało na miękkich kobiercach.

— To jest Pustynia Śmierci... Ar-Rab al-Chali, Amati. Tak się nazywa, bo pochłania setki istnień ludzkich. Nie przejdę jej, wiem. Czuję to.

Służka złożyła dłonie i dotknęła czołem skrzydła martwego ptaka, który onegdaj runął z jasnego nieba przed karawaną. I został na piasku jako znak dany z niebios. Stary Belham uznał to za przepowiednię. Ale nie pogrzebał ptaka. Zawiesił go na palankinie, by strzegł od wszelkiego zła.

— O Almaqu, panie naszej krainy! Spraw, by królowa Bilqis powróciła w zdrowiu na swój tron.

— To na nic, Amati. Śmierć jest mi pisana. Oddałam Salomonowi mój kamień. Błękitny Malach Ha-Mavet. Nie zaznam spokoju aż do dnia, gdy ktoś mi go wsunie do grobu. Niech tak będzie. Ta kobieta wprawiła go w swoją koronę. Sama pozbyłam się życia. Miłość do mężczyzny jest trucizną, Amati. Pamiętaj o tym. Ale on musi wrócić do mnie. Nawet po śmierci. Inaczej wszyscy zginą. Wszyscy. Dlaczego nie słyszę ryku zwierząt? Nie karmią ich? Nie poją?

Wielbłądy zbite w gromadę leżały na piasku, przeżuując pokarm. Napiły się do woli i teraz głośno wyrażały swoją radość z kończącego się dnia. Hałasowali mężczyźni, obmywając dłonie i stopy. Ogień strzelał w suche powietrze. Gotowała się strawa: suszone mięso z korzeniami i słodkie bulwy załadowane jeszcze u wybrzeży.

Szykowano się do obrzędu i ofiary na rzecz królowej. Trysnęła krew z szyi jednej z kóz. Kroplami zroszono święty kamień z czarnego malachitu. Ten sam, który podróżywał z Bilqis wiele lat temu, gdy jechała złożyć pokłon mądrymu władcy z północy.

— Święty Almaqu, prowadź jej kroki do ojczyzny — Saby. Nie daj ulecieć duchowi w Krainę Śmierci. Ani dziś, ani w czas, gdy deszcze zroszą ziemię. — Kapłan Luvim uniósł w górę zeszywniałe dłonie.

Lud pokornie pochylił czoła.

Nad pustynią pojawił się cień ptaka. Leciał wysoko, a jego wąskie skrzydła rozłożone były jak płaszcz bogini. Cichy był jego lot. Jak cichą jest śmierć.

Królowa Bilqis wiedziała, że nadszedł jej czas. Przygotowywała się do tej chwili z całą starannością. Obmyte ciało kazała namaścić olejkami, a twarz pokryć alabastrowym pudrem z naczynia z obsydianu. Na powieki poleciła nałożyć zielony proszek z malachitu, brwi podbarwić galenitem, a kości policzkowe tym najcenniejszym — z antymonu.

— Jak wyglądam, Amati?

— Pięknie, pani... ale zjedz coś...

— Nie mam sił.

— Jest gorąca soczewica...

— Nie.

Amati rozkroiła dojrzały owoc, plamiąc sokiem palce.

— To kęs granatu... soczystego lub owoc sykomorowy...

Bilqis z trudem pokręciła głową.

— Zostaw mnie samą, Amati. Gdybym... wiesz, co masz robić. Kapłan Luvim też.

Dziewczyna wyszła z namiotu, nie mogąc opanować szlochu. W półcieniu igrały ukośne płomienie słońca wpadające przez otwory wycięte dla ustawienia żerdzi. Wyglądały jak tryskające płomienie ognia. Przez mgłę zasnuwającą oczy Bilqis śledziła ich drganie.

— To moja wina, że porzuciłam mój lud. Jechałam do 'emeq yezreel, do królestwa Judy, by paść do stóp Mądrości, o jakiej wieści docierały z północy. Aż do Szabui, aż za morze, skąd do Hadramautu nadpływały okręty. To ja chciałam pić ze skarbnicy wiedzy. Ja wierzyłam, że Salomon powie, jak żyć w zgodzie z własnym ludem... I wiedział. Wiele się nauczyłam. Tylko że tej wiedzy nie potrafię już przekazać. Umrę tu, na północnym krańcu Ar-Rab al-Chali. A mój grób pochłonie brązowiejące kości. I nikt ich nie odnajdzie... chyba... — słabnącą ręką uniosła do ust puchar z wodą pachnącą mokrym piachem. Strumyczek z warg pociekł na pierś. Osuszyła go dłonią. Tu, na złotym łańcuchu grubości palca, powinien spoczywać błękitny, święty kamień. Jej amulet przywieziony przez jeden z tych okrętów nadpływających morzem z Indusu, ze wschodu na zachód. Kamień oderwany od podłoża w starej kopalni. Olbrzym połyskujący błękitem niczym lapis-lazuli. Kupcy nazwali go „Pawim okiem”, bo lśnił i rzucał błyski niczym napuszony

ptak w okresie godowym. Zanim dotarł do jej pałacu, przemierzył długi szlak handlowy pomiędzy Szabuą a Marib, schowany w torbie z cienkiej skóry wytłaczanej złotem. Był tak kosztowny, że nikt nie mógł stać się jego właścicielem. Kiedy ujrzała ów błękitny błysk, wiedziała, że nikt i nic na świecie nie potrafi jej go odebrać. Położyła dłoń na chłodnym, śliskim szkliwie czując, jak wstępuje w nią magiczna moc. Kazała zapłacić wielką ilością złota, drzewami kadzidlانymi i balsamowymi wywożonymi wraz z korzeniami w płóciennych jukach. Skupował je kraj leżący po drugiej stronie morza, na północy. Tam rządzą faraonowie i ich kapłani — magowie.

„Pawie oko” zawisło na jej piersi. Miało ją chronić przed chorobami, ukąszeniem kobry i śmiercią. I chroniło. Ale poznawszy króla Judy, oddała mu talizman, a on go wziął, bo urzekła go jego piękność i niezwykły kształt.

— Jest jak łza boga mego, Jahwe. Gdy płacze nad ludem swoim.

— Wpraw go w gwiazdę Dawida, ojca twego. Niech służy całemu twojemu ludowi. Niech go chroni i broni przed nieprzyjacioły.

Spojrzał na nią spod powiek.

— Jesteś mądra i piękna, Bilqis. Ale nie mogę cię uczynić żoną. Muszę pojąć tę zza morza. W przeciwnym razie mój lud poniesie ciężkie straty. Córkę Psusennesa Drugiego.

— Ale nie wolno ci jej darować „Pawiego oka”.

Pokiwał głową i zapadł w ciężki sen. Czuwała u jego wezglowia, aż nastał świt.

W jakiś czas później stanął wraz z kobietą z Egiptu na szczycie schodów świątyni. Z jego stajni wyprowadzono wszystkie czterysta koni w ciężkiej uprzęży. Lud wiwatował. Drobna, szczupła, mlecznoskóra nosiła na głowie koronę. A w niej lśnił i błyszczał kamień-talizman.

— Dlaczego nie dotrzymałeś słowa, królu? — wyszeptała Bilqis kamiennymi war-gami. — Teraz rzucam klątwę na tę kobietę i wszystkich, którzy wezmą Malach Hamavet do ręki. Od dziś „Pawie oko” nazywa się „Aniołem śmierci”. Bo śmierć przyniesie każdemu, kto stanie się jego świadomym właścicielem. Dopóki do mnie nie wróci... choćby do moich kości... umieram, niech moją klątwę potwierdzi Wielki Duch... z ołtarza w Awwam. Odchodzę, rzucając cień nocy... o święty Almaqu... — jej ciało drgnęło, wyprężyło się i zamarło.

Kopali trzy długie dni i noce. Sześćdziesięciu ludzi i starzec o zapadniętych oczach. W tym miejscu, górzystym i niedostępnym dla pustynnych zwierząt pogłębiali grób swojej królowej, jak nakazywała święta wiara Sabejczyków.

Jej ciało namaszczone olejkami z wonnościami owinięto ciasno tkaniną przetykaną złotą nicią. Jej głowę skierowano na południe. Złotą opaskę wsunięto na czoło. W skale zostawiono znak: wyryty w twardym podłożu, nierówny, pięciokątny geometryczny wzór. Taki, jakim był święty kamień, który miał jej strzec przed złem.

— Niech ten znak pozwoli naszej pani spoczywać tu na wieki. Niech nikt się nie odważy otworzyć grobu — kapłan uniósł ręce w górę. Żołnierze i słudzy padli twarzą w piach.

Nad skałą i otwartym grobem znów pojawił się wysoko czarny ptak. Płynął, prawie nie poruszając skrzydłami. W końcu zniknął na tle gorącego, zstępującego słońca. Jakby go pochłonęło, spaliło na popiół.

— Przywalcie dół kamieniem. I usypcie wzgórek z odłamanych skalnych płyt. Zróbcie kopiec, na którego szczycie zostawimy srebrny puchar z wodą — powiedział starzec Belharn, prostując plecy. — I złożmy ofiarę z krwi.

Beczenie kóz przeszło w rzężenie śmierci. Z poderżniętego gardła chlusnęła na kopiec czerwona posoka, spływając strumykami tworzącymi święty znak.

Kapłan znów wyrzucił w górę ręce.

— Bóg Almaq wysłuchał próśb naszej pani. Będzie, jak chciała!

Noc zapadła, gdy w namiotach kładziono się do snu. Wielbłądy leżały spętane, wygaszono ogniska prócz jednego podtrzymywanego dla odstraszenia dzikich zwierząt. Starzec stał u wejścia do pustego namiotu władczyni, wpatrzony w miliony błyszczących gwiazd. Czekał na znak.

Kapłan podszedł cicho, otulając się szatą przed nocnym chłodem.

— Co teraz będzie z nami, Belhamie?

Starzec drgnął. Dłonią wskazał jedną z gwiazd szybującą ku ziemi.

— Znak! Dla ludu. Znak od pani naszej.

Gwiazda zatrzymała się jakby na przekór prawom fizyki i lekkim łukiem przemieściła się ku wzgórzom, gdzie w ciemnościach nocy nie można było gołym okiem dostrzec kopca z kamieni. Nagle przyspieszyła, runąwszy w dół, rozpryskując się na milion drobin. Tuż nad świeżą mogiłą.

Obaj mężczyźni na moment zamknęli oczy. Gdy je otwarli, czerni nie rozświetlał żaden błysk. A i gwiazdy zbladły. W milczeniu udali się do namiotu. Wiedzieli, że to był znak. Dla nich. Mieli poprowadzić wielbłądy i ludzi przez Pustynię Śmierci aż do Marib, by tam osadzić na sabejskim tronie nowego władcę. Bo kraj nie mógł upaść, a podwładni doznać uszczerbku. Musieli przejść gorące piaski możliwie jak najszybciej i bez strat.

Gdy świt spowił mgiełką pustynię, zwinięto namioty, nabrano wody na zapas. Napojono wielbłądy i ludzi. Żywność schowano tak, by pięćdziesięciostopniowy upał jej nie dosięgnął.

A potem, nie oglądając się na świeży kopiec, skierowano kroki na żółte piaski i szare wydmy Ar-Rab al-Chali. Ku świętemu miastu.



Agata otworzyła oczy. Źle spała tej pierwszej nocy w Sankt Moritz. Późny przyjazd Glacier Expressu na stację w Dorf, wyładunek bagażu, przejazd dorożkami do hotelu Badrutt's Palace, rzut oka na dalekie, rozległe jezioro w kolorze szarego aksamitu. W czystym, zimnym powietrzu lśniły zarysy szczytów Signal i Piz Nair. Miała już serdecznie dość widoków lodowców, błękitu śnieżnych jeziorów i przepastnych dolin. Zamarzyło jej się ciepłe morze wokół Ibizy. I gorący, suchy piasek plaż.

— Zwariowana eskapada! — wymruczała wchodząc do pokoju. Był duży, z balkonem wychodzącym na lodowiec i kępę świerków, rosnącą za narożnikiem. Hotel klasy lux z holem wyłożonym jasnymi dywanami o puszystych, lśniąco czystych spłotach. Usłużny boy w musztardowej czapeczce wniósł torbę, wręczył klucz i najwyraźniej czekał na napiwek. Dała mu dwa franki, usiłując odgadnąć, czy to dużo, czy mało. Powieka chłopca ani drgnęła. Pięciogwiazdkowy hotel zatrudniał fachowców wysokiej klasy. Ukłonił się nisko i zniknął. Została sama. Oszołomiona luksusem i dziwaczną podróżą trwającą prawie osiem godzin, podczas której nie stała się mądrzejsza ani o jotę. — Mają najwyraźniej fioła na punkcie tej Saby! — westchnęła głośno, by usłyszeć choć własny głos w sterylnej ciszy. Grube drzwi nie przepuszczały dźwięków. — O co tu chodzi? Dlaczego siedmioro naukowców porzuca swoje zajęcia uniwersyteckie, by snuć rozważania nad stutzerkaratowym diamentem, który gdzieś, kiedyś zniknął. I skąd, u Boga Ojca, przyszło im do głowy, że ja coś mogę o nim wiedzieć! Zwyczajna tłumaczka książek. No, translatorka! To oni mają wiedzę, odkopywali starożytne miasta z ich grobami, resztkami pałaców i studniami. W czym mogę pomóc ja, trzydziestosześcioletnia kobieta po rozwodzie, o pozycji dającej sumę miesięcznego przychodu równą trzystu dolarom? Boże, jaka jestem zmęczona... — odwróciła się, słysząc delikatny szelest. Cienką jak ostrze noża szparą pod drzwiami ktoś z mozołem przepychał błyszczącą, śliską kopertę z hotelowym nadrukiem. Zaintrygowana podniosła ją. — Zapraszam do King's Club. O jedenastej dwadzieścia — odczytała angielski tekst. — Ma pismo zbliżone do demotycznego! Widocznie czyta, biedak, teksty ze stelli grobowych dwudziestej piątej dynastii! Cholery można dostać! Iść spać czy wypić dwa drinki za lepszą przyszłość? Jezus, Maria, ja się nawet nie mam w co ubrać!

Klnąc na cały świat, późną porę i opadające powieki uczesała niesforne włosy, włożyła przyciasną sukienkę z ciemnozielonego weluru i klejnot, jedyną cenną rzecz, jaką miała: kopię złotego naszyjnika z zawieszką, znalezionej w Antinoe, w środkowym Egipcie. Kairsy jubilerzy potrafią wszystko. Nawet przenieść z rysunku w złoty kruszec rzecz tak skomplikowaną. Przyjęła ten prezent, bo był pożegnalny. Skończył się krótki i burzliwy „romans wykopaliskowy”. Każde wróciło w swoje strony. Ona do Polski, on do Bolonii. *Finita la comedia.*

Przyjrzała się sobie w owalnym lustrze.

— Można wytrzymać — szepnęła — choć przydałoby się zrzucić parę kilogramów.

Wyszła, przekręcając klucz. Elegancki szef recepcji usłużnie wskazał drogę do baru.

— W lewo, szanowna pani, i schodami w dół.

Karta hotelowa, którą na szczęście wzięła, pozwoliła zaoszczędzić trzydzieści franków wstępu. Co ja tu robię w tym przybytku dla milionerów? — pomyślała, zanim dostrzegła Toma — różowe niemowlę przy barze, rozmawiającego z wysokim, szczupłym mężczyzną o włosach w odcieniu zwanym pieprz z solą.

— O, Agatha! Dołącz do nas! — ton głosu, jego lekko nosowy zaśpiew kojarzył jej się z konserwatystami z brytyjskiej ławy rządowej.

— Halo, Tom — usiłowała przywołać uśmiech spod Buckingham Palace. Odwróciła głowę i natychmiast poznała mężczyznę w szarym garniturze, nie pasującym do dyskotekowego wnętrza.

— My już się znamy — jego angielski brzmiał podejrzenie.

— Istotnie. Wpadłam na pańskie narty w Zermatt. Jak się pan tu dostał? Spod Matterhornu do naszego hotelu, jak mu tam, jest przeszło dwieście dziewięćdziesiąt kilometrów. I to górami!

Tom upił długi łyk. Whisky była chyba bez lodu. Miał odpływające oczy i zmarszczki wokół ust. Nie był już różowym niemowlakiem. Ale starym, zniszczonym facetem z chorobą alkoholową.

— Przedstawiam pani JFK — zachichotał. — On ma dokładnie te same inicjały, co świętej pamięci amerykański prezydent! Jest reporterem... czego, Jack?

Agata poprosiła o wytrawne martini. Nie była pewna, czy pora jest właściwa, ale lubiła ten trunek.

Jack zrobił jej miejsce na zupełnie wygodnym stolku. Zawsze się bała, że spadnie i zrobi skandal. Podciągnęła sukienkę, odsłaniając kolana. Obaj zawiesili wzrok.

— Tak? — spytała rozbawiona. — Jest pan dziennikarzem?

— Jestem reporterem. Dobrym. — Miał śliczny uśmiech rzezimieszka, który akurat nie napada, bo jest na urlopie.

— A bywają także źli?

Pochylił swoją naprawdę ładną głowę. Zrosnięte brwi nadawały twarzy nieco surowości.

— Reporter, szanowna pani, podaje fakty. A dobry reporter rozumie ich sens.

Pokiwała głową. W świetle kinkietów jej naturalnie rude włosy zaśniły złotem.

Tom Collins chwiał się niebezpiecznie. Jack podparł go ramieniem.

— Wybacz pani? To moment. Muszę go odtransportować...

Potrząsnęła włosami, które opadły na oczy.

— Nie. Sama tu nie zostanę... za nic na świecie.

Skinął na obsługę. Była cicha i dyskretna. Tom chciał protestować, ale wzięty w kleszcze tylko uśmiechał się niebiańsko.

— Agatha... niech on ci powie... Cornelius Tschudi...

— Idź spać, Tom. Nie przejmuj się profesorem.

— Ale niech ci powie... ona została spalona! Na stosie! — coś na kształt uśmiechu wpełzło na wargi kompletnie pijanego pracownika szacownej British Library z Londynu.

Jack położył dłoń na zaciśniętych palcach Agaty.

— Proszę się nie martwić. To ja chciałem się z panią spotkać. Tom Collins posłużył wyłącznie za przynętę. Nieznajomemu pewnie by pani odmówiła.

Przytaknęła.

— W moim kraju — zaczęła, obracając szklaneczkę w palcach.

— To znaczy, w jakim? — popatrzył na nią z góry, tak jakby oczekiwał, że przyzna się do mongolskiego pochodzenia.

— Mieszkam w Polsce.

Szare oczy w kolorze agatów rozjaśniły się śmiechem.

— Bardzo śmieszne! — powiedział z akcentem z Górnego Mokotowa. — Bardzo śmieszne. Tom sądził, że pochodzi pani ze Słowacji.

— Mówi pan po polsku? — jej zdumienie nie było udawane.

— Bo jestem Polakiem. Jacek Filip Keller, do usług.

— Agata Lubecka. Co właściwie pan tu robi?

Spojrzał na nią ciepło.

— Zaprzyżądniam się z panią. W Szwajcarii to nie jest karalne.

— U nas też nie. Ale... czuję się bardzo zaskoczona. Ta podróż... i w ogóle...

Ujął jej dłoń.

— Więc porozmawiajmy chwilę o tym „w ogóle”.

— Lud mówi tylko wtedy, gdy czegoś chce — zacytowała klasyka.

— A czego chce?

Odrzuciła grzywkę znad prawego oka.

— Wiedzieć. Co ja tu robię? Dlaczego siedem osób przez osiem godzin z widokiem na alpejskie lodowce i dwieście dziewięćdziesiąt jeden mostów uparcie mówi o stutrzykaratowym diamencie królowej... tej, no...

— Bilqis.

Spokojnie odstawiła szklanę.

— Et tu, Brute, contra me? — wycedziła zwięzając źrenice. — Co mnie obchodzi diament wartości siedemnastu milionów dolarów?

Pogładził jej dłoń.

— Oczywiście. Pozwól, biorąc pod uwagę okoliczności, że przejdziemy na ty...

Skinęła głową.

— Co mówiło to różowe, stare dziecko, zanim je odholowano do kostnicy? Kto został spalony na stosie? I co ty o tym wiesz?

Zamówił trzeciego drinka.

— Posłuchaj. Wydarzenie miało miejsce w tysiąc siedemset osiemdziesiątym drugim roku w miejscowości Glarus, w Szwajcarii, gdzie odbył się ostatni w Europie proces o czary. Kilkunastoletnia dziewczynka, córka szanowanego sędziego, miłe i spokojne dziecko, zaczęła nagle miewać drgawki, wypluwać gwoździe i kamyki. Diagnoza była błyskawiczna: została opętana przez diabła.

— Wesoło...

— Słuchaj dalej. Specjaliści od opętań szybko znaleźli sprawczynię nieszczęścia: była nią służąca rodziny, Anna Göldi. Annie wytoczono proces o czary. Komisja złożona z inkwizytorów i sędziów, w tym również ojca dziewczynki, nie miała wątpliwości. Służąca została skazana na śmierć. I wyrok wydano zgodnie z prawem.

— O czym ty mówisz, Jacku?

— Wiesz, jak się nazywał ów sędzia i ojciec dziewczynki? Cornelius Tschudi, potomek wybitnego historyka doby odrodzenia, autora cennych kronik „Gallia comata” Aegidiusza Tschudiego.

— No... coś takiego! — wyjąkała Agata. — To ci historia! Ale jaki związek ma tamten Cornelius z profesorem poza... związkiem krwi? Nie uwierzę, by nasz dobroczyńca, który wydaje tyle pieniędzy na konferencję w Sankt Moritz, czuł się upokorzony postępkami przodka! O czym mi nie powiedziałaś, reporterze?

— O „Pawim oku”. Diamencie wartym dziś owe siedemnaście milionów dolarów.

— Ja zwariuję! Co ma kamień królowej Bilqis, żyjącej w pierwszym wieku naszej ery, do czarownicy z Salem... przepraszam, jak się nazywała ta szwajcarska dziura?

— Glarus.

— No właśnie. Boże, chyba się upiję! Jak dzieciątko Tom! Uściślijmy coś, dobrze?

Skinął głową. Z przyjemnością przyglądał się rudej kobiecie potrafiącej zachować wdzięk nastolatki. I tak ładnie się dziwiła. Ma ogromnie dużo uroku osobistego. I najwyraźniej, rzeczywiście, nic nie wie o diamencie. Ale stary Cornelius jest zbyt szczwanym lisem, by zapraszać nikomu nie znaną Polkę do Sankt Moritz, jeśli w jakiś sposób nie ma ona powiązań ze sprawą. Coś musi być na rzeczy. I to jest dla niego wyzwanie!

— Zgoda.

— Kim jesteś? Jakaś jednoosobową służbą specjalną?

Uśmiechnął się, ukazując równe zęby. I kurze łapki wokół oczu.

— Reporterem. Współpracuję z różnymi pismami w Europie i Ameryce. Tymi, które specjalizują się w poszukiwaniu zaginionych akt, tajnych planów, utopionych statków i tego cholernego diamentu.

— Dlaczego?

— Bo jest historią pasjonującą. I przekleństwem wiszącym nad każdym aktualnym właścicielem kamienia. Ten ktoś musi umrzeć. Rozumiesz? Musi!

Zastanowiła się, marszcząc brwi.

— Dobrze. Zaczęło się od królowej Bilqis. Co potem?

Usiadł wygodnie, wyciągając długie nogi. Z taśmy nad barem płynęła łagodna muzyka. Wszystkie stoliki były zajęte. Na twarzach kobiet i mężczyzn ze świata biznesu i wielkich pieniędzy błąkały się sztuczne uśmiechy. W uszach dam wisiały perłowe butony, na szyjach i dłoniach lśniły karaty w odcieniach czerwieni i szlachetnej morskiej toni. To był świat bogatej finansjery, złotych i brylantowych kart kredytowych, przed którymi stało otworem sześćset trzydzieści szwajcarskich banków krajowych i ponad dwieście zagranicznych. Z ich sejfami usytuowanymi w podziemnych bunkrach i skalnych grotach.

— Potem kamień pojawił się w Egipcie.

— Jeśli mi powiesz, że na szyi tej koszarnej Kleopatry...

— Nie powiem. Ale jesteś blisko. Za czasów dwudziestej szóstej dynastii. Jej ostatni władca, niejaki Psametyk Trzeci...

Skinęła głową.

— Tak, pamiętam ze studiów. Egipt został wtedy podbity przez perskiego monarchę Kambyzesa. Ale co z „Pawim okiem”?

— Nosila go na szyi egipska nałożnica Kambyzesa. Miał wtedy wyłącznie znaczenie magiczne. Wkrótce ją uduszono. Kamień znów przepadł. Ale kilkadziesiąt dziwnych zgonów w ciągu osiemnastu stuleci mówi samo za siebie. O „Błękitnej śmierci” wspominają zapisy na papyrusach, kawałku zwoju z Qumran i glinianych tabliczkach. Odczytali je ludzie śpiący teraz w swych hotelowych łóżkach: Aurelia Levy, Samantha York, Jacques Trever.

— Michael Burrows, Jeremy Tavernier...

Podniósł szklankę do ust.

— Stop! On nie.

— Jest przecież wybitnym specjalistą w dziedzinie archeologii śródziemnomorskiej! Tłumaczyłam na polski jego książkę, zresztą świetną. Ma tytuł „Historia Arabii Felix”. Arabia szczęśliwa to jego pasja!

— I diamenty.

Spojrzała zdziwiona. Czuła już lekki wpływ alkoholu. Odstawiła szklaneczkę.

— Moje narzędzie między uszami, zwane umysłem, zaczyna szwankować. Nie nadążam.

Ujął jej dłoń w swe ciepłe palce. Poczwała dreszcz. I nie był to dreszcz strachu. Raczej uderzającej krwi. Jacek był niewątpliwie seksownym mężczyzną.

— Ile masz lat? — wypaliła, zanim pomyślała o skutkach.

Pocałował ją w miejsce za uchem.

— Czterdzieści. Nie, co mówię! Jeszcze trzydzieści dziewięć. Moje urodziny wypadają za trzy dni.

Odsunęła się na bezpieczną odległość.

— Moje gratulacje. Ja mam trzydzieści sześć. Tak na wszelki wypadek. Gdybyś nieopatrnie chciał mnie poderwać.

— Chcę.

Musiała się roześmiać. Mieli podobne poczucie humoru.

— Dobra, co to za rewelacje z Tavernierem?

— Tak naprawdę pracuje dla Gassan Diamonds w Amsterdamie. Jest rzeczoznawcą na majowych aukcjach w Genewie. Ostatnio Gassan Diamonds wystawił na aukcji brylant ważący sto karatów, w kolorze D, Internally Flawless.

— A w ludzkim języku?

— To jeden z najpiękniejszych na świecie brylantów. Zaledwie o osiem karatów mniejszy od słynnego Koh-i-Noora z brytyjskiej korony..

— Dość. W życiu nie miałam brylantu.

— Wszystko przed tobą! — roześmiał się wstając.

Zsunęła się ze stołka. Zegarek wskazywał pierwszą trzydzieści.

— Oczywiście. Jak tylko znajdę waszego błękitnego pawia. Bo to Cornelius Tschudi sprowadził mnie do Sankt Moritz! I nazwał Agathą Christie... mnie! Warszawskiego mola książkowego. Pomysł tak zielony, że wiosną zjedzą go szwajcarskie krowy!

Odprowadził ją pod drzwi pokoju i pomógł je otworzyć.

— Też tu mieszkasz? — spytała zasypiając na kłamce.

— Niestety. Nie stać mnie na pokój za osiemset franków za dobę. Mieszkam niedaleko, także w Dorf. Hotel nazywa się Languard Garni. Przy via Veglia, z tyłu biura turystycznego. To na wypadek, gdybyś chciała mnie odwiedzić.

— Naturalnie. Zapamiętam, bo mi się kojarzy z langustą garnie. Na przykład owocami awokado. Dobranoc JFK. Miło było...

Zatrzasnęła ciężkie drzwi, ściągnęła pantofle na wysokich obcasach, w których zupełnie nie umiała chodzić, i rozrzucając rzeczy po puszystym dywanie stanęła naga pod prysznicem.

A potem, już w miękkim ogromnym łóżku, zasnęła kamiennym snem.

★ ★ ★

Sala była wysoka, zimna i ponura. Przez wąskie okna nie wpadał ani jeden promień słońca. Komisja złożona z czterech inkwizytorów i trzech sędziów świeckich siedziała

na dębowej ławie jeden obok drugiego. Kamienna posadzka oddawała echo ciężkich kroków straży wlokącej młodą dziewczynę odzianą jedynie w wełnianą koszulę. Jej sine bose stopy kulily się, ramionami osłaniała głowę.

— Anno Göldi — odezwał się inkwizytor Świętego Oficjum, chudy i z twarzą w dziobach po przebytej czarnej ospie — czy przyznajesz się, że rzuciłaś czary na małą, niewinną Catharinę, córkę siedzącego tu sędziego Corneliusa Tschudiego?

— Nie — wyszeptła nieszczęsna, zalewając się łzami.

— Czy ukradłaś kamień filozoficzny należący do rodziny sędziego?

Dziewczyna wybuchnęła głośnym płaczem.

Theodorus Weckherlin, sędzia rady w Glarus, podniósł palec.

— Co zrobiłaś z kamieniem świętym, służącym Bogu, Panu naszemu?

Dziewczyna zadygotała.

— Nie ukradłam! Wyrzuciłam! On zabił naszą panią! To przez niego spadła klątwa na całe miasteczko! — zaczęła się trząść, jej zęby dzwoniły z chłodu i strachu.

— Polejcie ją wodą. Tylko zimną! Ze stopionego lodu. Może oprzytomnieje i przyzna się do czarów.

Rosły parobek spośród tych mieszkańców miasteczka, którzy stali ciasno zbici w gromadę, przyturlał beczkę.

— Do środka z nią!

— Niech się utopi, mała czarownica!

Dziewczyna uczuła mrowienie w piersiach. Lodowata woda z nie rozpuszczonymi bryłkami parzyła skórę na brzuchu i udach.

— Jezusie, Maryjo! Chciałam tylko uchronić ją od śmierci!

— Kogo, Anno Göldi? Kogo?

— Małą Catharinę. Ona pluła gwoździami i kamykami dlatego, że była skazana. Na śmierć!

— Zanurzyć jej głowę! Niech ochłonie! — wrzeszczeli wieśniacy, powodując nadmierny tumult.

— Cisza! — wrzasnął Emeryk Euler, trzeci z inkwizytorów, z twarzą pooraną zmarszczkami. Ścisnął w dłoni wielki srebrny krzyż. — Niech nastanie cisza!

Ludzie umilkli. Młodzieniec zanurzył głowę dziewczyny w wodzie. Zachłysnęła się, kaszląc i plując.

— Odpowiadaj, Anno Göldi. Czy ukradłaś kamień o błękitnej barwie, należący do rodziny Tschudich? Ów kamień poświęcony w Jeruzalaim u Pańskiego Grobu?

Anna nie mogła mówić. Siniała.

— Wyjąć ją z beczki. Przygotować na tortury żelaza! — zarządził sędzia Tschudi, zamykając z trzaskiem księgę praw.

— Nie! — wrzasnęła nieszczęsna, ostatkiem sił wyrывая się z rąk oprawcom.
— Powiem wszystko! To zły kamień! Każdy, kto ma go w ręce, umrze. Jak nasza pani i matka pani. I jej matka! Każdy, kto weźmie go do ręki. Wszyscy umarli, bo diabeł w kamieniu tak chciał! To był diabelski znak! Ona mi to powiedziała...

— Kto, Anno Göldi?

— Śmierć! Przyszła w brązowym habicie... z kapturem! Śmierć!

— Przyznała się! — ogłosiła rada. — Zostanie, zgodnie ze świętym prawem, skazana na śmierć przez spalenie na stosie. Wyprowadźcie tę czarownicę!

Burza szalała przez całą noc. Pioruny waliły, rozdzierając stare drzewa. Potoki deszczu podmywały skarpy i z hukiem spływały w dół, ku miastu i jego domostwom, zatapiając co niżej położone siedziby ludzkie. Mieszkańcy kulili się z chłodu i strachu, a dzwon na wieży kamiennego kościoła miał dźwięk potęgujący grozę. Tu i ówdzie wybuchały pożary, gaszone natychmiast przez ulewę. Takiej burzy mieszkańcy Glarus nie pamiętali od najdawniejszych czasów.

Stary Töss z głową osłoniętą wełnianym kapturem stał w drzwiach swego domu położonego na wzniesieniu. Obok leżała dobrze naostrzona siekiera. Töss był cieślą i jemu powierzono przygotowanie stosu. Ale szalejące siły przyrody przekreśliły wszelką możliwość działania.

— Nie zbuduję stosu, zanim nie opadną wody — mruczał do żony, też otulonej ciepłymi chustami. — Anna Göldi jeszcze pożyje. Pewnie to diabelska sprawka!

Kobieta przeżegnała się.

— Jak nie dziś, to jutro — wycedziła przez zaciśnięte usta. Jak wszystkie niewiasty w Glarus, całym sercem była po stronie Świętego Oficjum i jego wyroków. — Kto z diabłem paktuje, musi ponieść karę. Ale nie pojmuję, co to takiego ów kamień, który ukradła... nie na mój rozum.

Cieśla zapatrzył się w strumień wody, z hukiem spadający z gór. Niósł brunatne błoto, kamienie i potężne konary wyrwanych drzew. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności ominął jego domostwo leżące na uboczu.

— Mówią, że niebieski kamień sprowadza śmierć na tych, którzy go mają.

— To po co on sędziemu? Dlaczego trzymał go w domu, jeśli prawdą jest, co mówisz?

— Milcz, głupia kobieto! Podrzuc drew do ognia, bo zmarłem. Ale jak powiada pisarz z sądu, a jest nim szacowny Theodorus Grubler, uczony człowiek i zacny mieszczanin, ten kamień przywieźli do naszego kraju uciekinierzy spod Marignano...

— Mów jaśniej, mężu, nie uczonom...

— Wtedy pobito Szwajcarów... znaczy nas. W wojnie z Francuzami i Wenecjanami. A dowódca naszych wojsk uszedł z częścią armii. Ale zabrał Francuzom ich święty kamień. Pochodzi on, mówią, z Ziemi Świętej. Tyle, że klątwa jakowaś na nim...

— To po co myśmy go brali? — kobieta nie ustępowała.

— Bo jeden z mądrych kaznodziejów powiedział, że to kamień filozoficzny... znaczy taki, co przyniesie bogactwa niezmiernie, a rodzinie, w której przetrwa trzy pokolenia, sprawi, że opływać będzie we wszelakie dobra.

— I to rodzina Tschudich miała go od trzech pokoleń?

— Od dwóch. Ta mała Catharina jest dopiero trzecim pokoleniem. Mówię to, com słyszał, gdy budowałem w sądzie nowe ławy z suchego dębu.

— I Anna Göldi go ukradła?

— Tak mówią. Wczoraj przyznała się. Twierdzi, że diabeł w habicie tak jej nakazał.

— A gdzie go schowała?

Cieśla odstepił od drzwi, zamykając je przed napływającą wilgocią.

— Tego nikt nie wie.

— Tortury nie pomogły? Mówią, że ją przypalano rozżarzonym żelazem.

— Tak mówią. Ale prawdy nie wyciągnęli.

Kobieta nakryła wełnianą kołdrą najmłodsze dziecko, śpiące w szerokim łożu.

— Niech zginie i przypadnie diabelski kamień. Wtedy pewnie Catharina przestanie pluć gwoździemi i toczyć pianę z ust.

— To wyroki niebios, kobieto. I Świętej Inkwizycji.

Trzy dni deszcz padał na miasteczko Glarus, powodując zniszczenia i topiąc bydło. Czwartego dnia nagle ustał jak za dotknięciem czarodziejskiej pałeczki. Trzeba było czasu, aby słońce wysuszyło polanę pod Trzema Bukami, gdzie miał stanąć stos. Cieśla zakasał rękawy i rąbał wyrwane z korzeniami drzewa na równe polana. Był fachowcem i wiedział, jak to się robi. Trzon stosu stanowił okorowany słup świerczyny, wbity w twarde podłoże. Wokół niego ułożył rusztowanie z drewna nasączonego łatwo palnym olejem. Ksiądz poświęcił stos, aby lepiej służył Bogu.

Piątego dnia o wschodzie słońca przywieziono Annę. Ze związanymi nogami i dłońmi, ciałem poparzone żelazem. Spod okrwawionej szarej koszuli wystawała jeno głowa z długimi pasmami jasnych, posklejanych włosów. Dziewczyna była przytomna i cały czas poruszała wargami, jakby w niemej modlitwie.

Przywiązana do słupa aż do zmroku stała z opuszczoną głową, lżona i opluwana przez gromadzącą się gawieź. Gdy słońce zniknęło za horyzontem, zapanowała cisza. Nadciągnęli sędziowie i kapłani ze Świętego Oficjum. Pierwszy z płonącej pochodnią zbliżył się czcigodny Emeryk Euler.

— Pan nasz postanowił, że oto spłoniesz doszczętnie na stosie, a popiół z twego ciała rozrzucony zostanie do wód rzeki. Pan nasz, Zbawiciel, karze czary wszelakie, a tyś sprawiła, że w tę oto dziecinę — wskazał na małą, zapłakaną Catharinę Tschudi — wstąpił szatan. Tylko twoja śmierć może uratować niewinną istotę. Podpalam stos. Za mną głównie wyrzuć ci, którzy wierzą. Amen.

Cała ludność miasteczka zaczęła miotać pochodnie. Ale mokre drewno nie chciało buchnąć jednolitym płomieniem.

— Jestem niewinna! — płakała w głos oskarżona, czując jak czarna chmura dymu owiewa jej twarz. — To diabelski kamień! Nie ja!

Lud nie lubi, kiedy nie respektuje się w pełni praw Bożych. Dolewali oleju, aż bierwiona zapłonęły żywą czerwienią.

— Giń, przepadnij, siło nieczysta! Dla zbawienia duszy niewinnego dziecięcia... — kapłan uniósł w niebo obie dłonie. Jego szaty z fioletu i bieli błyszcząły w blasku ognia.

Mała Catharina jęknęła. Padła w drgawkach na trawę, a z jej ust pociekła różowa piana. Cornelius rzucił się córce na pomoc. Jego żona zanosła się szlochem.

— Panie! — jęczała, padłszy na kolana. — Wróć życie mojej córce! Niech jej choroba uleci wraz z ciałem i duszą czarownicy!

Anna poczuła potworny ból. Zachłysnęła się dymem, tracąc czucie i rozum. Jej ciało pękało z żaru, a kości paliły się niczym suche patyki. Tylko długie, jasne pasma włosów chwiały się na wietrze.

Nagle stos zajaśniał błękitem. Lud padł na twarze, sądząc, że Bóg przyjmuje właśnie złożoną mu ofiarę. Sędzia Tschudi spojrział na córkę. Była martwa. W jej otwartych oczach paliło się niebieskie światło. Nad stosem uniosła się chmura niczym śnieżny obłok. I głos czyjś, jakby z otchłani, wymówił wyraźnie w nieznanym języku:

— Malach Ha-Mavet!

A potem ogień przygasł i zniknął. Tylko szare dymy snuły się wokół Trzech Buków. Z ciała Anny Göldi nie pozostało nic poza kupką gorącego popiołu.

Cieśla Töss chciał rozgarnąć ów stos, ale jakaś siła nie pozwoliła mu się zbliżyć.

Inkwizytorzy skupili się, rozmawiając z cicha. Ich wyrok został wykonany. Ale matka rozpaczała nad śmiercią dziecka. Sędzia Tschudi na własnych rękach niósł małą Catharinę do domu pogrzebowego. Za nim szedł lud otumaniony dymem, żarem, własnym podnieceniem i modlitwami.

Na pogorzelsku stygły prochy.

Dopiero późną nocą tajemnicza postać w brunatnej opończy, nikomu nie znana w miasteczku Glarus, pochyliła zakapturzoną głowę nad paleniskiem.

— Malach Ha-Mavet! — wyszeptała. I zniknęła.

Szwajcarska miejscina długo opowiadała o spalonej na stosie czarownicy. Uczone sławy z całego kraju, a także z Francji i Wenecji, w spisanych kronikach radziły, by „badać i ważyć fakty, zanim się im zawierzy, oto droga pośrednia, którą wskazuje nam rozum”.

Tak skończyła się pogoń za czarownicami, rozpoczęta bullą papieża Innocentego Ósmego „Summis desiderantes”. Ani teolodzy, ani demonolodzy rozmaitych autora-

mentów nie wyrzekli się jednak przekonania, iż rozpoznanie czarownicy jest proste: „Ma na twarzy znak diabła (pieprzyk!), nie tonie w wodzie, nie jest wrażliwa na ból, wyróżnia się urodą i nosi przy sobie, na ciele coś w niebieskim kolorze. Najlepiej kamień. Miewa zielone oczy i rudawe włosy”.

Ale „Pawie oko” znów zniknęło na dziesiątki lat. I dalej trwała klątwa królowej Bilqis. Bo dopóki kamień nie wróci do jej grobu, każdy, kto go pragnie — umrze. Nawet jeśli by nie wiedział, że go ma.



Agata siedziała w ostatnim rzędzie długiej sali konferencyjnej w hotelu Badrutt's Palace i z trudem unosiła opadające powieki. Referat nieznanego Niemca o Epifaniu-szu z Konstancji był tak nudny, naszpikowany łacińskimi cytatami, na dodatek podawanymi z bawarskim akcentem, że nikt z obecnych na sali nie rozumiał ani słowa.

Ale nie wypadało wstać i wyjść do pokoju, gdzie czekało wygodne łóżko o rozmiarach dwa metry na trzy. Niestety. Od pół godziny przestała słuchać, wpatrzona w ośnieżony szczyt za oknem, jedną z tych lśniących czapeczek nad Górnym Engadynem. Oczywiście i on był dzisiaj przysłonięty chmurami ciągnącymi z zachodu.

Wczorajszy wieczór spędzony w King's Club wytrącił ją z równowagi. Coraz mniej rozumiała, coraz częściej zadawała sobie w duchu pytanie: co, u diabła, ja tu robię? Dlaczego ci zwariowani poszukiwacze diamentu sprzed trzech tysięcy lat wciągnęli mnie w swoje szaleństwo? Przecież są ludźmi o sławnych nazwiskach, naukowcami z dorobkiem mało znanym w moim kraju. I na dodatek świat pieniądza, jak się wydaje, stoi przed nimi otworem. Liczne wykopaliska finansowały rekiny kapitału, odpisując wydatne sumy od podatków. Dlaczego ów tajemniczy diament zaprzęta ich umysły do tego stopnia, że rywalizują ze sobą niczym kupcy z kairskiego bazaru? Siódemka oszałałych masochistów? Kamień przynosi tylko choroby, nieszczęścia i śmierć! Ale przecież ja nic nie wiem o diamentach. Nic! Zaraz... JFK coś wspominał o Jeremym... tak, że jest ekspertem w tej branży. Trzeba zatem wyciągnąć Taverniera na spytki. Ale jak? — spojrzęła na salę. Ludzie spali, starając się nie chrapać zbyt głośno. Ktoś przerwał ciszę, odsuwając fotel. Kto? Ha! Właśnie Tavernier. Wychodzi. Agata pogratulowała sobie miejsca w ostatnim rzędzie. Za nią były już tylko ciężkie dębowe drzwi. A za nimi... wolność, śnieg, góry i powietrze przesączone zapachem wilgotnej ziemi i ziół. Przyczaiła się, aż „diamentolog” dobrnął do końca sali i poruszył klamką. Wysunęła się za nim ostrożnie niczym kot, baczący, by nie przyciąć sobie ogona.

Młody blondyn z szopą kręconych włosów, tak podobny do aktora z francuskiej komedii, uśmiechnął się do Agaty.

— Już dłużej nie mogłem. Pani też?

Skinęła głową.

— Tak. Bogiem a prawdą, nic nie wiem o Epifaniu z Konstancji. I nie muszę wiedzieć.

— Przejdziemy się trochę?

Agata radośnie skinęła głową.

— Z przyjemnością. Marzy mi się daleki spacer. Tylko wezmę kurtkę, dobrze?

Szli powoli w kierunku Celeriny, mijając olimpijskie tory bobslejowe i saneczkowe i wdychając ożywcze powietrze. Niebo nad górami przecierało się, ukazując od czasu do czasu płaty błękitu. Rozmawiali o jedzeniu, brydżu, którego Agata nie znosiła od czasu, gdy eks-mąż usiłował nauczyć ją „konwencji treflowej”, i o ciepłych plażach Ibizy, które uwielbiali oboje.

— Czy nie pogniewa się pan, jeśli zadam jedno pytanie kompletnie głupie?

— Od razu odpowiem: koniec świata według Nostradamusa nastąpi w trzy tysiące siedemset dziewięćdziesiątym siódmym roku.

Zmrużyła oczy. Słońce odbite od lodowca raziło.

— Będzie mnie pan uważał za głupszą od kserokopiarki. Ale muszę to wiedzieć.

Podał jej dłoń we włóczkowej rękawiczce koloru pistacji. Chyba była damska i kupiona na wyprzedaży. Jeremy ubierał się najwyraźniej w to, co właśnie wystawało z szafy albo z szuflady. Ale na szczęście oba buty miał w tym samym kolorze. Co mogło świadczyć i o tym, że nie widział francuskiej komedii z różową panterą.

— No, niech już pani wydusi. Omijaliśmy ten temat od dwóch godzin, prawda?

Uśmiechnęła się promiennie. Jej mocno rude włosy wystawały spod zielonej czapki, policzki zaróżowiły się.

— Jak wygląda „Pawie oko”?

Zatrzymał się na ścieżce, chwytając oddech. Szli teraz pod górę, w kierunku dalekiego jeziora błyskającego taflą wody pomiędzy rzadkimi drzewami.

— Chodzi o diament królowej Bilqis?

— Oczywiście. Powiem coś, co wyda się panu śmieszne: nigdy nie miałam w ręku żadnego diamentu. Moje pokolenie z kraju nad Wisłą jest na ogół zbyt biedne, żeby móc sobie coś takiego sprawić. Oczywiście, nie mówię o nowobogackich...

W jego oczach błysnęły iskierki śmiechu.

— Dobrze. Nie ucieknę od tego. A zatem: rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty ósmy — w firmie Sotheby's w Nowym Jorku sprzedano kamień bezbarwny w kształcie gruszki, osiemdziesiąt pięć karatów, za sześć milionów dolarów. W roku dziewięćdziesiątym w Sotheby's w Genewie kamień w formie gruszki o nazwie „The Mouwad Splendor”, sto dwa karaty, za ponad dwanaście milionów dolarów, w dziewięćdziesiątym czwartym w Sotheby's w Nowym Jorku niebieski, szlifowany kamień jak szmaragd, dwudziestokaratowy, za prawie dziesięć...

Odwróciła się ze złym błyskiem w oczach.

— Jeremy Tavernier! Niech pan mnie nie traktuje jak idiotki.

Obraził się.

— Nic podobnego. To są ostatnie ceny na światowych rynkach. Żeby zrozumieć, czym jest „Pawie oko”, musi pani coś więcej wiedzieć o kamieniach!

— Na przykład: dlaczego ludzie wariują z ich powodu?

— Właśnie. Ostatnio... dosłownie trzy dni temu uczestniczyłem w wielkiej aukcji Domu Christie's w Genewie. Atrakcją wieczoru był brylant w kształcie serca — największy, jaki kiedykolwiek został wystawiony na sprzedaż. Ważył prawie sześćdziesiąt trzy karaty i był bezbarwny jak woda spływająca z lodowca. Poszedł za pięć milionów. Nabywca nieznany...

— Zaraz, zaraz... — Agata przystanęła dla nabrania tchu. Byli już wysoko nad Sankt Moritz. Stąd widać było tylko dachy. — Co to jest pięć milionów? Przedtem mówił pan o dwunastu...

— Wie pani co? Pójdziemy teraz na piwo do tej chaty pasterskiej. Stawiam.

Spojrzała z niedowierzaniem.

— Przecież to jest szałas dla owiec!

Roześmiał się. Objął ją ramieniem, gestem, w którym nie było cienia seksu.

— W Szwajcarii wszędzie można zjeść i wypić. A pasterski szałas to tylko folklor dla turystów. Zaręczam pani, że oprócz owiec siedzi tam również ich baca... będący przedstawicielem jednego z tysięcy banków.

— Handluje piwem i... pieniędzmi?

— Naturalnie.

O dziwo, Jeremy miał rację. Wewnątrz szałasów było przytulnie i dość gwarno. Przy stolikach okupowanych przez turystów stały potężne kufle holenderskiego heinekena i grolscha, duńskiego carlsberga i niemieckiego bitburgera.

— Co pani pije?

— Wszystko jedno. Byle jasne.

Gruba kelnerka z tacą zastawioną kufkami krążyła wokół sali.

— Wygląda dość... statecznie — wymruczała Agata, pociągając łyk.

— Jest jak ta góra: potężna i solidna. Bardzo szwajcarska.

Agata rozpięła kurtkę. W szałasie było ciepło.

— Co z „Pawim okiem”?

Pokręcił głową, na której rudawe piórka zwichrzyły się zabawnie.

— Malach Ha-Mavet, czyli „Anioł śmierci”, jest diamentem. Nie brylantem. Bez określenia różnicy między tymi kamieniami, nigdy nie zrozumie pani zawilosci tej historii.

— Więc?

— Proszę zatem posłuchać. W skrócie, naturalnie: diament w chemii to czysty węgiel skryształizowany pod wpływem działania sił przyrody...

— Wybuchów wulkanów?

— Także. Aby znaleźć jeden gram diamentu, trzeba przekopać sto ton ziemi. Zanim surowy diament stanie się brylantem, musi przejść kilka etapów obróbki.

— Taka obróbka niszczy... zmienia wielkość!

— Oczywiście. Ale to podnosi wartość. Diamenty sortuje się według kolorów: biały, przezroczysty, żółtawy, różowy i najrzadszy — błękitny. Dalsza obróbka to likwidacja niedoskonałości, odpiłowanie zanieczyszczonych ścianek, nadawanie form: prostokątu, gruszki, serca. Potem fachowiec dobiera odpowiedni szlif, czyli ukośne powierzchnie. I jedną taflę. Dopiero wtedy wpadające do wnętrza kamienia światło ulega załamaniu i rozproszeniu. Brylant zyskuje ogień, czyli życie.

— Rozumiem. Te szlify...

— Tak. Zawsze pięćdziesiąt siedem powierzchni ułożonych symetrycznie, pod odpowiednim kątem. Sztuka znana od wielu pokoleń. Najlepsi szlifierze świata są w Holandii. Dlatego tam mieszkam. Z nauki nie wyżyję. To raczej hobby... ci Sabejczycy... żeby odkryć grób Bilqis, trzeba mieć pieniądze.

Agata poczuła, jak pod wpływem ciepła, trunku i tajemnicy wstępuje w nią duch starej damy i imienniczki: Agathy Christie.

— Wszystko to piękne. Historyjkami o ludzkich namiętnościach do szlachetnych kamieni wypełnione są karty historii. Ale my siedzimy tu i teraz. W Sankt Moritz. Wiem, jakie powiązania z diamentem ma profesor Tschudi. A pan?

W jego wzroku zalśniły chłodne blaski.

— Takie same. Diament pozostawał przez jakiś czas w rodzinie. Mój praszczur Jean Baptiste Tavernier zajmował się poszukiwaniami archeologicznymi na rozległych terenach pomiędzy Indiami a szlakiem handlowym wiodącym do Szabui i Marib — stolicy królestwa Saby.

— I tam o niej usłyszał? O Bilqis?

— Tak. I oszalał na punkcie „Pawiego oka”. W skrócie powiem, że wysledził jego losy aż do Francji przedrewolucyjnej. Oczywiście, w czasie gdy głowy arystokracji spadały na gilotynach, zginął.

— I co?

Jeremy wzruszył ramionami.

— Pamiętniki rodzinne mówią, że Jean Baptiste odnalazł go, miał przez parę tygodni i... zginął. Uduszony. Podobno w czasie bójki. Tak mówią kroniki. Ale ja odkryłem tymczasem coś zupełnie niezwykłego. Coś, co się wprost w głowie nie mieści, a przecież każdy turysta może ją zobaczyć, jeśli tylko chce...

— Kogo?

— Królową Bilqis.

Agata odsunęła kufel. Zdjęła czapkę, pozwalając rudej fali rozsypać się wokół policzków. Czowała, że nie nadąza za tymi wszystkimi rewelacjami. Stanowczo zbyt duża dawka wiedzy spowodowała kompletny mętlik w jej skołatanej głowie.

— Gdzie? — wydusiła z siebie głos nieco chrapliwy.

— We Francji. W Chartres.

Agata wydeła policzki. Patrzyła na Różową Panterę z pewną dozą sceptycyzmu. Oni wszyscy mają kompletnego fioła. Wszyscy. Widzą szkielety i duchy tam, gdzie być w ogóle nie powinny! — pomyślała.

— Jeremy, może pan mówić jaśniej? W Chartres byłam. Zwiedzałam głównie słynną katedrę, ale...

— Ale nie wiedziała pani, że ona tam jest!

— W katedrze?

— Tak. Posąg królowej Saby ozdabia północny portyk dwunastowiecznej katedry. U jej stóp stoi... Arka Przymierza.

Agata wydmuchała powietrze z płuc. Sytuacja zaczęła się komplikować.

— Nie wiedziałam. Słyszałam tylko opowieści, prawie biblijne, że ze związku króla Salomona i owej Bilqis przyszedł na świat syn. Podobno dano mu na imię Menelik. On to miał wykraść z Jerozolimy największą świętość Żydów: Arkę Przymierza, w której znajdowały się kamienne tablice z dziesięciorgiem przykazań.

— To bajki. Nigdy nie było żadnego Menelika. Ale Zakon Templariuszy wierzył w te stare podania. Także w ucieczkę owego Menelika do Etiopii. Chociaż to tylko legendy. Natomiast posąg Bilqis, jedyny, jaki istnieje, znajduje się w Chartres.

— Jeremy. Wróćmy do „Pawiego oka”. To jego szukamy, a nie Arki Przymierza.

Tavernier rozejrzał się po sali. Turyści wchodzili i wychodzili, gwar potęgował się lub uciszał. Mocne piwo lekko szumiało w głowie.

— Cóż... szukam go od trzynastu lat. Dlatego, że kiedyś należał do rodziny, i dlatego, że jego wartość wzrasta z każdą minutą.

— Ale przynosi śmierć!

Jeremy wstał. Podał rękę Agacie i pomógł jej włożyć kurtkę.

— Nie zamierzam go zatrzymać. Jestem ekspertem od diamentów. Znam wszystkich kupców świata.

— Chodzi panu tylko o pieniądze?

— Naturalnie. O to samo walczą ze mną inni: Tschudi, Tom Collins, Trever, Aurelia, Samantha, nieznośny Burrows i ktoś jeszcze.

— Kto?

— Pani, Agatho. I, być może, ten reporter: JFK.

— Jacek Keller? — Agata zatrzymała się na środku sali, całkowicie tamując przejście.

— Co on ma z tym wspólnego? Ściga temat, a nie kamień. Jak każdy zdolny reporter!

Jeremy otworzył drzwi. Buchnęła fala rześkiego powietrza. Chłodziła gorące głowy i wypędzała opary alkoholu.

— Być może. Ale Tom Collins wygrzebuje dla niego informacje, jak by to powiedzieć... bardziej osobiste...



Siedzieli w barze King's Club, usiłując nie słyszeć zbyt głośnej dyskotekowej muzyki płynącej z taśmy. Agata, JFK i jego długoletni przyjaciel Tom Collins — różowe dziecko w pijanej mgle.

— Co to za rewelacje wyciągnęłaś od Jeremy'ego? — Jacek z dużą przyjemnością przyglądał się Agacie. Jej świeże policzki i ogromne zielone oczy pełne blasku robiły na nim, nie od dziś, duże wrażenie. Starał się nie narzucać, by nie spłoszyć jakimś nieprzemysłanym gestem tej odrobiny intymności, jaka się między nimi rodziła. Czuł to. I wiedział, że ona też odczuwa podobnie. Przebiegał między nimi prąd, ten tajemniczy, znany od zarania dziejów, zbliżający każdą Ewę do jej Adama.

Agata cofnęła dłoń, którą nakrył palcami. Miała swoje lata i wiedziała, czym się to kończy: łóżkiem. Nie, żeby miała coś przeciwko seksowi. Ale lubiła długie, powolne dochodzenie do odwzajemnianych uczuć. Teraz jednak jej umysł zaprzętała historia „Pawiego oka”. I jego zniknięcia.

— Tylko to, co opowiedziałam.

Tom Collins pokręcił głową. Jeszcze nie był kompletnie pijany. Myślał i rozumował z dala od szklaneczki whisky pilnowanej przez Kellera.

— To wszystko jest znane od stuleci. Faktycznie, w British Library dokopałem się do mnóstwa materiału. Jeremy mówił prawdę. Diament-olbrzym rzeczywiście przez jakiś czas należał do jego rodziny. W tysiąc osiemset trzydziestym roku pojawił się w Londynie. Bankier Filip Tavernier, pradziadek Jeremy'ego, zakupił go za cenę osiemnastu tysięcy funtów.

— I co? I co się z nim stało? — Agata odsunęła kosmyk włosów spadający na oczy. Nie dostrzegła wzroku JFK, wpatrującego się w nią z niemym zachwytem.

— Diament spowodował gwałtowną śmierć bankiera. Znalezione go uduszonego w gabinecie zamkniętym od środka.

— Koszmar! — Agata lekko dotknęła własnego gardła. — Czy to się przydarzało wszystkim?

Tom rozłożył ręce. Jego dłoń sięgała po szklaneczkę. Tym razem JFK nie zdążył.

— Udało mi się udokumentować sto dwadzieścia sześć uduszeń: król francuski, jego kochanka madame de Sestrière, księżniczka włoska Lamballe, angielski bankier Hope, rosyjski książę Katinowski, jego kochanka, tancerka z Folies Bergère, sułtan turecki i ostatni, o którym wiem: amerykański milioner Thomas York...

— Ktoś z rodziny Samantha?

— Tak. Jej dziadek. Zasłabł w kabinie statku. Stwierdzono zgon przez uduszenie. A wiecie, jak nazywał się statek?

JFK tym razem skutecznie zablokował kryształową szklaneczkę, ponownie wypełnioną whisky.

— Ja wiem. Nazywał się... „Titanic”.

Agata westchnęła.

— To się w głowie nie mieści! Katastrofę słynnego „Titanica” miałaby spowodować... królowa Bilqis?

Jacek się roześmiał. Znow nakrył jej dłoń swoimi palcami. Tym razem jej nie cofnęła. Była szczęśliwa, że czuje tajemnicze ciepło płynące aż do serca. W następnej minucie zrozumiała, że się boi. Nigdy dotąd nie miała tak silnego wrażenia, że niebezpieczeństwo czyha w każdym z kątów. Nawet tego luksusowego hotelu w samym sercu Alp.

— Jezus, Maria, jest koniec dwudziestego wieku! Kto o zdrowych zmysłach wierzy dziś w kłętą rzuconą przez postać z Biblii? Nie wiadomo nawet, czy żyła naprawdę. Nikt dotąd nie odkrył jej grobu!

Tom przetarł zaczerwienione powieki.

— JFK, daj mi się napić... a powiem wam coś, o czym nikt tu nie wie. Nawet stary, dobry Cornelius Tschudi...

Agata wymieniła z Jackiem spojrzenie.

— Daj mu — szepnęła po polsku — przecież i tak za moment zwali się pod stół.

Jacek pchnął palcem wskazującym szklaneczkę. Pojechała po gładkiej tafli szklanego blatu dokładnie tam, gdzie miała wylądować. Tom chwycił ją zdumiewająco mocno. Oplótł palcami i grzał przez moment chłodne szkło. Potem podniósł je do ust i wychylił w całości.

— No, co nam chcesz powiedzieć, molu książkowy?

Tom szklanym wzrokiem wpatrywał się w drzwi prowadzące do baru.

— On jest bliski znalezienia grobu. On wie...

— Kto? — JFK pochylił się, by usłyszeć.

Ale Tom Collins zniknął. Zsunął się bezładnie na podłogę, mrużąc coś niewyraźnie. Agata, wiedzioną szóstym zmysłem, odwróciła głowę, by zobaczyć miejsce, w które uprzednio wpatrywało się pijane dziecko. Ale nikogo nie było. Tylko wahadłowe drzwi chwiały się niczym liść na wietrze.

Kładła się spać dziwnie nieszczęśliwa i psychicznie sponiewierana. Problem z Collinsem, sam w sobie nieprzyjemny, bo nie znosiła pijaków. Brzydziła się nimi. Zostawiła Jacka i uciekła do pokoju, na górę. Godzinę siedziała w fotelu, przy wygaszonym świetle, wpatrzona w niewyraźne zarysy gór, które gdzieś tam, w absolutnej czerni stały potężne i groźne, czuwając nad spokojem alpejskiego miasteczka. Zatręsknęła nagle do lat młodości, gdy wspólnie z Karolem łazili po dolinach i tatrzańskich ścieżkach. Było źle, trudno, długo czekali na własny kąt, ale byli razem. Kłócili się i godzili, kochali i rozstawali, ale potrzebowali siebie nawzajem. Żadnemu z nich nie śnił się ekskluzywny hotel w sercu najdroższych Alp. Wystarczała Dolina Suchego lub schronisko w Roztoce. Dziś każde z nich poszło swoją drogą. Trudno. Nie przetrzymali naporu i burz. Ale

dlaczego siedzi tu sama jak palec w nieprzyjaznym świetle, otoczona ludźmi, z których każdy gra jakąś rolę i nie wiedzieć czemu śledzi każdy jej ruch. Skąd profesor Tschudi wykopał informację, że właśnie jej osoba może przyczynić się do odnalezienia „Pawiego oka”? Choć Tom Collins, mający najlepsze dojście do dokumentów, niczego o niej nie wie? A Jacek? Miły, przystojny, elegancki w każdym calu, czy aby na pewno śledzi losy królowej Sabejczyków tylko dla reportażu? Zbyt wiele w tym wszystkim tajemnic. Za mało wiedzy.

Odrzuciła kołdrę i wsunęła się z ulgą do szerokiego łóżka. Było jej ciepło i wygodnie. Zmęczenie zniknęło, zapadała w sen. Nie usłyszała stuknięcia drzwi balkonowych. Raczej jakiś nieokreślony dźwięk, nie przypominający niczego. Niczego znanego. Usiadła na łóżku, ale dłoń wyciągnięta w kierunku małej lampki, by ją zaświecić, zamarła. Czuła strach jeżący włosy i powodujący ściśnięcie gardła. Nie była w stanie wykrztusić słowa. Tym bardziej wrzasnąć na całe gardło. A powinna.

W nogach łóżka stała postać okryta mnisim habitem z naciągniętym na twarz kapturem. Nie ruszała się. Stała chowając dłonie w szerokich rękawach. Postać wysoka ponad miarę. Agata zamykała i otwierała oczy, chcąc się za wszelką cenę zbudzić. Miała nadzieję, że to sen. Niestety, jej głowa i każda z rąk ważyły chyba z tonę. Nie potrafiła wykonać żadnego ruchu. Przestała na moment oddychać.

Postać uniosła ramię. Z rękawa posypał się... śnieg. Padał w nogach jej łóżka niby z rozprutej zimowej chmury. Gdy już sięgał stóp, postać wyciągnęła dłoń: to był piszczał. Kości szkieletu o brązowej, suchej skórze.

Agata wrzasnęła z całych sił. Wydawało jej się, że ten krzyk rozbrzmiewa na wszystkich piętrach Badrutt's Palace. Dłoń sięgnęła włącznika. Lampka zabłysła żółtym światłem.

U wezłowania nie było nikogo. Lekko uchylona firanka chwiała się na wietrze.

— Boże — wyszeptała, z trudem rozwierając zmartwiałe wargi — to mi się śniło! — Zerwała się, by zamknąć drzwi balkonowe, których wcale nie otwierała. Majowy chłód w wysokich górach nie pozwalał na sen przy uchylonym oknie. Jej stopa dotknęła czegoś mokrego. Wrzasnęła, cofając się o krok. W nogach łóżka wysychała spora kałuża wody. Ostatnie drobiny śniegu topiły się, wsiąkając w dywanik. — Tu ktoś był! Śnieg nie jest tylko tworem mojej fantazji! — przekonywała samą siebie, by zagłuszyć gwałtowne bicie serca.

Nie wiedziała, dlaczego nagle zaczęła się ubierać. Pokój w ciepłym świetle elektryczności miał normalny wygląd. Wciągała sweter na gołe ciało, spodnie i adidas, nie dbając o bieliznę. Chciała stąd uciec jak najdalej. Choćby do holu, gdzie na pewno spotka normalnych ludzi. Zerknęła na zegarek. Była druga w nocy. W hotelu panowała martwa cisza. No, ktoś sobie ze mnie zakpił! — jej umysł próbował pracować. — Ktoś chciał mnie nieźle nastraszyć. Może zmusić do wyjazdu? Nie, nie zostanę tu ani minuty sama! — znów przemożny strach sparaliżował jej ruchy. Mokra plama nie zniknęła z podłogi. — Wiać stąd byle gdzie!

Naciągnęła ciepłą kurtkę z kapturem. Klucz tkwił w drzwiach. Otworzyła je, wysuwając ostrożnie głowę na korytarz. Pusto. Mżyło światło, ukazując szereg jednakowych dębowych płaszczyzn z błyszczącymi klamkami. Hotel jak hotel. Zbiegła schodami na pierwsze piętro. Wychylona przez wypolerowaną poręcz widziała hol wyłożony jasnym dywanem, zieleń ukrytą w bocznych załomach i... brązowy płaszcz czy też habit znikający za recepcją.

Suchość w ustach wzrastała. Pot gromadził się na brwiach. Runęła w dół, przeskakując po dwa stopnie. Jakby miała dwadzieścia lat. Dotarła do obrotowych drzwi nie niepokojona przez nikogo. Wypadła w czerni nocy nie zastanawiając się, dokąd biegnie.

— Jacek! — wyszeptała, czując nocny chłód. Naciągnęła kaptur na głowę, pamiętając tylko tyle, że należy skręcić w lewo. Jak przez mgłę przypominała sobie nazwę hotelu. — Coś jak langusta garnie! — wymruczała. — Już wiem! Languard Garni! Przy via Veglia! Tak mówił! — nie zastanawiała się nad jego reakcją, gdy usłyszy łomotanie do pokoju. W ogóle nie myślała. Przed oczyma wciąż miała brunatny kikut dłoni, z którego... sypał się śnieg. Koszmar.

Hotel znalazła stosunkowo łatwo. Miał błękitny neon i wyglądał na oazę spokoju. Starsza, elegancka pani w recepcji nie zdziwiła się jej widokiem.

— W czym mogę pomóc? — przyjaźnie spytała twardą angielszczyzną.

— Muszę się widzieć z monsieur Jack Keller. Toute de suite... — wyszeptała po francusku. Ten język był pierwszy, jakiego się nauczyła w dzieciństwie. Brzmiał lepiej w chwilach szczególnych.

— Jest druga w nocy. — Siwowłosa pani miała łagodny uśmiech.

— Wiem. Proszę... zadzwonić...

Dama bez słowa nacisnęła właściwe klawisze. Chwilę trwało, zanim w pokoju podniesiono słuchawkę.

— Tu jest do pana... madame, jak panią zaanonsować?

Agata niezbyt grzecznie wyrwała jej słuchawkę z rąk.

— Jacek? Muszę natychmiast...

— Wejdz na górę — usłyszała jego spokojny głos. — Pokój numer trzysta trzy.

Nie czekała na windę. Biegła przeskakując stopnie. U wylotu schodów wpadła w jego ramiona. Stał bosy, w spodniach od pizamy z gołym, opalonym na brąz torsem. O nic nie pytał. Objął ją i poprowadził do swego pokoju. Długo nie mógł zdjąć z niej kurtki. Płakała wstrząsana dreszczami. Aż ucichła.

— Już dobrze — mruczał z ustami w jej zmierzwionych włosach. — Już w porządku. Jesteś bezpieczna. Zdejmij sweter, spodnie i mokre buty. Wejdz pod kołdrę.

Dała się rozebrać niczym lalka. Jego ciepłe dłonie powodowały, że dreszcz mijał. Nie pytał, co się stało. Wiedział, że jeszcze nie potrafi niczego wytłumaczyć. Nie teraz. Była kłębkim nerwów, który trzeba rozgrzać i utulić. Miał doświadczenie. Wiele kobiet przewinęło się przez jego życie.

Wstał, by podnieść z podłogi jej rzeczy.

— Nie! — krzyknęła zduszonym głosem. — Nie odchodź!

Położył się obok niej. Objął ją ciasno ramionami. Całował oczy, policzki, szyję. Czuł, jak się uspokaja, odpręża. Oddawała jego pieszczoty wolno i konsekwentnie. Była naga. I stało się to, co stać się musiało. Kochali się zachłannie, długo, raz za razem. Aż zmożył ich sen.

Promienie słońca przedarły się przez firankę i oświetliły jej zaróżowioną twarz. Zniknęła gdzieś bladość skóry i cienie pod oczami. Leżała rozgrzana, spokojna, posapując jak nie rozbudzony szczeniak. Jacek oparty na łokciu przyglądał się jej krótkim, gęstym rzęsom.

— Obudź się! — wyszeptał miękko, całując jej powiekę.

Drgnęła. Otworzyła oczy. Były zielone i pełne zdziwienia.

— Co ja...

— Co tu robisz? Śpisz.

— Ale... — zaczęła sobie przypominać noc, strach i ucieczkę. — Przepraszam... ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem. Nie broniła się. Znow się kochali. Minuty rosły w kwadrans. Ich ciała odrywały się od siebie z trudnością.

Uniosła głowę.

— Ona była u mnie w nocy. Bilqis. Nasypała śniegu u stóp łóżka. Kiwała piszczelem. No...

Skrzywił usta.

— Naturalnie. Skoro tak mówisz. Przestraszyłaś się czegoś. I przybiegłaś tutaj.

— A ty mnie wykorzystałeś.

Wybuchnął śmiechem.

— I nawzajem. Amen.

Mocno spóźniona wbiegła na salę konferencyjną. Po straszliwej nocy i cudownym poranku zdążyła się jedynie przebrać. O śniadaniu nie mogła nawet marzyć. Szwajcarzy byli punktualni, jak ich wspaniałe zegarki, przygotowywali wszystko z dokładnością do sekundy. Grzanki i kawę też. A teraz już była jedenasta. Aurelia Levy z połyskującą błękitem szlachetną w rysunku głową, ledwie widoczną znad zbyt wysokiego pulpitu, szeleściła kartkami notatek.

— Istnieje szansa, potęgowana przez każdą nową ekspedycję archeologiczną, że odkryte zostaną zupełnie nowe dane. Jesteśmy coraz bliżej prawdy, ale problemem nie są już pieniądze, lecz... polityka. Teren leży w sferze wpływów wielu krajów. Amerykańska „Pustynna Burza” przeciwko Irakowi też pozostawiła ślady. Na pustyni są bazy wojskowe. Odwieczny szlak handlowy pomiędzy starożytną Szabua a Marib przecina narożną

część pustyni, zwaną potocznie Pustynią Śmierci: Ar-Rab al-Chali. Arabia Saudyjska toczy z Adenem i Omanem spór o tereny graniczne. Od lat trwają tam nieustanne walki pomiędzy arabskimi plemionami. Ponadto na obrzeżach Pustyni Śmierci, jak przed wiekami, roi się od ludzi wyjętych spod prawa. Są to Arabowie wygnani na pustkowie przez własne plemiona. Lotnisko znajduje się co prawda pół kilometra od Dahrajnu, ale jest to bardzo wąski wąwóz głęboko wrzynający się w góry...

Agata starała sienie uronić ani słowa. Sprawa omawiana w referacie zawierała najciekawsze dane dotyczące Sabejczyków i ich królowej, której grobu poszukiwało od dziesiątków lat ze dwadzieścia rywalizujących ze sobą ekspedycji z Wielkiej Brytanii, Ameryki, Izraela i Niemiec. Kto będzie pierwszy? Ciemnoskóra królowa, o której cztery dni temu nie wiedziała nic, no, prawie nic, bo biblijnych przekazów nie brała zbyt poważnie, w ostatnich godzinach stała się najważniejszą osobą w jej życiu. Ona — Bilqis. Z zaciekawieniem więc wsłuchiwała się w głęboki głos Aurelii:

— Co dziś wiemy bezspornie: że Bilqis była Arabką ze szczepu Kedar i miała siedzibę, pierwszą przed zbudowaniem Marib, gdzieś w osadzie-posterunku lub garnizonie przy północnopustynnym szlaku karawanowym. Tam też powstała pierwsza świątynia Almaqa — boga księżyca.

— Ale gdzie ją pochowano? I kiedy? Czy wiadomo coś bliższego? — padł z widowni niecierpliwy głos. Jacques Trever w nienagannym szarym garniturze i białym golfie nerwowo splatał i rozplatał dłonie.

Aurelia posłała mu uśmiech.

— W tym właśnie cały problem. Księgi Salomonowe mówią tylko o jej przybyciu do Królestwa Judy. Ale nic nie wspominają o odjeździe.

— Musiała opuścić pałac zbudowany przez Salomona, kiedy król pojął za małżonkę córkę egipskiego faraona Psusennesa Drugiego. — Michael Burrows chwiał się w fotelu niczym trzcina na wietrze. — Aurelio, to już wiemy.

— Cisza! — profesor Tschudi uniósł się z pierwszego rzędu. — Proszę nie zadawać pytań teraz. Po referacie zarządzam konferencję panelową. Wtedy, panie Burrows, wystąpi pan ze swoimi pretensjami. O ile mi wiadomo, nikt nie zajmuje się tymi problemami tam, na miejscu. Poza Aurelią, naturalnie.

Skarcony umilkł niechętnie.

Agata przesiadła się bliżej. Zajęła wolny fotel obok Jeremy'ego Taverniera.

— Po co właściwie szukają jej grobu, skoro wiadomo, że diament jest gdzieś w Europie?

Tavernier zmarszczył brwi.

— Ależ, Agatho! Odkrycie grobu Bilqis to tak jakby znaleźć mumię Tutenchamona. W nauce liczy się wszystko, co trudne, niedostępne i co przybliży przeszłość. Kiedy kopano w okolicy Szabui, znaleziono naczynia z obsydianu, zawierające alabastrowy

puder używany przez kobiety tysiąc lat przed naszą erą. Także barwiczki: zielony proszek z malachitu, czarny z galenitu i najcenniejszy — z antymonu. Ruiny miast odkrywali już Rzymianie...

— Cisza na sali! — profesor Tschudi znów uniósł się z miejsca.

Agata pomału zapomniała o nocnym strachu i obłąkanej ucieczce w ramiona rodaka. Ktoś mi zrobił głupi kawał. Któryś z nich? Chcą mnie przestraszyć lub zmusić do czegoś? Żeby szukała z nimi błękitnego kamienia? Uwierzyła w klątwę rzuconą przez zazdrosną królową? Zapewne uznali, że skoro profesor ściągnął mnie tutaj — to wie o czymś, z czego reszta nie zdaje sobie sprawy. Chcą mnie zmusić do odkrycia się. Absolutnie nie wierzą, że nie mam nic wspólnego z „Pawim okiem”. No, nie wierzą. Muszę porozmawiać z profesorem. W cztery oczy.

Okazja nadarzyła się tego popołudnia. Wypogodziło się pięknie, góry odkryły swe ostre szczyty, a kolorowy, radosny tłum turystów korzystających z wiosennej zniżki cen, runął ku wyciągom i kolejkom linowym.

Także wielu gości Badrutt's Palace ruszyło na spacer w kierunku Caleriny, Zuoz lub Müstair, gdzie można obejrzeć, po drugiej stronie parku, tuż przy włoskiej granicy opactwo Świętego Jana Chrzciciela. Naturalnie, jeśli ktoś lubi ścienne malowidła z dwunastego wieku, sławiące głównie Karola Wielkiego.

Agata była zbyt zmęczona i rozbita, by wspinać się po górach. Po obiedzie ucięła sobie drzemkę, a potem śledziła, przez szparę w drzwiach, pokój profesora Tschudiego leżący dokładnie naprzeciwko. Kiedy wreszcie wyszedł, udała, że też należy jej się filiżanka kawy.

— Profesorze — zaczęła, uśmiechając się przymilnie — czy mogę pana porwać na pół godziny? Ciśnienie spada na łeb, a ja...

Obciągnął tabaczkową marynarkę.

— Cóż. Góry. Ale chętnie się z panią czegoś napiję. Tylko że nie kawy, lecz herbaty — podał jej ramię. Był czasami bardzo staroświecki w ruchach i gestach. — Jak się pani czuje w tym hotelu?

Spojrzała na niego przez rzęsy. Winda właśnie się zatrzymała, automatycznie otwierając drzwi.

— Dlaczego pan pyta?

— Bo niektórzy skarżą się na nocne hałasy. Samantha York, która mieszka obok pani, mówiła, że obudził ją o drugiej w nocy czyjś histeryczny krzyk...

Agata cofnęła się pod ścianę windy. Na drugim piętrze dosiedli się narciarze. Mówili głośno po niemiecku, z wiedeńskim akcentem.

— Nic nie słyszałam. A pan?

Dojechali na parter. W holu tłoczyli się nowi goście. Cała wycieczka Japończyków obwieszonych kamerami. Profesor wziął ją za rękę.

— Pójdziemy do małego barku za tymi donicami z zielenią. Dają tam kieliszeczek likieru z aloesu. Dobrze wpływa na wątrobę...

Agata odkrywała nie znane sobie miejsca. Hotel był duży, piekielnie drogi i właśnie dlatego starał się zadowolić wszystkich. Nawet tych, którzy nie lubili hałaśliwych klubów nocnych i ogromnych sal śniadaniowych. Zielone zasłony z roślin odgradzały małe, doskonale ukryte salki z kilkoma zaledwie stoliczkami i wygodnymi, klubowymi fotelami.

— Co panią dręczy, Agatho Christie? — spytał, smakując zielony nektar ze srebrnego kieliszeczka na wysmukłej nóżce.

— Pan — powiedziała odważnie.

Ukazał w uśmiechu rząd dobrze zrobionych zębów.

— Wiem. Ale nie chciałem wcześniej nic mówić. Moi uczeni koledzy powinni byli przygotować panią do tematu, który jest dla nas podstawowy.

— Diament?

— Tak. Malach Ha-Mavet. „Anioł śmierci”. Lub „Pawie oko”.

— Rzeczywiście Jeremy Tavernier, Tom Collins, a nawet Aurelia wyjaśnili mi wiele. Ale przecież nie wszystko, profesorze. Dlaczego ja? Co tu robię?

Cornelius Tschudi zmarszczył brwi.

— Moja żona, Lieselotte, zwykła mawiać w takich sytuacjach: oczy mam zamknięte, ale podsłuch włączony...

— Profesorze, proszę nie żartować. Co ja mam wspólnego z diamentem? Czego pan się po mnie spodziewa? I ta pańska... siódemka wtajemniczonych? Rozpyła się jakąś tajemnicę, niczym dezodorant, a dla mnie jest ona, przepraszam za te kosmetyczne porównania, nieuchwytna jak mydło w wannie!

— Dobrze powiedziane! Ale proszę mi wierzyć, Agatho, jeszcze nie czas. Co pani właściwie wie?

— Że pański praszczur spalił na stosie służącą, a w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym czwartym roku sprzedano w firmie Sotheby's w Nowym Jorku niebieski szmaragd za prawie dziesięć milionów dolarów, że „Anioł śmierci” nie jest brylantem, tylko diamentem, że Tavernier znalazł Bilqis na północnym portyku katedry w Chartres, ale nie wie, gdzie jest diament, że amerykański milioner Thomas York, dziadek Samantha, poszedł na dno razem z „Titanikiem”... tyle.

— Poszedł na dno. Ale tylko dziadek. Kamień nie.

★ ★ ★

Ślub Thomasa Yorka z Sarą Priscillą odbył się w Nowym Jorku we wtorek trzynastego marca tysiąc dziewięćset dwunastego roku. Pod hupą stanął czterdziestoletni właściciel sklepów kolonialnych i jego dwudziestoletnia narzeczona o czarnych, przepast-

nych oczach i karnacji białej jak mleko. Wesele trwało trzy dni i trzy noce, aż utrudzona para młoda, zabrawszy liczne bagaże i błogosławieństwa rodzin, odjechała do portu. Tam wsiadłszy na statek płynący do Europy, nowożeńcy oddali się całkowicie błogiemu nieróbstwu. Atlantyk był łaskawy tej wiosny, tak że przybyli do brytyjskiego portu w Dover w całkiem niezłej kondycji.

— Hotel Old England — rzucił Thomas, pilnie bacząc, by wszystkie bagaże znalazły się w taksówce.

Sara, jak urzeczona, przyglądała się mijanym ulicom i placom. Była w Europie po raz pierwszy. Wszystko ją ciekawiło i zachwycało.

Pani i pan Yorkowie zameldowali się w recepcji wyłożonej ciemną boazerią. Dostali wygodny pokój na czwartym piętrze z widokiem na Picadilly Circus.

Od poniedziałku Thomas rozpoczął rozmowy handlowe, gdyż podróż, choć poślubna, musiała przynieść jednak pewne profity. Sara oddała się całkowicie zwiedzaniu Londynu, jego muzeów i zabytków. W wędrówkach, także po magazynach mód, pomagała jej niejaka Francis Baker, żona właściciela sieci sklepów z antykami.

— Ach, Saro, musisz namówić Thomasa, by kupił do waszego nowojorskiego mieszkania trochę tych wspaniałych hinduskich tkanin. Spójrz, jakie piękne!

— Ale... one się nie nadadzą — westchnęła młoda kobieta, poprawiając włosy wysuwające się spod kapelusza. — Nasze mieszkanie jest umeblowane nieco... staroświecko. Thomas nie lubi żadnych udziwnień.

Francis spojrzała na nią spod oka.

— Więc w czym lokujecie kapitał?

Sara zatrzepotała rzęsami.

— Och, nie wiem. Ja się tym nie zajmuję. Ale...

— Tak?

— Wiem, że ma trochę złota. W naszej... w jego skrytce bankowej jest też nieco biżuterii. Po matce.

— Nie nosisz jej? — Francis otworzyła parasolkę. Niestety, pogoda w Londynie przedstawiała wiele do życzenia.

Młoda kobieta poczerwieniała.

— No... mam... to znaczy mogę, od czasu do czasu, włożyć sznur pereł. Kiedy idziemy z Thomasem na party do hotelu Kings George.

Francis westchnęła w duchu. Skoro Yorkowie nie dysponują odpowiednią ilością gotówki, to co będzie z moją prowizją? — Postanowiła kuć żelazo, póki gorące.

— W szabas Thomas odwiedzi naszą bożnicę, prawda?

— Och, tak. Jest bardzo religijny.

Francis Baker pchnęła z rozmachem szklane drzwi do antykwariatu przy Drucker Street. Odezwał się dźwięczny dzwonek umieszczony nad wejściem.

— Czym mogę służyć? — bardzo stary mężczyzna w nieco zniszczonym tużurku wychynął spomiędzy chippendali. — O, miss Baker, jakże mi miło.

— To żona amerykańskiego przedsiębiorcy z Nowego Jorku, panie Burrows. Chciałyśmy obejrzeć porcelanę...

Właściciel sklepu zgiął się w ukłonie.

— Szanowne panie mogą się tu czuć jak u siebie w domu.

Sara szeroko otwierała oczy. Takiego nagromadzenia antyków nie widziała nigdy w życiu. Dotykając delikatnie opuszkami palców starej cukiernicy z czternastego wieku, nie zwróciła uwagi na porozumiewawcze spojrzenia i cichą rozmowę prowadzoną za jej plecami.

— I co? — starzec patrzył z nadzieją.

— Na razie nic. Ale pracuję. Gdyby był zainteresowany, to kiedy mógłby obejrzeć kamień?

— Nie mam go tutaj, miss Baker. Sama pani rozumie... jest niebezpieczny. Śmiertelnie niebezpieczny...

Francis lekko wzruszyła ramionami. Nasłuchiwała się tyle o kłątwie wiszącej nad kolejnymi właścicielami „Pawiego oka”, że przestało już ją to bulwersować. Sądziła, jako pragmatyczka, nie bez racji, że zła opinia otaczająca błękitny klejnot jest legendą dodającą mu tylko splendoru. I podbijającą i tak niebotyczną cenę.

— Będziemy w kontakcie.

Wieczorem, w wygodnym pokoju hotelowym o brązowych aksamitnych portierach zasłaniających widok na żółte latarnie i mżawkę, rozległo się pukanie.

— Kto to, do diabła? — Thomas York nałożył marynarkę.

— Portier. Przesyłka.

Półpensowy napiwek zadowolił hotelową obsługę. Koperta była biała, sztywna, z eleganckim nadrukiem.

— Co to takiego, Thomasie? — Sara w przezroczystym koronkowym peniuarze wyglądała niezwykle ponętnie.

— Zaproszenie. Na raut do sir Leonarda Retkina.

— Znasz go?

— Nie. Ale wiem, kim on jest.

— Kim?

Thomas obrzucił żonę łakomym spojrzeniem.

— Och, Saro... nie wiem, czy powinnaś nosić takie rzeczy...

Uśmiechnęła się spod przymrużonych powiek.

— Oczywiście, że tak, Thomasie. Wiem o tym najlepiej — przytuliła się do sztywnego gorsu — więc kim jest ów... jak mu tam?

— Jubilerem. Największym znawcą kamieni szlachetnych. „Diamentowy król”. Tak go nazywają w Londynie.

Sara zmarszczyła ładny, mały nos.

— A co z naszą podróżą poślubną? Obiecałeś... niespodziankę?

Poczuła jego dłonie na swoim ciele.

— Będzie, Saro, ale teraz...

Bankiet w Garden Palace zgromadził całą finansową elitę Londynu. Damy puszyły się sukniami odkrywającymi ramiona i dekolty po to, by tym lepiej ukazać diamentowe kolie i brylantowe butony. Cała śmietanka stolicy Wielkiej Brytanii zebrała się z okazji wystawienia na aukcji kolekcji szmaragdów i rubinów hrabiny Postnikoff, starej rosyjskiej arystokratki, kuzynki cara, mieszkającej od dziesiątków lat przy Grover Street.

— Zmarła zostawiła swój cały majątek Cullinghamowi. To jej ostatni totumfacki — mówił sir Retkins do lady Fowcett.

— Ów słynny błękitny diament też?

Sir Leonard przymknął obrzmiałe powieki. Wypił trochę zbyt dużo porto. Także onegdaj.

— Nie. Myśli pani o „Pawim oku”, zwanym też po hebrajsku „Aniołem śmierci”? Ten kamień zniknął z sejfu hrabiny tej nocy, kiedy umarła. Nie wiem, gdzie jest. Ani kto go ma.

Kłamał bez zmrużenia oka. Doskonale wiedział, gdzie jest olbrzymi diament o niebezpiecznym blasku. Lady Fowcett także wiedziała, że stary oszust łże.

— Ciekawe... kto go kupi... — wymruczała, unosząc do ust wysmukły kieliszek.

Sir Leonard Retkins rozejrzał się po sali tonącej w blasku kryształowych żyrandoli. Tłum gęstniał, nie na tyle wszakże, by sir Leonard nie mógł wyłowić kątem oka pary stojącej na uboczu. Tuż przy kolumnie z kararyjskiego marmuru.

— Cóż... nie wiem, szanowna pani. Ten kamień znika i pojawia się niczym Feniks z popiołów. Jest obiektem pożądania każdego, czyje oko na nim spocznie.

Lady Fowcett zacisnęła wargi. Tworzyły wąską, brzydką linię.

— Pańskiego pożądania także?

Nie odpowiedział. Nie musiał. Z ukłonem wycofał się do innych gości.

— Francis — szepnął, przechodząc obok eleganckiej kobiety w fiołkowej sukni — przedstaw mnie tej amerykańskiej parze. Byłaś u Burrowsa?

Skinęła głową.

— Tak. Wszystko w porządku. Nie wiem tylko...

— I nie musisz! — odburknął niegrzecznie. — Zrób, o co cię proszę.

Na twarzy Francis Baker wykwitł niebiański uśmiech. Sunęła z kieliszkiem szampana w upierścienionej dłoni, aż dotarła do kolumny.

— Och, panie York! Mam prawdziwy zaszczyt przedstawić panu sir Leonarda Retkina.

Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Sara z zachwytem przyglądała się wielkiemu zielonemu szmaragdowi wpiętemu od niechcienia w fular zawiązany z fantazją pod brodą „Króla diamentów”.

— Moja żona, Sara Priscilla. Cóż za szczęście móc spotkać pana w Londynie.

Od owego czwartku, kiedy to Thomas York poznał „Króla diamentów”, minął tydzień. W tak krótkim czasie amerykański milioner nie zwykł był przelewać większych sum ze swego konta w nowojorskim Chase Manhattan Bank. Jednak pewien mglisty wieczór, a raczej noc, bo minęła północ, gdy przybył do niewielkiego antykwariatu przy Drucker Street, zmieniły jego cały ugruntowany obyczaj.

— Oto on — powiedział niedbale ubrany starzec, otwierając pudło wyłożone czarnym aksamitem.

Thomas York zacisnął szczęki, pozostając w bezruchu. To, co ujrzał, wprawiło go w osłupienie. Obecny przy tym Leonard Retkins dyskretnie odwrócił wzrok. Tak naprawdę bał się spojrzeć na klejnot śmierci, który, jeśli wierzyć opowieściom, był sprawcą niezliczonych wprost śmierci. Tych udokumentowanych i opisanych w raportach, jak i papierach spoczywających w ukrytych szafach British Library.

Amerikanin drgnął. Jego palec delikatnie dotknął chłodnej błękitnej powierzchni. Lampa naftowa, trzymana przez starego Burrowsa, oświetliła ciepłym blaskiem zarówno twarz mężczyzny wpatrującego się zachłannie, jak i ostre, nie oszlifowane kanty klejnotu.

— Olbrzym — wyszeptał York przez zaciśnięte usta.

— Tak. Proszę pamiętać, że dotykał go sam król Salomon. Był wprawiony w gwiazdę, którą nosił na piersi. Dla każdego pobożnego Żyda to nie tylko diament. To kamień-magia, diament-symbol. Prawie prorocstwo.

— I ja mógłbym... — oczy nowojorczyka rozszerzały się z każdym słyszonym słowem. Tak, był pobożnym Żydem. I wiedział dużo o Królestwie Judy. Tak sądził.

— Naturalnie. Reszta to tylko kwestia ceny.

Starzec zamknął safianowe pudło z maleńkim złotym zameczkiem. Kluczyk do niego miał zawieszony na szyi.

Sir Leonard Retkins odetchnął głęboko. Za nic w świecie nie wzięłby do ręki kamienia. Zbyt dobrze znał jego historię. Ale już starożytni mawiali: pecunia non olet. I jemu pieniądze nie śmierdziały. Wręcz przeciwnie — kochał je. Te dobre stare zielone banknoty z Chase Manhattan Bank w Nowym Jorku.

— Więc?

Thomas York przełknął ślinę.

— Chcę go. Chcę, bo miał go na swoim ciele największy król. Rozumie pan?

Obaj mężczyźni skłonili głowy.

— Kiedy możemy oczekiwać przelewu?

— Choćby i jutro. Telegraf działa. Ale... czy kamień ma jakiś certyfikat?

Burrows ostrożnie włożył safianowe pudło do sejfu. Na górnej półce leżał plik dokumentów.

— Oto ekspertyzy i podpisy sześciu najsłynniejszych jubilerów. Większość to Żydzi z Amsterdamu i Rotterdamu, jest też Samuel Goldman, pański rodak.

Thomas York zatrzymał wzrok na pożółkłym dokumencie sporządzonym po hebrajsku. Miał wszelkie potrzebne pieczęcie.

— W porządku. Ale... czy wywiezienie tego... no słynnego w świecie klejnotu nie będzie przedstawiało problemu? Nie chciałbym mieć do czynienia z waszą... policją. No, i w ogóle... jak mu zapewnić bezpieczeństwo?

Obaj mężczyźni wymienili spojrzenia. Wszystko było dokładnie obmyślane.

— Jest taka możliwość. W zasadzie jedyna. Jeśli przyjmie pan pewną... dodatkową gratyfikację.

— Jakąż to?

Król londyńskich jubilerów rozciągnął w uśmiechu wargi.

— O ile mi wiadomo... jesteście państwo w podróży poślubnej. Czyż nie tak?

— Istotnie — Thomas York spojrzał na zegarek z dewizką. — Mój Boże, jak późno. Pani York zapewne niepokoi się o mnie.

— Mam dla państwa niespodziankę. Otóż za trzy dni odpływa na swój pierwszy rejs nasz najnowszy, luksusowy statek pasażerski.

— Nie myślałem o morskiej podróży... obiecałem żonie jeszcze wyprawę do Paryża... pan rozumie... cieszy się na to.

Sir Retkins rozłożył dłonie.

— Z tym kamieniem? Zbyt niebezpieczne. W Paryżu aż roi się od złodziejasków wszelkiego autoramentu. Żaden hotelowy sejf nie jest pewnym schowkiem. Tylko... podróż powrotna w luksusowej kabinie „Titanica”. Bo tak nazywa się ów statek.

— Nie sądzi pan, że może się tam znaleźć jakiś... złodziej?

— Nonsens. W pierwszej klasie bilety wykupują milionerzy. Lista pasażerów jest znana. Sami nieposzlakowani obywatele. I jeszcze jedno — sir Retkins zawiesił głos — kapitan dysponuje najnowocześniejszym sejfem. Oraz... trzema detektywami okrętowymi, których zadaniem jest ochrona pasażerów.

— Sam nie wiem...

— Jutro dostarczymy do pańskiego hotelu dwa bilety do kabiny pierwszej klasy na najwyższym pokładzie. A na godzinę przed odpłynięciem statku tę safianową kasetkę. Proszę się porozumieć telegraficznie ze swoim bankiem. I wydać dyspozycję.

— Nikt nie podmieni kamienia? — Thomas York nie byłby sobą, gdyby nie zadał tego pytania.

Burrows w zdumieniu otworzył usta. „Król diamentów” zmarszczył brwi.

— Nikt z Europejczyków nie ośmieliłby się zadać takiego pytania. Rozumiem, że wy, Amerykanie, macie swoisty kodeks... handlowy. Podważył pan moje dobre imię...

— Ja nie chciałem... — Thomas York czuł dziwny skurcz żołądka.

— Tego diamentu nie da się podrobić, mister York. Co innego, gdyby został oszlifowany. Brylant łatwiej zmienić w szkło. Ale nie ten olbrzymi kamień o tak niezwykłych kształtach. I maleńkim zaciemnieniu u dołu. Zapewne powstało wtedy, gdy odłupywano go od podłoża. Nie, panie York. „Pawie oko” jest niepodrabialne. Od dwóch tysięcy lat!

Potężna sylwetka „Titanica” zacumowanego przy londyńskim nadbrzeżu oblepiona była tłumami gapiów i odprowadzających. Na pokładzie orkiestra grała modne rytmy, w kambuzie i pod pokładami roiło się od marynarzy obsługujących ponad dwa tysiące sto osiemdziesiąt osób. Kolorowe konfetti fruwało w mglistym powietrzu, serpentyny zwisały z burt, a różowe baloniki unosiły się w powietrzu. Londyńczycy żegnali swój najbardziej luksusowy statek udający się w dziewiczy rejs.

Sara York stała przy balustradzie, wpatrzona w szalejący tłum. Nękały ją mieszane uczucia. Żal jej było nie spełnionej obietnicy ujrzenia Montmartre’u, wędrowek po Luwrze i starych galeriach. Ominie ją także pokaz kapeluszy słynnej już madame Coco Chanel. Nie odbędzie przejażdżki powozem do Lasku Bulońskiego i po Polach Elizejskich. Płynie tym superliniowcem do domu. A szare fale i błękitne, miejmy nadzieję, niebo będzie jedyną codzienną rozrywką. No, oprócz wielkiego balu kapitańskiego, który odbędzie się już za pięć dni. Wtedy może włoży nową suknię w kolorze heliotropu i perłowe butony kupione przedostatniego dnia.

— Och, Thomas — zaczęła, obejrawszy się na męża stojącego o pół kroku z tyłu i ze zmarszczonymi brwiami wpatzonego w trap.

— Później, Saro, teraz czekam... o, jest.

— Kto?

— To sprawy zawodowe. Zanim oddamy się rozkoszom łoża i kapitańskiego stołu, mam do odebrania jeszcze jeden niezwykle ważny przedmiot.

Burrows, który pojawił się na najwyższym pokładzie, miał na sobie znoszony tużurek i wytarty kapelusz. Teczka, którą niósł w lewej dłoni, była przytwierdzona do przegubu cienkim, mocnym łańcuszkiem.

Zniknął wraz z Thomasem Yorkiem w kabinie. Zanim zadygotały potężne śruby statku, sylwetka starego człowieka wmieszała się w tłum na nadbrzeżu.

Na obiad państwo Yorkowie zeszli do olbrzymiej sali restauracyjnej. Ściany i sufit pokrywały przepiękne dekoracje. Stoliki nakryte śnieżnobiałymi obrusami pokrywało szkło i srebra najwyższej klasy. Kwiaty — bukiety ze świeżych kamelii i róż — rozstawiono w płaskich czarach, by nie przesłaniały półmisków.

Oficer w galowym mundurze wprost od londyńskiego krawca wskazał sześćoosobowy stół usytuowany w samym środku sali. Z galerii, gdzie usadowiła się orkiestra, płynęły łagodne dźwięki wiedeńskich walców.

— Jak się czujesz, Saro? — Thomas uściśnął jej łokieć.

— Sama nie wiem. Bardzo żałuję Paryża.

— Nie masz racji, moja droga. Wszyscy, którzy się liczą na tym Bożym świecie, są teraz tu. W tej sali.

Popołudnie spędzili na pokładzie leżakowym, oddając się łagodnemu dolce far niente. Niebo w dalszym ciągu było błękitne, a białe ptactwo, towarzyszące liniowcowi, unosiło się z krzykiem nad szarymi falami. Słońce grzało, lecz niezbyt mocno. Sara, odrzucawszy pled, wystawiła twarz, nie bojąc się gorszącej opalenizny. Jej śnieżna karnacja dawała gwarancje, że nie zbrunatnieje zbyt szybko. Myśli płynęły leniwie, jak fale odbijające się od świeżo lakierowanej burty. Statek był tak nieskazitelnie nowy, że wszędzie, od dziobu po rufę, unosił się delikatny zapach farby. Młodzież igrała w basenie pod okiem oficera odpowiedzialnego za rozrywki. Kapitan stał na mostku, sprawdzając dane meteorologiczne.

— Coś nowego, Burns?

— Właściwie nie. Węgiel w przegrodzie pod pokładem wciąż się tli. Za to telegraf odebrał wiadomość o górach lodowych.

— Miejmy nadzieję, że płynąc z dużą szybkością i spalając dziennie sześćset ton węgla zapobiegniemy rozszerzeniu się pożaru. Mówiłeś coś o górach lodowych?

— Tak jest, panie kapitanie.

Kolację podano o stosownej porze. Jej menu dla pierwszej klasy było wydrukowane na sztywnych kartonikach ze złotą obwódką i sylwetą liniowca w górnym rogu. Nie wszystkie dania odpowiadały Sarze. W jej rodzinnym domu kuchnia była o wiele mniej wykwinna.

— Czy to kosherne, Thomas? — spytała cicho, nachylona w stronę męża.

— Dla nas tak. Na statku jest wielu pobożnych Żydów, Saro. Pytałem kapitana.

Uspokoila się, posyłając nieśmiały uśmiech sąsiadce.

— Państwo w podróży poślubnej? — dama miała siwe, prawie białe włosy i wspinały naszyjnik z granatów.

— Czy to widać? — zainteresował się Thomas York.

— Och, kapitan postanowił uczcić szampanem wszystkie nowo poślubione pary na „Titanicu”.

Jej mąż, w wytwornej białej muszce nad sztywnym gorsem, gładził wąsy.

— Jest osiem par. Wszystkie mają przy swoich nakryciach bukietki fiołków. Dlatego żona zapytała...

Sara wyjęła z płaskiej czarki delikatne kwiaty. Podniosła je do ust, czując charakterystyczny, słodki zapach.

— Jak to miło ze strony kapitana...



O północy wszyscy rozeszli się do kabin. Na pokładzie wyraźnie pochłodniało. Wzmógł się wiatr.

— Coś ci powiem, Saro — Thomas York przyglądał się żonie. Miała szczupłą sylwetkę i dość pełne piersi. Podobała mu się jako kobieta.

— Co, Thomasie? — wkładała swój przezroczysty peniuar. Jej bose stopy wydawały się drobne i kruche.

— Kupiłem w Londynie słynny diament zwany po hebrajsku Malach Ha-Mavet.

— Tak? Co znaczą te wyrazy? Wiesz, że nie znam hebrajskiego.

— „Anioł śmierci”.

Odwiesiła suknię do szafy. Stała na środku kabiny, z rozpuszczonymi włosami, trzymając pończochy w lewej dłoni.

— To okropna nazwa, Thomasie.

— Ma jeszcze drugą — „Pawie oko”. Jest wart kilkanaście milionów dolarów.

Otworzyła szeroko oczy.

— I trzymasz go tu, w kabinie?

Uśmiechnął się. Podszedł blisko, kładąc dłonie na jej biodrach.

— Tylko w tę jedną noc, Saro. Chcę ci go pokazać... o północy.

— Już dawno minęła, Thomasie.

— Wiem. Ale naprzód chcę... ciebie.

Było już dobrze po drugiej, gdy zasnęli przytuleni do siebie. Nie wiedzieli, że morze zasnęła gęsta mgła, a wiatr stawał się coraz zimniejszy.

Kapitan Smith niespokojnie przechadzał się po mostku. Przez szybę nie widać było niczego poza mlecznymi pasmami gęstniejącej mgły.

— Melduję, że góra lodowa! Czy...

Potężny huk wstrząsnął kadłubem, aż zadudniło w zęzie. Potem drugi i trzeci...

Pasażerowie w kabinach budzili się. Niektórzy nerwowo się ubierali.

— Thomas! — Sara przestraszona usiadła na łóżku. — Thomas?

Chciała zaświecić lampkę, gdy dostrzegła jakiś cień. Zastygła w bezruchu. Ciemna postać w narzuconym na głowę kapturze pochylała się nad koją jej męża. Z rękawa ni to habitu, ni peleryny wysunęła się dłoń... nie, nie dłoń! Piszczel ludzkiego szkieletu. Sara poczuła pot spływający po plecach. W gardle narastała potężna kula. Statkiem znów miotnęło. Przedmioty znajdujące się na stoliku spadły i potoczyły się po podłodze. Rozległ się zgrzyt dartej blachy i potężny szum.

Ciemna postać położyła kościstą dłoń na gardle Thomasa Yorka. I mocno zacisnęła. Z szuflady wypadło safianowe pudełko. Pękł złoty zameczek. Za okrągłym bulajem

rozświetliła się błyskawica. Huknął piorun. Przez sekundę błękitny kamień pulsował tajemniczym, odbitym blaskiem. Statek wyraźnie przechylił się. Sara zamknęła oczy. Gdy je znów otworzyła, w kabinie nie było nikogo. Zapaliła lampkę i rzuciła się w stronę męża.

— Thomas, wstań! Statek tonie!

Nie drgnął. Leżał na wznak, z otwartymi oczyma. W jego źrenicach odbijało się żółte światło.

Potężny huk raz po raz wstrząsał kadłubem liniowca, który w jednej chwili przełamał się na pół i zaczął tonąć. Pandemonium, jakie rozegrało się na wszystkich pokładach, nie da się wprost opisać. Ludzie krzyczeli, przepychali się, nie mogąc odnaleźć kamizelek ratunkowych. Marynarze pospiesznie spuszczały łodzie. Ale wszystko stało się tak szybko, że grająca orkiestra nawet nie zdążyła złożyć instrumentów. „Titanic” pograżył się w morzu.

Sara nie wiedziała, kto ją znalazł, ubrał w pomarańczową kamizelkę i wrzucił z górnego pokładu do jednej z łodzi. Przed oczyma miała tylko martwą twarz Thomasa i kikut wysuwający się z brunatnego rękawa. Zapamiętała ten obraz na całe życie. I choć została ocalona z katastrofy morskiej, która pochłonęła tysiąc pięćset trzy ludzkie istnienia, nigdy nie wróciła do równowagi. Resztę życia spędziła w jednej z tych prywatnych klinik nowojorskich, które za tysiące dolarów utrzymują przy życiu ludzi niezrównoważonych, będących w szoku lub swym zmaconym umysłem uniemożliwiających normalne życie w rodzinie.

Sara York powtarzała martwymi wargami tylko trzy hebrajskie słowa: Malach Ha-Mavet.

I nawet słynny rabin z gminy na Manhattanie nie mógł pojąć, o czym myślała.



— Jestem z ciebie dumny.

— Słuchaj, jest druga w nocy!

— Jestem z ciebie dumny nawet o drugiej w nocy — JFK ogarnął Agatę ramieniem. Od owej pamiętnej nocnej ucieczki z Badrutt's Palace nie odważyła się spać sama. Jeszcze wracała pamięć przerażającego snu, otwartych drzwi balkonowych i kałuży wody między łóżkiem a dywanem.

— Spróbuj zasnąć dziś wcześniej — wymruczała.

— Zawsze próbuję. Ale powiedz, co właściwie wyciągnęłaś od Corneliusa.

— Tę opowieść o „Titanicu”. Nasz poszukiwany diament nie poszedł na dno razem z dziadkiem Samantha York. Sara, jej babka, która przeżyła katastrofę, była w ciąży. I mimo że sama skończyła w szpitalu psychiatrycznym, urodziła zdrowego syna.

— To niesamowite. Tom Collins nie wygrzebał w bibliotece tyłu szczegółów. Wiem tylko, że czternastego kwietnia tysiąc dziewięćset dwunastego roku sześćset siedemdziesiąt pięć kilometrów na południowy wschód od Nowej Funlandii lodowa góra rozłupała burtę „Titanica”. Wiadomo już też, że pod pokładem tlił się węgiel. Statek dlatego płynął tak szybko. Kapitan Smith sądził, że im szybciej wrzuci się go do kotłów...

— Ona podobno widziała... — Agata naciągnęła kołdrę na głowę — taką samą postać w kapturze.

— Co to znaczy: taką samą?

— Jak ta, która była u mnie w nocy! Boże, Jacek, jak ja się boję!

Objął ją mocno i zgasił lampkę. Jego łóżko w Languard Garni nie było tak szerokie i wygodne jak to, z którego uciekła. Ale rozumiał jej strach. Nasłuchiwał się i naczytał wiele przerażających opowieści związanych z diamentem. To go podniecało i powodowało, że zagłębiał się w sprawę z jeszcze większym zapalem.

— Martwią mnie te twoje skojarzenia. Tym bardziej że... o ile dobrze wiem, nie masz diamentu.

— Nie mam! — Strach wstrząsający ciałem Agaty powoli mijał. Przyzwyczała się już do nocy spędzanych z mężczyzną, jego zapachu i mocnych ramion. Za żadne skarby świata nie wróci przed północą do eleganckiego pokoju z płamą po wilgoci w nogach łóżka. — Ale podejrzewam, że Cornelius Tschudi wie więcej. Dużo więcej niż ty i ja.

Zapadał w łagodny sen. Wymruczał coś i odpłynął. Agata westchnęła:

— Miodowy miesiąc z trumną w przedpokoju.

Michael Burrows pociągnął łyk whisky z płaskiej „piersiówki”, po czym schował ją do wewnętrznej kieszeni kurtki. Jego uważne oczy za okularami w złożonych oprawkach spoglądały na kobietę, która drobila, starając się dorównać jego długim krokom. Przedpołudniowa sesja skończyła się na tyle wcześnie, że umęczeni suchym powietrzem sali konferencyjnej naukowcy tłumnie wylegli na spacerowe ścieżki. Było chłodno, lecz pogodnie. Potężne szczyty z białymi czapami wiecznego lodu wydawały się bliskie. Cirrusy płynęły wolno, majestatycznie wypiętrzając się w pierzaste stożki. Burrows, odziany w nieśmiertelną kurtkę z wyleniałego wielbłąda, sadził pod górę, nie czekając na towarzyszkę.

— Niech pan pozwoli, Michaelu — poprosiła zadyszana.

Znów niewiele spała, ale trudno się temu dziwić, skoro noc w noc przebywa w męskich ramionach. Nie zastanawiała się nad tym, co z ich romansu wyniknie. Było jej dobrze i czuła się bezpiecznie. Nie liczyła na żaden „dalszy ciąg”, bo nie miała najmniejszego pojęcia, jak potoczą się ich losy. Keller już od ponad roku nie był w kraju i nie czuł żadnej potrzeby powrotu. Pracował i zarabiał o wiele lepiej, niż by mu to proponowano nad Wisłą. Z rzadkich rozmów wynikało, że za jeden artykuł dla „Washington

Post” otrzymuje tyle, ile za pół roku pracy dla rodzimych mass mediów. Nie spieszył się tym bardziej, że to, co mógł wyczytać z na pół utajnionych dokumentów Tom Collins, już się wyczerpało. Dalsze losy zaginionego diamentu wymagały detektywistycznych umiejętności. Pijane dziecko we mgle nie mogło już w niczym pomóc. Szóstym zmysłem reportera czuł, że stary Cornelius Tschudi wie o wiele więcej. Ale ani Agata, ani on sam nie mieli możliwości wyciągnięcia ze starego profesora niczego ponad to, co sam chciał zdradzić. Po katastrofie „Titanica” ślad po klejnocie urywał się i tylko niejasne, niczym nie poparte relacje donosiły, że wypłynął w Niemczech po tysiąc dziewięćset trzydziestym trzecim roku. Niechętnie, ale zmuszony okolicznościami, wyznał to kiedyś Agacie.

Burrows obejrzał się za siebie. Ścieżka zaczęła wznosić się pionowo.

— Przepraszam, zamyśliłem się. Właściwie... dlaczego postanowiła pani towarzyszyć właśnie mnie?

Agata przystanęła. Serce jej biło, oddychała szybko.

— Zawsze jest pan taki podejrzliwy, Michael?

— Zawsze. Od Corneliusa wiem, że ma pani coś wspólnego z „Pawim okiem”.

Otworzyła usta w niemym zdumieniu.

— Powiedział to panu? Dlaczego nie mnie? Rozmawiałam z profesorem nie dalej jak wczoraj i wydawało mi się, że jest ze mną szczerzy...

Burrows zaniósł się śmiechem. Brzmiało to tak, jakby na ścieżce nagle zaczął szczekać lis albo inne zwierzę nie mające nic wspólnego z psem. Na przykład szakal.

— Sorry, Agatha! — otarł łzę, która mu spłynęła po policzku. — Dawno nikt mnie tak nie rozśmieszył. Chyba od czasu pogrzebu mojego praszczura...

— To był ten Burrows zamieszany w sprzedaż „Pawiego oka” dziadkowi Samantha York?

Michael odwrócił głowę. Jego bursztynowe oczy miały poblask stali.

— Kto pani o tym powiedział?

— Cornelius.

Burrows skinął głową i zaczął się wspinać pod górę w kierunku ławki stojącej pod potężnym modrzewiem. Stąd roztaczał się wspaniały widok na Sankt Moritz i jezioro.

— No dobrze. To prawda. Mój londyński praszczur prowadził w zaułku Druckera sklep z antykami. Ale oprócz tego współpracował z „Królem diamentów”, niejakim Retkinsem.

— Jakiś czarny charakter?

— Nie, szanowany obywatel. Ale prowadził szemrane interesy sięgające Delhi i kopalń południowoamerykańskich. Miał też nielegalną szlifiernię drogich kamieni, której losów już nie da się dziś wysledzić.

— A pański pradziadek?

— Przez jego sklep, tak sędzę, przechodziły wszystkie trefne transakcje. Stary Burrows uwielbiał pieniądze. Lokował je w papierach, które po pierwszej wojnie światowej straciły na wartości. Poza akcjami w kopalni w Capetown. Te akcje postawiły na nogi mojego dziadka i ojca. W pamiętniku, który zostawił po sobie, stary zboreźnik opisał dokładnie transakcję sprzedaży Malach Ha-Mavet dorobkiewiczowi z Nowego Jorku...

— Dziadkowi Samantha.

— Właśnie. Ale on się utopił razem z „Titanikiem”. Tylko... że wpierw został uduśzony... Sara York, choć chora na umyśle, nie zgłupiała doszczętnie. Opowiadała głośno, sama sobie, że widziała kościotrupa w kapturze, ściskającego gardło męża tuż przed przełamaniem się statku. Jej syn, gdy dorósł, nagrał to na taśmę. Samantha do dziś przechowuje to nagranie w bankowym sejfie.

— Dlaczego w sejfie?

— Bo nie wie, czy istnieje inny ślad dokumentujący prawa rodziny do kamienia, gdyby kiedyś wypłynął na rynku.

— Nie wie o pamiętniku Burrowsa?

— Teraz już tak. Wszyscy już wszystko wiedzą.

Agata oddychała pełną pierśią. Chętnie by tu spędziła urlop. Miejscowość przepięknie położona, tylko że nie na jej kieszeń.

— Poza jednym — mruknęła. — Co się później stało z „Pawim okiem”.

Burrows wyjął z kieszeni metalową „piersiówkę”. Potrzęsnał nią, sprawdzając, czy jest coś jeszcze w środku.

— Nie częstuję, bo to prawie trucizna.

— I tak pan pije mniej od Toma Collinsa.

Złote oprawki błysnęły w słońcu. Michael pochylał głowę jak ptak spoglądający z gałęzi.

— Biedny Tom. Jest alkoholikiem. I jednym z najmądrzejszych ludzi w British Library. Jest chodzącą encyklopedią. Ale cóż to za zawód dla mężczyzny!

Agata zapięła kurtkę na zamek błyskawiczny. Pomimo słońca od lodowych szczytów ciągnęło chłodem.

— Wróćmy do kamienia. Czuję, że pan wie coś więcej.

— Co z nim było dalej? Tak... istnieją pewne hipotezy.

— Jakie?

— Powtarzam: hipotezy. Faktów brak. Wie pani, co to jest „Noc jubilerów”?

Potrzęsnała przecząco głową.

— Nie. Mówiłam już. Nigdy nie miałam żadnej biżuterii poza obrączką. A i tę zdjęłam. Dawno.

— Ale zna pani Paryż?

Skinęła głową.

— Tak. I co z tego?

— Na placu Vendôme, w sercu światowego luksusu, odbywa się raz w roku „Noc jubilerów”. Wielcy właściciele firm, jak Boucheronowie, zapraszają bogaczy na pokaz kolekcji. Ta rodzina zajmuje się biżuterią od czterech pokoleń i stu trzydziestu lat. Na liście klientów mieli i mają zamożną burżuazję, nowobogackich królów Coca-coli, europejskich i arabskich playboyów, a także królową hiszpańską, wielką księżnę Marię Aleksandrowną, słynną aktorkę Sarah Bernhardt, później rodzinę Rotschildów...

— Burrows, do rzeczy!

Bursztynowe oczy za silnymi szklami błyszcząły niczym owe klejnoty z gablot wyłożonych aksamitem.

— Dobrze. Dochodzimy zatem do roku tysiąc dziewięćset trzydziestego pierwszego. Wystawa kolonialna popularyzuje motywy afrykańskie. Boucheron otrzymuje za to prestiżową Grand Prix.

— I wśród tego jest nasz diament?

Michael podniósł się z ławki. Jego chude ciało pomimo wielbłądziej pikowanki najwyraźniej marzło. Agata chuchała w dłonie.

— Zejdźmy ku dolinom. Czas na lunch. Nie, Agatho Christie... tak panią nazwał Cornelius, nie było diamentu. Tylko... jego cień...

— Co takiego?

— Właśnie. Otóż zgodnie z duchem modnego Art Déco, formy stały się bardziej, jakby to rzec, zgeometryzowane. Ściany salonu przy placu Vendôme pokryte były ry-sunkami. Jeden z nich, błękitny cień, był prawie dokładną kopią „Pawiego oka”.

— Stąd podejrzenie, że Boucheron widział diament?

— Lub że go miał, ale z jakichś względów nikomu nie pokazywał. Nie oszlifował go także na brylant...

Agata potknęła się, zachwiała i oparła o drzewo.

— Muszę patrzeć pod nogi! A może... bał się złej sławy kamienia?

Michael sadził susami w dół.

— Niewykluczone. Ale jest pewna wersja mówiąca o kimś nieznanym, kimś incognito, kto zamówił dziwaczną oprawę do kamienia.

— Dziwaczną?

— Tak. Nikt nie wie, co to znaczy. Jedyne ślad prowadzi do Berlina. Jest już rok trzydziesty trzeci i Adolf Hitler dochodzi do władzy. Właścicielem kamienia w dziwnej oprawie jest ktoś, kto musi się ukrywać...

— Jacyś Żydzi? Pobożny odpowiednik Thomasa Yorcka, który z religijnych przyczyn marzy o kamieniu samego króla Salomona?

Byli już na rogu ulicy prowadzącej do hotelu. Michael szedł tak szybko, że zmęczona Agata nie miała żadnych szans. Nie odpowiedział na zadane pytanie.

— Zamykając naszą tygodniową sesję, chcę podziękować wszystkim państwu za wkład włożony w naukę, która jak żadna inna przeżywa swój renesans. Zwoje papiirusów znad Morza Martwego podważyły, co prawda, doktrynę chrześcijańską, ale też przyczyniły się...

Cornelius Tschudi w nienagannym, ciemnym garniturze, ze złotą szpilką w perłowym krawacie, rozdawał uśmiechy na prawo i lewo. Naukowcy odprężeni, rozluźnieni obstąpili go, pytając o możliwości uczestniczenia w dalszych pracach wykopaliskowych na Półwyspie Arabskim.

— Cóż — Aurelia Levy potrząsnęła swą błękitną siwizną — zawsze jest taka możliwość. Choć, nie ukrywam, bardzo nam przeszkadzają amerykańskie bazy i wojska. Jednakże wszystko zależy od wkładu finansowego. Sami państwo wiecie, ile kosztuje sezon na pustyni.

— No, tak! — potwierdził Jeremy Tavernier, zamykając elegancką aktówkę. — Co najmniej trzystu Arabów do kopania, wynoszenia piasku w koszach, zorganizowanie kuchni, a przede wszystkim dowóz wody...

Nikt nie miał wątpliwości, że w piaskach Ar-Rab al-Chali należy utopić następne miliony dolarów. Tylko że byli tacy, którzy anonimowo lub oficjalnie mogli wyasygnować potrzebne kwoty bez uszczerbku dla własnego majątku. Banki i amerykańskie uniwersytety, nacierze od Teksasu po rodzinę Saudów, władców Kataru czy Kuwejtu. Piaski Arabii Szczęśliwej kryły niezmierzone bogactwa naturalne. Ze złożami ropy na czele. Przy okazji badań archeologicznych można się było spodziewać i odkryć całkiem innej natury. I dlatego Szwajcarskie Konsorcjum Finansowe, zasilane dolarami, markami i jenami, opracowało już sposób przelewu funduszy dla Corneliusa Tschudiego.

— To jest właśnie owa niespodzianka, o której chciałem państwa poinformować — słał uśmiechy zza nieskazitelnych zębów z akrylu — wystosowałem do kilkunastu osób imienne zaproszenia na jesienny sezon wykopaliskowy. Proszę wybaczyć, że nie do wszystkich, ale... sami państwo rozumieją... szukamy grobu sabejskiej królowej. Obowiązuje znajomość tematu, języków: hebrajskiego, aramejskiego i dialektów jemeńskich. Potrzebni nam architekci i rysownicy. Fotograf i kierownik robót. A wszystko to w temperaturze powyżej czterdziestu stopni Celsjusza...

Naukowcy ze zrozumieniem kiwali głowami. Należeli do grona ludzi przedkładających pracę w zaciszu gabinetów. Nie zaś udar słoneczny w sercu Pustyni Śmierci.

— Czy pan został zaproszony? — Agata pociągnęła za rękaw Jacques'a Trevera.

— Tak. Jestem dostatecznie zahartowany w bojach. Wie pani przecież, że królowa Bilqis stała się obsesją mojego życia.

— Wiem. Od chwili gdy spojrział pan w jej oczy... na północnym portyku katedry w Chartres.

— Racja. Pokochałem tę kobietę miłością pierwszą... słyszała pani plotki, że pojawia się niektórym w mnisim habicie i kapturze, kiwając... piszczalem?

Agata zbladła. Zachwiała się, ale odzyskała równowagę.

— Tak. Coś słyszałam. Także i to, że posypuje swoje ofiary świeżymi płatkami śniegu...

Jacques spojrział na nią zdumiony.

— O tym nie wiedziałem. Gdzie pani to wygrzebała? U Rutheforda czy ojca de Vaux?

— W swoim pokoju — wymruczała, obciągając przykrótką spódnicę.

Odprowadził ją zasmuconym wzrokiem. Jeszcze jedna, która uległa magii „Pawiego oka”. Biedactwo!

Po wytwornej kolacji wydanej w restauracji Badrutt's Palace dla wyjeżdżających następnego ranka, większość naukowców udała się do baru, by przy kieliszku martini uścisnąć dłonie starych przyjaciół.

Profesor Tschudi brylował wielce uradowany pochwałami ze strony luminarzy nauki, których gościł.

— Proszę państwa, to nasz ostatni wspólny wieczór. Rano powozy, mam nadzieję, że sanie nie będą potrzebne, odwiozą państwa na dworzec kolejowy zgodnie z grafikiem wiszącym w holu. Kto do Mediolanu, ten ma przesiadkę w Tirano. Jest też możliwość wypożyczenia samochodu u Hertza przy via Maistra. Wszelkie udogodnienia dla moich nowych i starych przyjaciół... a teraz pijmy i weselmy się! Jestem przekonany, że następna sesja, na którą zaprasza w przyszłym roku paryska Sorbona, da odpowiedź na wiele jeszcze nie wyjaśnionych spraw...

Agata przestała słuchać. Dopiero tu, w King's Club zdała sobie sprawę, że przygoda jej życia kończy się jutro o dziewiątej trzydzieści pięć. Wtedy to odjedzie na dworzec kolejowy, by po kilku godzinach znaleźć się na mediolańskim lotnisku. A stamtąd LOT-em prosto do Warszawy. Ciekawe, myślała popijając campari-soda, czy Filip przyjdzie się pożegnać. Bo chcę spędzić tę noc tutaj, na przekór strachom i zwidom. Nie mogę przez resztę życia bać się samotnego łóżka. Muszę za wszelką cenę wrócić do równowagi psychicznej i fizycznej. Nie wierzę, by nieszczęsna Bilqis obsypywała mnie co noc płatkami śniegu. To niepoważne. Tym bardziej że nie mam, na Allacha, błękitnego diamentu. Nic mi nie grozi.

Ale życie niesie ze sobą niespodzianki. Jedna z nich czekała na nią pod postacią różowego dziecka pogrążonego w alkoholowym delirium. Tom Collins przyczepił się, wymachując niebezpiecznie szklaneczką pełną whisky. W obawie o czarną sukienkę wieczorową, jedyną porządną, jaką miała, przytrzymała jego dłoń.

— Tom, niech pan już więcej nie pije... proszę...

Okrągła twarz, obramowana rozwichrzonymi włosami, nabrała koloru świeżej poziomki.

— Ale ja... — zachwiał się niebezpiecznie i oparł łokciem o bar — ja właśnie odkryłem coś... no takiego, że...

W jej oczach błysnęło zainteresowanie. Nie miała złudzeń co do stanu jego umysłu, ale знаła też piekielną dociekliwość bibliotekarza. I jego nieprawdopodobną intuicję. To dzięki Collinsowi i jego szperactwu poskładano w jedną całość rwącą się historię diamentu. I przesledzono tajemnicze losy królowej Saby. Musiała jednak odciągnąć Toma od baru.

— Proszę, niech pan ze mną usiądzie. Tam, za tą sztuczną palmą. Odholuję pana niczym barka statek z pełnego morza do bezpiecznej zatoki.

Dał się pociągnąć, balansując z trudem między szeroką ladą baru a stolikami.

— Śpisz z nim, Agatha, co? — wymruczał, opadając na jedno z krzeseł. W jego głosie nie było ani potępienia, ani aprobaty. Tylko suche stwierdzenie faktu.

— Ja nie... — zaczęła skonfundowana. — Co to ma do rzeczy, Tom...

— Śpisz z moim przyjacielem Niemcem, wiem — Tom pociągnął potężny łyk.

Agata spojrzała bezradnie.

— O kim pan mówi, Collins?

— O JFK. Keller. To jego nazwisko. Był taki Keller... w randze Sturmbahnführera... w Gdańsku. Znasz Gdańsk, Agatho?

O mało nie zemdląca. Uderzenie było tak silne, że tylko trzeźwość i potężna porcja dobrej woli, by zachować się *comme il faut*, utrzymała ją na brzegu krzesła. Mrugała oczyma, chcąc pozbyć się jakiejś dziwnej mgły.

— Jacek nie jest Niemcem — wyszeptła. — Jest Polakiem. Jak ja.

Collins uniósł w górę pustą szklaneczkę.

— Królestwo za konia! — krzyknął do przechodzącego kelnera. Ten bez słowa napełnił ją mocnym trunkiem. I odszedł ze wzrokiem doskonale obojętnym. Nie jemu oceniać barowych gości. — Jest Polakiem — potwierdził, próbując trafić szklaneczką do ust. — Ale czy wiesz, Agatho Christie, jak cię nazywa Cornelius...

— Co: czy wiem? — Jej myśli galopowały niczym stado koni. — Co pan wie o Kellerze?

— Du... dużo. Odkryłem, przez przypadek...

Profesor Tschudi zatrzymał się za plecami Agaty.

— Widzę, że usiłuje pani okiełznać niepohamowaną żądzę naszego Sherlocka Holmesa. Jego pociąg do trunków jest tak samo szczerzy jak miłość do starych dokumentów. I do grzebania w ludzkich życiorysach.

Agata miała ochotę zabić Corneliusa.

— Och, to miły człowiek.

— Tak. Szkoda tylko, że się marnuje. Mógłby zrobić światową karierę. Tom, czy nie powinien pan pójść do swego pokoju?

Collins wysączył whisky do dna. Zmrużył oczy, jakby go raziły kolorowe światła obracające się pod sufitem. King's Club był na co dzień dyskoteką.

— Stary Cornelius... — wyszeptał — trzymasz łapę na wszystkim. Pilnujesz, by ci nie sprzątnęli sprzed nosa siedemnastu milionów dolarów, co, stary lisie?

Profesor nie mrugnął okiem. Dał znak dwóm wykidajłom, żeby dyskretnie zajęli się na wpół przytomnym gościem. Zanim go unieśli i wyprowadzili tylnymi drzwiami ukrytymi w sztucznej zieleni, zdążył wymruczeć:

— Szanowna małżonka, Lieselotte... pozdrowienia... siedzi w Bernie czy Genewie i czeka na ofiarę!

Nie dokończył. Głowa mu opadła.

Agata siedziała wstrząśnięta i głęboko nieszczęśliwa. Więc jego zainteresowanie ludźmi, mną ma charakter wyłącznie merkantylny. To znaczy, że nie zbiera materiałów do reportażu, tylko poszukuje, jak oni wszyscy, siedemnastu milionów? I co, u Boga Ojca, ma z tym wspólnego jakiś Sturmbahnführer z Gdańska? Święci pańscy, właśnie z Gdańska?

Postanowiła pójść do swego pokoju. Wobec usłyszanych rewelacji nie mogła już dłużej pić i weselić się razem ze wszystkimi. Jakiś nieuchwytny cień padł na całą sytuację. Długi cień tajemniczej postaci w habicie. Agata czuła, że nie jest już osobą z zewnątrz. Tą, która tu przyjechała. Została, wbrew swojej woli, wmieszana w historię, której początek sięgał pierwszego wieku przed narodzeniem Chrystusa. A dlaczego? Bo Sturmbahnführer Keller z Gdańska nie był dla niej postacią mityczną. Tylko ponurą rzeczywistością, znaną dobrze z rodzinnych powieści.

Pukanie do drzwi wytrąciło ją na chwilę ze wspomnień. Podeszła na palcach, przykładając ucho do futryny. Serce jej mocno biło, a w ustach czuła piasek.

— Kto?

— A jak myślisz?

Poznała głos Jacka. Zawahała się.

— Ja już przestałam myśleć. Jestem ogłuszona.

— Otwórz! Nie będę przecież stał przez całą noc pod twoimi drzwiami! Agato? Co się dzieje? Jeśli za sekundę nie usłyszę twojej dłoni na klamce — wyważę drzwi!

Wiedziała, że on nie kłamie. W najgorszym razie wezwie służbę hotelową.

Musi stawić czoło rzeczywistości. Choćby tak atrakcyjnej jak JFK.

— Wejdz.

Wpadł. Jak burza. Obleciał cały pokój, mocując się z zamkniętymi szczelnie drzwiami balkonowymi. Zajrzał nawet pod zwisającą kapę z łóżka.

— Kto cię znów przestraszył? — podszedł, obejmując ramionami jej kamienną sylwetkę. Wciąż tkwiła pod drzwiami. — Co?

Poddała się pieszczocie, klnąc w duchu babską słabość.

— Musimy porozmawiać — wybąkała wreszcie, odsuwając się na bezpieczną odległość.

— No, myślę! — usiadł w fotelu, wyciągając na całą długość nogi w grubych sportowych buciorach. — Chciałaś odjechać jutro bez pożegnania?

Też usiadła po drugiej stronie szklanego stolika. Jej czarna wieczorowa sukienka podkreślała bladość twarzy. Burza rudych włosów opadła na oczy. Wyglądała biednie i nieszczęśliwie.

— Jacek... to, co ci mam do powiedzenia, nie dotyczy nas...

— A kogo?

— Kellerów.

Usiadł sztywno, wpatrując się w twarz kobiety oczyma z kryształu.

— Tom? — spytał oblizując usta. — Collins ci powiedział?

Skinęła głową.

— Tak. Pijane dziecko wykrztusiło to, zanim spadło pod stół.

— On niewiele wie — wymruczał, trąc dłonią niezbyt dokładnie wygolony podbródek.

— Ale wie. I ja też. Moja matka urodziła się w trzydziestym piątym roku w Gdańsku przy ulicy Heweliusza na drugim piętrze. Mieszkanie numer dziewięć. Mówi ci to coś?

Jego opalona twarz wyrażała pełne zaskoczenie. I jakby cień niedowierzania.

— Co? Niemożliwe...

Wstał z fotela i usiadł na dywanie tuż obok jej stóp. W oczach czaił się bezbrzeżny smutek.

— Ja też się tam urodziłam. Po wojnie. Kiedy matka wróciła z tułaczki do Gdańska. W roku sześćdziesiątym. Babka jeszcze żyła. To ona wysprzątała nasze mieszkanie z polniemieckich pozostałości Sturmbahnführera Ottona Kellera. Czy to... twoja rodzina?

Skinął głową.

— Tak. Młodszy brat mojego dziadka.

— Gratuluję dobrego pochodzenia — wyszeptła, czując, jak łzy bezwolnie toczą się jej po policzkach. Świat walił się w gruzy.

Przysunął się, obejmując dłońmi kostki stóp obutych w czarne pantofelki.

— To nie jest tak, jak myślisz.

— A jak? Podaj własną wersję. Ale... nie wiem, czy uwierzę.

— Na litość boską! — wybuchnął. — Było dwóch braci Kellerów, mój dziadek, Polak, zginął w obronie Poczty Gdańskiej. I Otto — który wybrał doktrynę hitlerowską. Nigdy się więcej nie spotkali. Otto — Sturmbahnführer SS wraz z żoną i synem, zaraz po wybuchu wojny, zajęli mieszkanie przy Heweliusza, wyrzucając, teraz to wiem, twoją rodzinę. To była dzielnica eleganckich mieszkań, salonów i kuchennych schodów. Mój ojciec z babką uciekli do Krakowa. Tam starali się przeżyć wojnę. Babka dożyła dziewięć-

dziesiątki. Mój tato — Wacław ożenił się w Krakowie z Aliną Kaliską, córką profesora Uniwersytetu Jagiellońskiego. Ja przyszedłem na świat w Krakowie w pięćdziesiątym szóstym. Właśnie dziś są moje urodziny — spojrzał na nią z dołu smutnym wzrokiem.

Pochyliła się i pogładziła go po włosach, nieco już szpakowatych na skroniach.

— Przepraszam, JFK. Nie chciałam być okrutna. Ale sam przyznasz, to wszystko... tak się skomplikowało. Najlepsze życzenia z okazji czterdziestki.

Ukląkł obok fotela.

— Miałem nadzieję, że przyjdiesz do mnie. Obok łóżka chłodzi się szampan. Bałem się, że coś ci się stało.

Pozwoliła się objąć i całować. Mięła jak każda kobieta, która za wszelką cenę chce wierzyć w miłość. Choćby miała trwać tylko jedną noc, niczym kwiat królowej.

— Zdenerwował mnie Tom. On coś jeszcze bredził o...

Przerwał jej, zakrywając usta ciepłą dłonią pachnącą wodą Egoiste.

— Nic więcej nie mów. Mam inną propozycję.

— Jaką?

— Teraz pójdziesz spać. Tutaj. Weźmiesz coś na sen.

— Zapominasz, że jutro odlatuję z Mediolanu do Warszawy.

Wciąż ją gładził po zmierzwiionych włosach.

— Właśnie tego dotyczy moja propozycja. Nie chcę, żebyś wracała sama...

— Polecisz ze mną? Po co? — w jej oczach kryło się zdumienie i... nadzieja.

— Nie polecę. Ty także nie polecisz. Wynająłem u Hertza samochód. Chcę, żebyśmy razem pojechali przez Włochy i Austrię. Do Polski. W czasie tej podróży wszystko ci opowiem. O rodzinie. Jej losach. Bo sądzę, dziś jestem tego prawie pewien, że Otto Keller w czasie okupacji zdobył... diament. Był nazistą. Bez skrupułów. Wiem, że uczestniczył w Kryształowej Nocy. Wtedy rabowano żydowskich jubilerów. Ale uciekając z Polski... — zastanowił się. — Na miłość boską, kto dziś mieszka w Gdańsku przy Heweliusza, na drugim piętrze?

— Nie wiem. Moja ciotka Łucja, siostra mamy, zmarła dwa lata temu. Była starą panną z kanarkiem Kubą i kulinarnymi przepisami babci. Dlaczego pytasz?

— Bo nie jest wykluczone, że „Pawie oko” tam było. I jest. Co się stało z rzeczami ciotki Łucji?

— Resztki są u mamy... w Krakowie. Czego ty chcesz! — wrzasnęła, odsuwając się na odległość wyciągniętej ręki.

— Chcę powiedzieć, że kamień może tam być...

Agata poczuła, jak jej cierpnie skóra na plecach.

— Bilqis ją zabije! Dlaczego już nie zabiła?

Zmarszczył czoło.

— Tego nie wiem. Choć... nie zabija przecież w s z y s t k i c h. Niemniej diament jest przekleństwem, gdziekolwiek się znajduje... co myślisz o mojej propozycji? Musimy przecież dokończyć poszukiwania. Sama widzisz, że być może ktoś z twojej rodziny, lub ty sama, jest w niebezpieczeństwie.

Wstrząsnął nią dreszcz.

— Dobrze. Ale ja... nie mam pieniędzy... no...

Przytulił ją mocno, czując niespokojne bicie jej serca.

— Będziesz moją utrzymanką. Raz w życiu możesz sobie na to pozwolić. Chyba nie wyplakałaś całego swojego poczucia humoru?

— Nie. Ale... rzeczywiście, powinnam cię mieć na oku. Trocki powiedział, że sprzymierzeniec musi być tak samo obserwowany jak wróg! Widzisz więc, żywot prowadzę sinusoidalny: wzloty i upadki. Upadki i wzloty.

— Pamiętaj, że na razie jesteśmy tylko zbiorem nie powiązanych ze sobą epizodów.

— Chcę, żeby mnie wreszcie ktoś kochał taką, jaka jestem.

— Niestety, skarbie. Rasputin nie żyje!

Nie wyszedł z Badrutt's Palace. Choć w jego pokoju koło łóżka mroził się szampan. Został z Agatą, bo tego chciał. I ona tego chciała. Na przekór wiszącemu nad głową mieczowi Damoklesa. Kochali się zachłannie, rozrzucając prześcieradła i kołdrę, jakby chcieli się zamknąć w ramionach, odgrodziwszy od okrucieństw małostkowości, które niesie życie. Mało spali, ale w rzadkich rozmowach nie wracali do tajemnic Sabejczyków. Jego słowa były pełne uczucia i ciepła. Takie, jakich lubią słuchać wszystkie kobiety świata. Jakie umieją wypowiadać mężczyźni w ciemnościach, przytuleni do rozgrzanego ciała. I nie powtarzają tych słów, gdy świt rozbieli kwadraty okien. Bo są już zwietrzałe i niepotrzebne.

Rano, ku własnemu przerażeniu, Agata odkryła kałużę wody w nogach łóżka. Między grubym dywanem a zwisającą kołdrą.

— Była tu!

— Kto? — Jacek tarł szczecinę pokrywającą brodę. Źle się czuł bez maszynki do golenia.

— Bilqis, zobacz!

Pochylił się i podniósł przewróconą butelkę wody mineralnej.

— Agato, opamiętaj się, kochanie!

Potarła dłonią czoło. Była zmęczona, śpiąca i wystraszona.

— Chcę stąd wyjechać. Z tego hotelu klasy lux! Natychmiast!

Pokiwał głową.

— Naprzód będę musiał wyjść z twego pokoju, nie budząc mieszkającego naprzeciwko Corneliusa. Nie powinienem kompromitować kobiety.

Zatrzepotała rzęsami

— Och, zrobisz to jakoś... inteligentnie, co?

— Dzięki za wiarę w moją ostatnią szarą komórkę. Weź prysznic, gorący... potem zapakuj wszystkie rzeczy i zejdź na śniadanie. Będę w holu o dziesiątej.

— Muszę się pożegnać... z całą siódmką rywali. Bo teraz już wiem, dlaczego zostałam zaproszona do Sankt Moritz. A oni, od dziś, będą śledzić każdy mój krok. Ciekawe... kogo też poślą do Warszawy...

Żegnali się serdecznie, wymieniając uściski i wizytówki. Niektórzy z nich — Aurelia Levy, Jacques Trever i Samantha York — jechali stąd wprost pod bezchmurne niebo Arabii. Mieli przygotować sezon wykopaliskowy w obrębie Pustyni Śmierci. Później dołączy do nich Jeremy Tavernier. Profesor Tschudi z uwagi na wiek i obowiązki zdobywania pieniędzy od międzynarodowych sponsorów zostanie w Szwajcarii. W Cambridge na wyniki prac czekać będzie Michael Burrows. Ale wcześniej wygłosi cykl odczytów w Berlinie.

— Jedzie pan do Niemiec? — spytała Agata, ustawivszy swoją torbę u stóp schodów.
— Zaraz?

Spojrzał na nią miękko. Jego złote oprawki błyszcząły w świetle elektrycznych kin-kietów.

— Ależ tak, Agatho. Pani wie, że nie ustąpię. Muszę prześledzić dalszą drogę diamentu. Przy okazji pogadam z ludźmi, którzy jeszcze pamiętają Kryształową Noc.

Zamrugła.

— Kryształowa Noc? Co to takiego?

— Cóż — uśmiechnął się z leciutką wzgardą — pani pokolenie nie interesowało się zupełnie losami niemieckich Żydów, gdy Hitler doszedł do władzy. Wy, Polacy...

— Proszę! — podniosła lekko głos. — Proszę, niech się pan nigdy nie wypowiada w ten sposób. Nikt nie ma prawa osądzać Polaków. Nikt. Wy, Europejczycy, a także Amerykanie, w ogóle nie chcieliście uwierzyć w istnienie obozów zagłady. Więc dajmy spokój...

Stało się coś dziwnego. Zwykle sztywny i ironiczny Burrows, zachowujący stosowny dystans wobec swoich rozmówców, pochylił się niespodziewanie, raczej zgiął, złamał w pasie i pocałował Agatę w czoło. Tak serdecznie, po ojcowsku, choć był od niej niewiele starszy.

— Ta lekcja, dumna Polko, starczy mi do końca życia!

Nagle na schodach powstało jakieś zamieszanie. Do promiennego profesora Tschudiego podbiegło dwóch pracowników hotelowych. Z eleganckich garniturów sądząc, wysokiej rangi. Coś szeptali, gestykulując. Profesor zbladł, głos mu drżał, gdy powiedział:

— Bardzo państwa przepraszam ale... coś się stało Tomowi Collinsowi. Zaraz wróczę...

Aurelia wymieniła długie spojrzenie z Samantha.

— Albo ma delirium, albo nie żyje.

— Tfu! Co mówisz, Aurelio! — Trever splunął, jakby to mogło zaradzić złu. — Może się tylko źle czuje...

Pod hotel zajechały powozy. Służba zabierała co cięższe bagaże. Ludzie zaczęli wychodzić. Nikt nie chciał się spóźnić na pociąg lub samolot.

— Do widzenia, Agatho! — Samantha podała jej długą, wąską dłoń — nie wiem dlaczego, ale czuję, że się jeszcze spotkamy.

— Będzie mi miło. — Boy chciał chwycić także jej torbę, ale ją obroniła. — Czekam na samochód!

Samantha uniosła brwi. Nie powiedziała ani słowa. Jej niedbale zarzucone na ramiona futro zafalowało. Dłoń w czarnej rękawiczce uniosła się w geście pożegnania. Także Aurelia, roztaczając wokół zapach francuskich perfum, wołała wesoło:

— Au revoir à tous! À bientôt!

Agata uśmiechnęła się. Francuski madame Levy nie był w najlepszym gatunku. Jeremy Tavernier tylko pomachał jej z daleka. Za nim, dzierżąc pod pachą tubę z pianami wykopalisk, podążał Jacques.

W holu zaczęło się robić pusto. Agata spojrzała na zegarek. Dziesiąta już minęła. JFK spóźniał się. Za to powoli, śmiertelnie blady, schodził z pierwszego piętra Cornelius. Podbiegła parę schodków w górę, by go chwycić za ramie.

— Co się stało, profesorze?

— Nie żyje.

— Tom? Tom Collins?

Skinął głową.

— Zatelefonowali po lekarza i karetkę. Muszą go odtransportować dyskretnie. To wielce szacowny hotel.

— Co mu się stało? Alkohol?

Profesor Tschudi przełknął ślinę.

— Był pijany. Kompletnie pijany. Ale żaden trunek nie zostawia śladów na szyi.

Agata otworzyła usta. Poczula, że brak jej powietrza.

— Co... co pan chce przez to powiedzieć?

— Że...

Drzwi otworzyły się i wbiegł JFK.

— To twoja torba? — zawołał.

Nie odpowiedziała. Być może w ogóle nie usłyszała pytania. Reporter uważnie przyjrzał się profesorowi. Na moment zastygł, z torbą Agaty w dłoni.

— Co się stało?

Profesor zaczął pomалу przychodzić do siebie. Znów na podeście pojawił się jeden z zarządzających.

— Profesorze, jest lekarz.

Agata odetchnęła głęboko.

— Nie umarł śmiercią naturalną? Proszę powiedzieć! To dla mnie... dla nas ważne! Chyba pan rozumie, Corneliusie...

Tschudi zacisnął usta. Wymruczał coś, co z trudem do niej dotarło:

— Został uduszony.

Kilka godzin później, po przejechaniu przepięknej przełęczy Maloja znaleźli się na drodze opadającej serpentynami do doliny Bregaglia, biegnącej ku granicy włoskiej. JFK postanowił pokazać Agacie ten przepiękny kawałek Alp. Potem mieli się skierować na południe nad jezioro Como. Ale wpiery postanowili napić się kawy i nieco rozprostować nogi.

— Soglio. Po włosku La Sogolina. Stąd rozciąga się wspaniały widok na dolinę i potężny Pizo Badile.

— Przykro mi, JFK. Ale wciąż nie mogę przestać myśleć o Tomie.

— Musisz. Bo skończysz w szpitalu psychiatrycznym. Tom był prawie moim przyjacielem. I doradcą przez ostatnie cztery lata. Złożył dla mnie część tej całej układanki. Te przekłete puzzle. Ale nie mogę zostać, by go odprowadzić na cmentarz. Zresztą... nie sądzę, by go pochowano w Sankt Moritz. Teraz, Agato, ścigamy się ze śmiercią. I legendą. Kto będzie szybszy.

Pili cappuccino. Prawdziwie włoskie. I po kieliszku nalewki.

— Jesteś kierowcą. Alkohol...

— Zostaw. — JFK przechylił maleńki kieliszek. — Nic mi nie będzie. Nie spowoduję wypadku. Normalnie, prowadząc nie biorę procentów do ust, ale... śmierć Toma wytrąciła mnie z równowagi.

Patrzyła na lodową czapę pokrywającą szczyt. Wokół niej płynęły obłoki. O dziwo, nie było mgły.

— I pomyśleć, że przed tygodniem radośnie wypatrywałam w Zermatt cholernego Matterhornu. Tylko to mnie interesowało. Nic nie wiedziałam ani o diamencie, ani o królowej Sabejczyków. Dasz wiarę?

Skinął głową. Zaczął się nieco odprężyć. Prowadzenie wozu zawsze sprawiało mu przyjemność. Odpoczywał. I jeszcze Agata. Ruda kobieta z pieprzykiem w kąciku górnej wargi.

— Czy wiesz... że ludność tej wioski parę wieków temu spaliłaby cię na stosie? — powiedział wstrząśnięty.

Otworzyła szeroko swoje zielone, piękne oczy.

— Mnie?

— Jesteś naturalnie ruda i masz pieprzyk nad górną wargą. To są atrybuty czarownicy. Nie pamiętasz?

Roześmiała się. Pierwszy raz od wyruszenia z Sankt Moritz.

— To dobrze czy źle?

— Zależy dla kogo. Ja lubię niecodzienne kobiety.

Spojrzała na niego. Kąciki jej ust drgały.

— Dużo czarownic przewinęło się przez twoje życie?

— Całe mnóstwo. Ale nie miały wpływu ani na środowisko, ani na turystykę.

Znów się roześmiała.

— Bogu dzięki. I żadna nie ustrzeliła cię... na stałe?

Podniósł obie ręce w górę.

— Chyba mi źle nie życzysz!

— Nie. Ale co ja robię w twoim życiu? Dlaczego trzymasz na siedzeniu peugeota kobietę, która ma tyle lat, że mogłaby być twoją żoną!

— Nie pomyślałem o tym. Cóż, trudno. Hej, widziałas go?

— Kogo? — Agata uniosła ciemne okulary. Blask od dalekiego lodowca bił w oczy.

— Jeremy'ego. Śmignął szosą w granatowym BMW. Dam głowę, że wypożyczonym od Hertza.

— Tavernier? Ach tak. Mówił mi, że jedzie do Berlina...

JFK zmrużył oczy.

— To, kochanie, całkowicie zmienia nasze plany.

— Dlaczego?

— Wiem, po co tam jedzie. Wpadł na ślad Sturmbahnführer Ottona Kellera. Tak więc, droga Agatho Christie... my też ruszymy do Berlina.

Rozłożyła mapę. Posuwała palcem po krzyżujących się autostradach.

— Droga do Berlina nie prowadzi przez jezioro Como, tylko przez... Bodeńskie. Na północy! Po co więc BMW z Jeremym w środku pruje na południe?

JFK uśmiechnął się wesoło.

— Masz słuszność, czarownico! On po prostu dostał zadanie śledzenia nas. I tylko przez gapowatość przeoczył tę kawiarenkę. Ale już gdzieś tam, za zakrętem, przyczał się, biedak. Narobimy mu kłopotu. Nie zmienimy planów!

— Zatem nad Como?

— Naturalnie!

Hotelik Salvatore był miły i stosunkowo niedrogi. W łazience działał gorący prysznic, a wykładana płytkami podłoga była nieskazitelnie czysta. Pogoda zupełnie się zmieniła i Agata chcąc nie chcąc zaczęła zrzucać swetry i kurtkę. Jadąc do Szwajcarii, nie przewidywała upałów, toteż jej garderoba przedstawiała wiele do życzenia.

— Nie mam co na siebie włożyć — zabiadoliła, wywracając torbę do góry nogami.

— Zmień płytę, straszna kobieto!

Spojrzała spod oka. Leżał na szerokim dwuosobowym łóżku, z rękami pod głową i zamkniętymi oczyma. Mogła mu się przyglądać do woli. Dobrze zbudowany czterdziestolatek, bez grama tłuszczu na płaskim brzuchu. Węzły mięśni pod skórą świadczyły o uprawianiu sportów. I zapewne o siłowni.

— Czy już? — spytał sennie.

— Co?

— Czy już mnie oszacowałaś? Twój wzrok przypominał spojrzenie handlarza żywym towarem. Wyglądałaś jak kupcowa na targu niewolników w Sudanie.

Nie zmieszała się.

— To normalne. Nie kupuję kota w worku.

— A kto tu jest na sprzedaż?

Roześmiała się radośnie. Właśnie znalazła bawełnianą bluzkę z krótkim rękawem, o której zupełnie zapomniała.

— Jestem głodna.

Otworzył jedno oko.

— Przytyłaś. Ze trzy kilo. Jeśli chcesz coś włożyć do ust, niech to będzie rewolwer!

Zezłościła się. Żadna kobieta nie lubi, kiedy mężczyzna wypomina jej wiek lub wagę.

— Alkohol źle wpływa na twój język. Od przyjazdu wypiliśmy już dwa piwa.

— A ty dwie szklaneczki campari-soda. Widzisz, otyły człowiek jest zagrożeniem dla siebie. A pijany otyły człowiek jest zagrożeniem dla świata!

Rzuciła się w stronę łóżka z pięściami. Ale silny chwyt obalił ją na plecy.

— Nigdy ze mną nie walcz.

— Nie przybiegłam tu, by walczyć — wyszeptała — ale żeby się kochać!

Popołudnie spędzili nad cudownie błękitnym jeziorem, po którym pływały duże i małe łódki, a przy brzegu wodne rowery. Rozciągnięci na wygodnych leżakach wyglądali jak para, która przyjechała na wiosenny wypoczynek. Wokół kwitły oleandry, różowy i biały obłok otaczał zejście na piasek i podjazd pod hotel, na który wtaczało się granatowe BMW.

— Znalazł nas wreszcie! — roześmiał się JFK przez zmrużone powieki.

Agacie nie chciało się odwracać głowy.

— Będziemy przed nim uciekać?

— Przeciwnie! Postaramy się mieć go stale na ogonie. On zresztą czeka na nasz ruch.

I tak już było do końca, czyli do Berlina. Jechali, a raczej kluczyli parę dni. Raz Peugeot wyprzedzał, kiedy indziej BMW. Trzeba przyznać Tavernierowi, że nie denerwo-

wał się specjalnie. Znosił ucieczki polskiej pary i odskoki z niewzruszoną cierpliwością i spokojem. Nigdy nie wyszedł im naprzeciw, był cieniem i tylko taka rola go interesowała. Nie zgubił ich także w Berlinie, choć nie należało to do rzeczy łatwych. O ile Berlin zachodni niewiele się zmienił, to wschodni stał się jednym wielkim placem budowy, z całą związaną z tym infrastrukturą: objazdami, dziurawą nawierzchnią i gruzowiskiem po wyburzonym siermiężnym socjalizmie. JFK miał swój plan. Berlin znał nieźle. Jako dwudziestolatek pracował tu nawet przez przeszło rok w lewicującym pisemku. Doskonale pamiętał mur i Check-Point Charlie, graniczne przejście do NRD. Ale nikomu ze swoich ówczesnych przyjaciół nie zdradził adresu: Charlottenburg, Ahornallee 26. Duża willa w nieco zaniedbanym ogrodzie. Tam mieszkała po wojnie rodzina Ottona Kellera: jego jedyny syn Horst z żoną Ulriką i dwie córki — jasnowłosa, niebieskooka Anne oraz młodsza o cztery lata Lieselotte. Jego najbliższe kuzynki. Więcej rodziny nie miał. Ojciec — syn obrońcy Poczty Gdańskiej — umarł piętnaście lat temu. Matka mieszka w Krakowie, z powodzeniem prowadząc maleńką cukierenkę.

— Znałem tu pewien niedrogi pensjonat. Nie wiem wprawdzie, czy jeszcze istnieje... to było dwadzieścia lat temu...

Agata czuła się zmęczona. Długa droga, jaką przebyli, szczególnie odcinki przez Austrię, gdy załamała się pogoda, dała jej nieźle w kość. Nie biadoliła wszelako widząc, że JFK zupełnie nie odczuwał tych dni i godzin za kierownicą. Raz tylko, przekroczywszy dozwoloną szybkość, zapłacił mandat, zgrzytając zębami. Mieli tak niewiele szylingów. Na szczęście zdarzyło się to niedaleko przejścia granicznego.

— Słuchaj — powiedziała, grzebiąc w torbie. — Mam jeszcze sto dolarów. Nie ruszaj. Wzięłam na wszelki wypadek.

Uśmiechnął się, ukazując nieskazitelne zęby.

— Dzięki, ale mam kartę kredytową American Express. Wszystko w porządku. Niestety, nie można nią płacić mandatów.

Willi w zielonej dzielnicy Charlottenburg istniała nadal, na przekór czasowi. I mieszkała w niej ta sama stara dama w szarej sukni, niemodnych zamszowych pantoflach na obcasie i nowoczesnych okularach wysadzanych sztucznymi brylancikami.

Agatę to nawet rozbawiło.

— Weźmiemy dwa pokoje — szepnęła po polsku.

Zmarszczył brwi.

— Och, Frau Ludmacher! Czy pani mnie pamięta? Mieszkałem u pani, w pensjonacie, przez cały rok...

— Ja, natürlich! Było to z dziesięć lat temu, co, Herr Keller?

— Dwadzieścia, madame. To moja żona.

Agata zaczerwieniła się jak piwonia. Wyciągnęła dłoń. Chętnie by zamordowała JFK. Ale musiała robić dobrą minę do złej gry. W każdym razie buntowała się, w duchu obmyślając krwawą zemstę.

— Dziś nie prowadzę już pensjonatu... te podatki... aber, dla starych znajomych, oczywiście, że mam dla państwa pokój. Z balkonem. Jakżeż mi miło, że mogę gościć tak piękną Frau Keller. Państwo na długo?

— Jeszcze nie wiem — JFK wnosił bagaż swój i Agaty. — Jesteśmy przejazdem, w drodze do domu.

— Och, Polska! Piękny kraj. I wolny. Nareszcie wolny!

Agata w duchu zgrzytała zębami. Pewnie jej tatuś lub dziadek wyrzucał Polaków z ich gdańskich mieszkań. Niewykluczone, że razem ze Sturmbahnführerem Kellerem.

Pokój był przeuroczy. Cały w firankach, falbankach, kwitnących na różowo pelargoniami i cudownych, zwisających kaskadą z balkonowych skrzynek, różnokolorowych petuniach.

— Nie zmieni to moich przekonań — mamrotała, zaglądając do wyłożonej czarną glazurą łazienki. Złotawe kurki połyskiwały, jakby je ktoś przed chwilą wypolerował. — To było modne w latach pięćdziesiątych!

— Co? — JFK zupełnie nie zdawał sobie sprawy z nastroju Agaty.

— Czarna glazura. Dlaczego, potworze, przedstawiłeś mnie jako swoją żonę?

Odwrócił się szczerze zdumiony.

— A jak cię miałem przedstawić? Frau Ludmacher, bitte, oto moja najnowsza kochanka! Znamy się co prawda dopiero dziesięć... przepraszam... jedenaście dni, ale...

Musiła się roześmiać. Sytuacja wymagała natychmiastowego rozładowania.

— Weźmie mój paszport. I zobaczy nazwisko... Lubecka, ty osłe dardanelski.

Zajrzał do szafy, gdzie wisiały w rzędzie czarne i białe plastikowe wieszaki w liczbie przekraczającej czyjąkolwiek garderobę.

— W ogóle nie weźmie paszportów. Zna mnie i wie, że nigdy nie doniosę berlińskiemu urzędowi podatkowemu o tak drobnym wykroczeniu. Czyż nie można udzielić gościny dalekiej rodzinie? A przed domem stoi samochód ze szwajcarską rejestracją. Rozumiesz, głuptasie?

Weszła do łazienki.

— Pomieszkam tu dłużej. Muszę popływać w czarnej wannie pełnej białej piany. To mnie uspokaja. I nie mów, że też masz na to ochotę.

— Mam. A wanna solidna, niemiecka, jest tak duża, że oboje się zmieścimy. Koniec tematu, kochanie. Jeśli chcesz, zaprosimy do tej piany przyjaciela Jeremy'ego. Po co ma sam, biedak, uganiać się po Berlinie!

Puściła wodę do ogromnej wanny, tak lśniącej, jakby od tego zależało życie pokojówki. Cóż miała robić!

Po południu, gdy już temperatura nieco spadła i dało się oddychać, siedzieli na balkonie, popijając herbatę z konfiturami z gorzkawych poziomek.

— Opowiedz wreszcie dokładnie o Kellerach. Tych z niemieckiej linii... czy znasz swoje kuzynki?

Przesunął głowę na oparcie trzcinowego fotelika. Jego twarz, odprężona, złagodniała, choć ciemna linia zrosniętych brwi nadawała mu nieco surowy wygląd.

— No dobrze. Jeśli się wychylisz, zobaczysz wysokie ogrodzenie z żelaznych prętów malowanych na czarno. Tam, bardziej na prawo...

Wychyliła się.

— Widzę. Za ogrodzeniem jakiś krzak i przeświecający trawnik. Dobrze utrzymany. Kawałek schodków i porozrzucane kolorowe... co to jest? Dziecinne zabawki?

— Pewnie tak. To willa Kellerów. Otto nie żyje od szeregu lat.

Spojrzała na niego z ciekawością.

— Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że znalazłeś przed dwudziestu laty ten pensjonat, żeby być... bliżej rodziny?

Westchnął. Podniósł do ust ładną filiżankę. Była pusta.

— Zawsze chciałem ich mieć na oku. Czy w dzbanku jest jeszcze trochę tych ziółek?

Zajrzała, unosząc pikowaną grubą ochronę porcelanowej pokrywki.

— To herbata z kwiatów malwy. Mnie smakuje. Jeszcze trochę jest. Nalać? Zawsze mnie denerwowały te niemieckie lalki i pacynki do nakładania na czajniczki. Moja matka wyrzuciła je na strych...

— Po wojnie? Kiedy wróciła do Gdańska?

— Tak. Możliwe, że zrobiła to babcia. Znalazłam taką brudną pikowaną lalkę z porcelanową główką. Miała wytrzeszczone oczy. Mama mi ją wyrwała z ręki i kazała wyrzucić do śmieci. Nie rozumiałam dlaczego. Choć mi się nie podobała, z rykiem broniłam zdobyczy. Wtedy mama mnie uderzyła. Zapamiętałam ten dzień, bo nigdy przedtem mnie nie biła.

— Została po Kellerach... ta lalka?

— Tak. I całe mnóstwo innych szpargałów.

Poruszył się. Usiadł z nastroszonymi włosami, które nie zdążyły wyschnąć.

— Właśnie o tym musimy porozmawiać. Całkiem możliwe, że wśród tych, jak mówisz, szpargałów znajduje się „Pawie oko”.

Uniosła głowę. Z niedowierzaniem otworzyła oczy.

— Bzdura! Skąd by się tam wziął? Co jak co, ale tego pawia by na pewno zabrał ze sobą! Zresztą... z czasem ciotka Łucja zrobiła porządek na strychu. Nie, to niemożliwe! Nawet gdyby Kellerowie uciekali w popłochu, to i tak by go zabrali.

Wypił czerwonawy płyn pachnący ogrodem i latem. Potem sięgnął do kryształowej czarki z konfiturami.

— Zrekapitulujmy to, co każde z nas wie o mieszkaniu przy Heweliusza. Naprzód ja. Ty uzupełniaj. No więc było tak...



— Schneller! Na, los! Mach'schon! To żydowski sklep! Wybijać! — Brzęk tłuczonej szyby mieszał się z dzikim wrzaskiem komando. Żołnierze w brunatnych mundurach walili łomami w szkło zamalowane farbą w znak gwiazdy Dawida. Kryształowa Noc, która zaczęła się dziewiątego listopada trzydziestego ósmego roku od przemówienia Adolfa Hitlera, trwała we wznieczonych pożarach i brzęku tłuczonego szkła. Wywlekani z domów i sklepów Żydzi osłaniali rękami głowy i twarze. Płynęła krew. Pijani wódką i szaleństwem młodzi chłopcy z czerwonymi opaskami i czarnym znakiem złamanego krzyża osiągnęli zwycięstwo. Trupy pomordowanych leżały na ulicach. Ranni i ci, którzy ocalili z pogromu, byli pędzeni ulicami pomiędzy olejarnią i szarym murem dawnego cmentarza.

— Schnell!

Sklep jubilerski Arona Fischenbauera mieścił się w wąskim zaułku pomiędzy Am Nussbaum a piwiarnią. Stary Aron od dawna oswajał się z myślą o śmierci. Swoją rodzinę wysłał z Berlina na południe. On jeden wiedział, co się może stać. Z nim... z nimi wszystkimi. Nie bał się ostateczności. Bał się poniżenia i gwałtu. Swoje papiery, starą menorę i naszyjnik z pereł, prezent dla żony w dniu ślubu — ukrył w schowku pod deską w kuchennej podłodze. Zasłonił klapę zniszczonym dywanikiem. To, co dla niego najcenniejsze — nosił na sercu. Dodawało mu sił. Czekał. Gdy ujrzał namalowany na szybie sklepu znak-wyrok, poszedł na piętro i połknął truciznę. Nie żył już, gdy wpadli pijani zwycięstwem i chęcią mordy.

— Stary głupiec! — Horst Kluge kopnął trupa. — Myśli, że nam uciek! Zabierać wszystko ze sklepu, szukać za obrazami! Ruszcie się!

Kiedy Otto Keller wkroczył do środka, by sprawdzić, jak też się jego chłopcy sprawują, po złocie, pierścionkach i cienkich łańcuszkach nie było już śladu. Sejf i gabloty zostały oczyszczone.

— On na pewno najcenniejsze rzeczy schował w mieszkaniu — powiedział do swego zastępcy, Horsta. — Idź za chłopakami. Ja tu chwilę zostanę.

— Jawohl! — Horst zniknął pomiędzy rozbitymi meblami. Z kredensu Rosy Fischenbauer sypała się sól zmieszana z kryształkami cukru.

Otto wszedł po skrzypiących, pachnących pastą schodach. Kopnął zwłoki starego Arona i rozejrzał się uważnie. Nie po raz pierwszy uczestniczył w pogromie. Ale ten osiągnął nie spotykaną dotąd skalę. Führer życzył sobie całkowitej zagłady tych ludzi. Słowo Führera jest świętością. Po nich Polacy! Spotka ich to samo. Nie oszczędzi nawet głupiego brata, który przynosi mu hańbę. I może zagrozić karierze. Rozejrzał się po kuchni. Bardzo uważnie. Nic nie uszło jego uwagi. Nawet krzywo położony stary, wytarty chodnik. W dziwnym miejscu jak na kuchenne obyczaje. Odsunął go obcasem ele-

ganckiego, lśniącego buta. Deska miała krótszy wymiar. I szerszą szparę. Otto uśmiechnął się. Sięgnął po pogrzebacz Frau Fischenbauer. Już nigdy jej nie będzie potrzebny. Zakrzywione ostrze podważyło deskę. Schylił się i wyjął paczkę owiniętą czarną satyną. Menora zaślniła siedmioma złotymi ramionami.

— Piękne dzieło sztuki! — westchnął. Znał się na tym. Kolekcjonował obrazy i starą porcelanę. Poruszył jeszcze pogrzebaczem i wyłuskał zawiniątko. Za chwilę w jego dłoni spoczywał aksamitny woreczek, a w nim naszyjnik z mlecznych pereł. Jedna w jedną równe i okrągłe.

— No, Gretchen, kochanie, będzie dla ciebie pod choinkę!

Stanął w oknie, obserwując ulicę. Wrzaski i krzyki oddaliły się, chłopcy z żelaznymi prętami szaleli już za Ephraim-Palais. Wychodząc, rzucił okiem na nieboszczyka, trzymającego coś w zaciśniętej dłoni. Otto Keller zaśmiał się.

— Zabaweczka! Będzie i dla Horsta. Na gwiazdkę.

Przez całą noc na wyspie w okolicach Fischerstrasse szalały pożary wzniecane przez żądny mordu tłum umundurowanej młodzieży. Przez całą długą noc pękały szyby sklepów i domów. Nieliczni mieszkający tam Niemcy dla bezpieczeństwa wywieszali faszystowskie flagi. Do opuszczonych kamienic wdzierali się pod osłoną nocy, by rabować. Grüss Gott! — wołali mijając się w drzwiach, potykając się o rozbite meble i rozprute poduszki, z których pierze wirowało w powietrzu. Upychali w workach i ten gęsi śnieg, i garnki pełne gęsiego smalcu. Wszystko może się przydać gospodarnej Niemce. Nieważne, że koszerne! Grüss Gott!

Następnego ranka zmęczony, lecz zadowolony Otto Keller zdawał relację w biurze partii przy Opernplatz.

— Zadanie wykonane, Herr Sturmbahnführer Müller. Żydzi wymordowani. Sklepy spalone.

— Jawohl — spojrzenie spod opuchniętych powiek było ostre, przenikliwe. — Mam nadzieję, że wykurzyliście ogniem i żelazem ten brud oblepiający przez wieki nasz naród. Heil Hitler!

— Heil!

Po południu, siedząc przy okrągłym stole w szarej, ciepłej bonzurce po dziadku, powiedział ciepło do Greta:

— Wyjeżdżamy z Berlina, kochanie.

Zastygła z łyżką wazową w dłoni. Pod jasnym kręgiem lampy jej warkocz, oplatający głowę lśnił niczym szczere złoto. Odłożyła łyżkę do wazy i przytuliła do piersi jasną głowę syna.

— Dokąd, Otto?

— Do Gdańska. Taki dostałem rozkaz.

— Polska? — przeraziła się. Znała historię rodziny Kellerów, ich polskich przodków, szwagra Zygmunta i tę czarnowłosą Zofię o jaśniepańskich manierach. — Nie chcę do Polski!

Uśmiechał się pojednawczo.

— Nie martw się, Gretchen. Już niedługo Gdańsk będzie nasz, Grüss Gott!

Westchnęła. Jak każda dobra i pobożna Niemka wyznawała zasadę: Kinder, Küche und Kirche. Ale czy interesowała się polityką?

— Gdzie będziemy tam mieszkać, Otto? Z twoją rodziną?

Obruszył się. Ostatnia łyżka rosółu rozchlapała swą zawartość na obrus w zieloną kratkę.

— Bzdura! Już za miesiąc, za dwa niemieckie wojska zajmą Polskę. Gdańsk będzie w całości nur für Deutsche. Na razie dostaniemy tam mieszkanie. Później własny dom nad morzem. Gwiazdkę spędzimy już w nowych Niemczech, Greto. A prezenty będą takie... jakich się nigdy nie spodziewałaś!



JFK wyciągnął nogi. Słońce znikalo za dachami kamienic. Na balkonie zrobiło się chłodno.

— Twój dziadek, Zygmunt, zginął w trzydziestym dziewiątym, broniąc Poczty Polskiej. To wiem. — Agata narzuciła sweter.

Wstał z trzcinowego fotela. Podszedł do balustrady i wychylił się.

— Nie uwierzysz. Ale przy furtce Kellerów stoi BMW ze szwajcarską rejestracją.

— Jeremy?

— Tak.

Zeszli szybko na parter, a potem na wąską uliczkę, przecnicę Ahornallee. Teraz, nie będąc widziani, mogli wygodnie obserwować willę. Zakurzone BMW miało istotnie znajomą rejestrację. Nie mogło być żadnej pomyłki.

— Są dalej, niż myślałem — wymruczał JFK. — Wiedzą dużo. I mam nieodparte wrażenie, że ktoś tym wszystkim kieruje. Ktoś trzymający w ręku nici prowadzące do poszczególnych osób tej farsy... czy może dramatu.

— Skąd Jeremy może znać Kellerów?

— Nie wiem. I to mnie martwi. A ciebie?

— Co: mnie? Mimo wszystko nie jestem Agathą Christie! Żałuję. Wiem, że jestem głodna.

Spojrzał na nią z uśmiechem.

— Pójdziemy coś zjeść. Znam tu taką malutką knajpkę... Lubisz chińszczyznę?

— Z wyjątkiem zupy z szarańczy, kotletów z psa i jaskółczego gniazda w sosie miętowym.

— Pycha! — JFK objął ją ramieniem. — Zaraz ci to wszystko zafunduję.

Kiedy późnym wieczorem, tuż przed snem, Agata wychyliła się z balkonu, w miejscu granatowego BMW stał srebrzystoszary mercedes. Też ze szwajcarską rejestracją.

— Mają mnóstwo przyjaciół w Szwajcarii — powiedziała, wchodząc do pokoju i szczerze zasuwając białe falbankowe firanki.

— To właśnie mnie martwi — westchnął gasząc lampkę. — A teraz spać, moja miła. Jutro im złożę nie zapowiedzianą wizytę.

— Kellerom? — przestraszyła się.

— Cóż w tym dziwnego? Minęło przeszło pięćdziesiąt lat. Hitler dawno gryzie ziemię. Także Otto i jego żona. Horst ma dziś siedemdziesiąt jeden lat. Tyle miałby mój ojciec, gdyby żył. Następne pokolenie niemieckie to starsza kuzynka Anne i Lieselotte — o pięć lat ode mnie młodsza.

— Właściwie... skąd to wszystko wiesz? Śledziłeś ich losy?

— Tak. Chcę kiedyś napisać książkę. To ciekawy przyczynek do psychologicznych badań nad zjednoczoną Europą, nie sądzisz? Nie miałem żadnych trudności w berlińskim magistracie z dotarciem do ich danych osobowych. W końcu legitymuję się tym samym nazwiskiem. Ponadto, przed znanym reporterem otwierają się drzwi nawet za zwyczaj dokładnie zatrzasknięte. Znam ich teczki. Te w Instytucie Gaucka. Oni wszyscy mają potężny kompleks Hitlera. Chcą się jak najszybciej oczyścić. Nikt przecież nie był nazistą w głębi serca, nonsens! Wszystkiemu zaprzeczają. Zupełnie jakby nie było tych wiwatujących tłumów... Niektórzy nawet szpiegowali dla NRD. Później...

— Daj spokój — westchnęła sennie. — To już historia.

— Ale wojna, jak powiedział pewien mądry amerykański intelektualista, zaczyna się zawsze w ludzkich duszach.

— Wszystkich intelektualistów należy zesłać do kopalni, a potem tę kopalnię wysadzić. Wiesz, kto to powiedział? Niejaki Müller do Schellenberga, szefa wywiadu SD.

— A ty skąd o tym wiesz? — wsunął ramię pod jej głowę.

— Z literatury. Wiesz, co to takiego?

— Mhmm — wymruczał i zasnął.

Agata uśmiechnęła się do własnych myśli. Zachowuje się jak mąż po dwudziestu latach małżeństwa. Ale ma sprężyste ciało i ładnie pachnie!

Zapadła w sen z nosem przy jego uchu.

Była dwunasta w południe, gdy z balkonu pełnego kolorowych petunii obserwowała JFK naciskającego przycisk domofonu przy furtce willi Kellerów. Wchodząc do środka, pomachał jej dłonią. Po czym zniknął w ogrodzie. Co będzie, jak nie wróci? — pomyślała nagle wystraszona. Fantazja rysowała zupełnie niesamowite wizje. Z morderstwem włącznie. Jeśli zobaczą, że wynoszą zrolowany dywan, to zaczną wrzeszczeć, i każe Frau

Ludmacher zatelefonować po policję! — Biegała niespokojnie od balkonu do łóżka i z powrotem. Wypiła kawę, zjadła całą paczkę cukierków, choć postanowiła unikać słodczy! Wyprała bieliznę i rozwiesiła na metalowych drążkach w łazience. Potem umyła włosy i wysuszyła na szczotce. Kiedy po trzech godzinach JFK jeszcze nie było, zaczęła wpadać w panikę. Jak stąd wrócę do Warszawy? Kto zapłaci Frau Ludmacher? Cholera, mam tylko sto dolarów!

Kiedy wreszcie cały i zdrowy stanął w drzwiach, rzuciła się na niego z płaczem i pięściami.

— Co tak długo? Boże, jak ja się bałam!

Mężczyzna z całkowitym zrozumieniem, ale i z dozą rozbawienia znosił te wymówki.

— Już dobrze, mała, jestem! Zmory zniknęły. Nie zjedli mnie. A nawet poczęstowali obiadem.

Powoli się uspokajała.

— Przepraszam, JFK. Miałam straszliwe wizje. Wybacz. Nie jestem histeryczką. No, może bywam. Ta cała sytuacja... nerwy mi puściły.

Głaskał jej rude włosy, wachając nikły zapach tymianku.

— Moja ty wiewiórko. Nie mogłem się wcześniej wyrwać. To byłoby podejrzane. Wpadłem wprawdzie bez zapowiedzi, ale... nikt się temu nie dziwił. Pewnie nasz przyjaciel Jeremy uprzedził Kellerów o mojej obecności w Berlinie. Naturalnie, nie puścili farby, że go znają.

— Co im powiedziałeś? Że zwiedzasz miejsca po zburzonym berlińskim murze? Piszesz reportaż o przebudowie Unter den Linden po świętej pamięci NRD?

— Nie. Ale trochę ich wystraszyłem. Powiedziałem, że mam zgodę Instytutu Gaucka na grzebanie w aktach Stasi.

— Kto miałby szpiegować dla NRD? Horst?

Usiadł w fotelu.

— Niewykluczone. Władze wschodnich Niemiec często wyszukiwały rodziny byłych nazistów, także po zachodniej stronie, i składały im propozycje nie do odrzucenia. Znany jest cały szereg takich przypadków. Ale to chyba nie był Horst. Jest w złej kondycji, na wpół sparaliżowany. Jeśli ktoś, to raczej Anne. Zawzięta i zła.

— Nie zrobiłeś na niej wrażenia?

— Jako mężczyzna? Raczej nie. Co innego Lieselotte... przystojna, zadbana kobietka.

— Potwór!

Roześmiał się, przygarniając ją do siebie. Przyglądał się z bliska jej twarzy.

— Masz piękne włosy. I ten pieprzyk w kąciku ust... czarownica!

Agata wyrwała się. Usiadła na dywanie, ze skrzyżowanymi nogami. W dzinsach, zielonym swetrze i skarpetach w kolorowe paski wyglądała niezwykle młodo.

— Co z „Pawim okiem”? Wiedzą coś?

Wstał z fotela. Zajrzał do dzbanka. Był pusty.

— Napiłbym się kawy. Moje kuzynki podały typową niemiecką lurę. A ja lubię taką z włoskiego ekspresu. I musisz coś zjeść. Pójdziemy do...

— Chińczyków nie chcę! — zaprotestowała.

— Dobrze. Do Włochów. Na cannelloni z ciasta farbowanego szpinakiem. A potem poprosimy Frau Ludmacher o rachunek.

— Wyjeżdżamy z Berlina?

— Tak. Jeszcze tylko wpadniemy na ulicę Am Nussbaum. Jest tam taki mały zaułek, gdzie w trzydziestych latach mieścił się sklep jubilerski pewnego starego Żyda, który zginął podczas Nocy Kryształowej. Ostatni ślad diamentu prowadzi do niego. Może żyje ktoś z rodziny?

Ale po jubilerze i sklepie wszelki ślad zaginął. Na próżno pytali sąsiadów, zwykłych, uczciwych Niemców. Nikt nie pamiętał lub nie chciał pamiętać żydowskiej dzielnicy.

— To dziś starówka. Ze sklepów pozostała tylko piekarnia — informowała młoda kobieta z małym dzieckiem. — Wie pan... po wojnie wszystko tu wyburzono. Postawiono nowe, czyste domy. Jest pięknie, no nie?

Uśmiechnął się. Była taka młoda i ładna.

W samochodzie Agata zasępiła się. Wyjeżdżali z Berlina na obwodnicę. Dalej, szosą E 8, przez Frankfurt do przejścia granicznego z Polską. Prosto, jak strzełił.

Pogoda wciąż była piękna. Pierwsze dni czerwca, po stosunkowo zimnym maju, pozwoliły wybuchnąć przyrodzie. Wszystko kwitło naraz: spóźnione bzy i hiacynty w czystych, niemieckich ogródkach. Kolorowe tulipany i czerwone czapy gipsowych krasnali. Wczesne róże i zielono-różowe hortensje. Po błękitnym niebie wolno płynęły obłoki. Jak z oleodruku.

— Do licha, Jacek! Powiesz mi wreszcie, czego się dowiedziałeś od Kellerów? Coś przede mną ukrywasz?

Prowadził spokojnie i pewnie. Zdażyli w Berlinie zmienić u Hertza samochód. Wolał taki, którego w Polsce nikt nie ukradnie: małą dwudrzwiową toyotę z otartym błotnikiem.

— Aga, kochanie. Nie sądzisz chyba, że ich spytałem wprost, co dziadek Otto zrobił z błękitnym diamentem. Ale wiem, że go miał. Teraz wiem to już na pewno.

— Skąd?

— Na starej sekreterze stoi fotografia Ottona. Nie, już nie w mundurze! Fotografia oprawiona w srebrną, szeroką ramkę. A na ramce...

— Jest co? — oczy Agaty przypominały szmaragdy.

— Graficzny znak. Wryty u góry. Znak, który znają wszyscy archeolodzy i naukowcy poszukujący grobu królowej Bilqis. Tym rysunkiem, niby pieczęcią, znaczone od prawie trzech tysięcy lat drogę, jaką przebył Malach Ha-Mavet. Jest o nim też mowa w „Pieśni nad pieśniami”...

— Sir-ha szirin? Tej, której autorstwo przypisują królowi Salomonowi? Napisanej z miłości do pięknej, ciemnoskórej Bilqis?

— Tak. Symbol kamienia-diamentu. Jest jednocześnie symbolem boga księżycy.

— Wiem. Almaq. A raczej Almaqah. Bóg, któremu Sabejczycy wystawili wspaniałą świątynię. Widziałam ruiny. Tylko na zdjęciu. Kiedyś tłumaczyłam książkę Aurelii Levy.

— A ja w rzeczywistości. I ten sam symbol graficzny jest wygrawerowany na srebrnej oprawie zdjęcia.

Agata odchyliła głowę. Autostrada biegła wzdłuż pól żółtych od kwitnącej lucerny.

— I co dalej?

— Właśnie!

Tuż przed przejściem granicznym zatrzymali się w długiej kolumnie samochodów. W kiosku, po niemieckiej stronie, sprzedawano kanapki, puszki coca-coli i najświeższą prasę.

— Zaczekaj, pójde kupić coś do jedzenia.

— A jak kolumna ruszy? — przestraszyła się. — Nie mam prawa jazdy!

Odpiął pas i wysunął się z siedzenia.

— Tamci przed nami też wyszli. Co wolisz, coca-colę czy mirindę?

— Wszystko jedno.

Wrócił szybciej, niż się spodziewała. I to bez picia. Gruba gazeta, którą nerwowo przeglądał, szeleściła.

— Masz, zobacz! — rzucił jej na kolana poranne wydanie „Berliner Zeitung”.

— Zaczyna mnie to wkurzać!

Na trzeciej stronie u dołu widniało nieco nieostre zdjęcie mężczyzny o lekko kręconych włosach.

— Przecież to Jeremy! Jeremy Tavernier! — zaczęła szybko czytać drobny druk: *Wczoraj w godzinach wieczornych znaleziono w berlińskim hotelu Continental zwłoki znanego archeologa Jeremy'ego Taverniera. Jak twierdzi komisarz z ósmej dzielnicy, Holender został uduszony. Świadczą o tym ślady na szyi. Tavernier był również ekspertem słynnej firmy Gassan Diamonds w Amsterdamie. Może to mieć coś wspólnego z tak zwaną „diamentową wojną”, toczącą się od jakiegoś czasu pomiędzy Rosją a kartelem De Beers. Obserwatorzy podkreślają, że wojna Komitetu do Spraw Metali i Kamieni Szlachetnych — Koskomdragment — z międzynarodowym kartelem kontrolującym osiemdziesiąt procent rynku diamentów na świecie — może zachwiać całą branżą. W grudniu upływa termin porozumienia, które z De Beersem podpisał w dziewięćdziesiątym roku Michaił Gorbaczow. Rosja zobowiązała się sprzedawać za pośrednictwem Holandii dziewięćdziesiąt pięć procent swych diamentów. Dziś Rosjanie chcą wynegocjować możliwość sprze-*

dawania diamentów surowych i oszlifowanych, czyli brylantów, poza kontrolą kartelu...
— przestała czytać, podniósłszy na mężczyznę oczy pełne strachu. — To już drugi, po Tomie... w tak krótkim czasie.

— Nie wierzę, by miał coś wspólnego z kartelem. Prasa niemiecka nie ma pojęcia o „Pawim oku”. Sądzą, że to jakieś prawie mafijne porachunki. I niech tak myślą!

Spojrzała na niego pobladła.

— Nie żal ci Jeremy’ego? Tylko nas śledził... nie miał żadnych złych zamiarów.

— Tego nie wiemy. — Włączył starter. Kolejka wozów ruszyła szybciej. — Ale coś mi mówi, że Kellerowie maczali w tym łapy.

— Zamordowali go? — Agata szukała paszportu. Był w bocznej kieszeni zielonej torby. — Kto? Sparalizowany Horst na inwalidzkim wózku? Piękna Lieselotte czy Anne o paskudnym charakterze?

Znow stanęli.

— Nie wiem. Coś im musiał powiedzieć. Widać niemiecka linia Kellerów też ma chrapkę na siedemnaście milionów dolarów ukrytych w błękitnym kamieniu. Pewnie Otto wtajemniczył syna w całą sprawę. Coś mi się tu jednak nie zgadza.

— Teraz my jesteśmy jedynym śladem?

— Obawiam się, że tak. Twoja matka jest w wielkim niebezpieczeństwie. Naturalnie, jeśli wśród rzeczy zabranych z Gdańska znajduje się sprytnie ukryte „Pawie oko”. Całkiem możliwe, że oni wiedzą, w czym jest ukryte.

— A my nie wiemy — odparła, podając paszport niemieckiemu pogranicznikowi.

Dziesięć minut później byli w Polsce.

— Jedziemy prosto do Krakowa — powiedział JFK — tylko nabierzemy benzyny. Słuchaj, postaraj się przypomnieć sobie, co właściwie twoja mama zabrała z mieszkania po śmierci ciotki Łucji?

Agata zmarszczyła brwi.

— No... trochę szpargałów. I ten olbrzymi żyrandol!

— Co?

— Żyrandol. Wisiał w salonie. W Gdańsku mieliśmy salon. No, wiesz...

— Wiem, co to jest salon! — burknął niechętnie. — Nie rozumiem tylko, po co... czekaj, jak wygląda żyrandol?

— Z mosiądzu. I ma cztery piętra wisiorków z czeskiego szkła. Takie podłużne, na haczykach. Okropnie się zawsze męczyłam, pomagając mamie go myć. Raz w roku.

Przyspieszył. Droga była prosta i jak na krajowy ruch prawie pusta. Do stacji benzynowej dojechał w pół godziny. Po nabraniu paliwa weszli do małej restauracyjki.

— Co zjesz?

— Jakąś kanapkę. Cokolwiek.

Ale to już była Polska. I „cokolwiek” mogło być tylko schabowym z frytkami lub wątróbką w sosie cebulowym. Usiedli przy stoliku zasypanym okruchami chleba. Kelnerka w mini i zielonej kokardzie na utlenionej trwałej machnęła ścierką jak za realnego socjalizmu.

— To co podać?

Zdecydowali się na wątróbkę z bułką.

— Wróćmy do żyrandola — nie ustępował JFK. — Mam taką wizję: pośród wisiorów z czeskiego kryształu Otto Keller umieszcza dla niepoznaki błękitny diament. Możliwe?

Pokręciła głową.

— To już wymyślił w swoim filmie Hitchcock. Nie wierzę. Kilka razy zdejmowałyśmy wszystkie kryształy do mycia. Wkłada się je do dużej miski z wodą i octem. Żeby przywrócić im blask. Te wisiorki są raczej... żółtawe. Może ze starości? Zauważyłybyśmy, gdyby jeden był niebieski... nawet ten centralny.

— Jaki: centralny?

— Ze środka. Jest większy i cięższy.

— Sto trzy karaty! — wymruczał, mocując się z wątróbką. Była twarda jak kamień przydrożny.

Agata przelykała, popychając kawałkami bułki. Dobry był tylko sos cebulowy.

— Mówię ci, że żaden z wisiorów nie był niebieski. Przecież go nie przemalowali! Po tylu kąpielach w wodzie z octem... ty myślisz, że mogli? Pokryć go jakąś substancją wodoodporną?

— Nie wiem — przyznał, odsuwając talerz. — Ten sernik wygląda na świeży. Zjesz?

Skinęła głową. Nie myślała o serniku ani kaloriach. Tylko o kształcie „Pawiego oka”. Znała jego wagę, kolor, cenę, ale nie wiedziała, czy jest okrągły, podłużny czy wielokątny.

— Jaki on właściwie jest? Ten diament?

Wziął serwetkę i zielonym długopisem wyrysował coś na kształt gwiazdy. Miała jeden spłaszczony róg. I rodzaj ogona. Bardziej przypominała naskalny wizerunek komety.

— To jest znak graficzny. Po raz pierwszy pojawił się w opisie na skrawku jednego z rękopisów z Qumran. Nikt nie wiedział, o co chodzi. Napis, odczytany z aramejskiego przez Aurelie Levy, brzmi: *I niech on będzie przestroga dla zuchwałych, albowiem siłą „Anioła śmierci” jest siła jego ludu. Dopóki nie spocznie tam, skąd pochodzi.*

— To znaczy: dopóki nie powróci do Bilqis?

— Tak się powszechnie sądzi. Niestety, większość właścicieli diamentu w ogóle nie wiedziała o jego pochodzeniu. Do czasów odkryć archeologicznych wokół sabejskiego miasta Marib. Nie wiedzieli nic o Bilqis także egipcscy faraonowie, perscy władcy, król francuski, jego faworyty i późniejsi pobożni Żydzi.

— Ale o królu Salomonie tak!

— Istotnie. Mówiło się, że diament dotykał jego ciała. Że był wprawiony w gwiazdę Dawida — święty znak.

Agata przyglądała się rysunkowi na serwetce.

— Niezbyt przypomina gwiazdę sześcioramienną. Raczej, wybaczyć profanację, godło komunistów... z ogonem.

Wyjął jej z ręki serwetkę i podał na strzępki. Miał piękne, mocne, opalone dłonie, którym Agata przyglądała się z przyjemnością.

— Pamiętaj, że to surowy diament. Odłamano go od skały gdzieś w Indiach. I przywieziono statkiem do Hadramautu, a stamtąd wielbłądzą karawaną do stolicy Saby. Jako Malach Ha-Mavet — „Anioła śmierci” nie odważono się go nigdy oszlifować. Bo straciłby swą moc. Później też go traktowano raczej jak amulet, kamień filozoficzny. Paryski jubiler Boucheron oprawił go w „coś dziwnego”. Tom Collins natrafił w annałach swej nieocenionej brytyjskiej biblioteki na taki właśnie zapis.

— Więc nie może być w żyrandolu!

— Może. Ale nie musi. Nie ma innego sposobu, jak sprawdzić. Jedziemy do twojej mamy prac z kurzu gdański żyrandol.

Agata uśmiechnęła się.

— Kiedy byłam mała, mówiłam: „pirandol”. I raz mama pomyliła się w sklepie, prosząc o „żarówkę do pirandola”.

— Bardzo śmieszne.

Krakowskie Planty spływały deszczem. Mocna zieleń gęstniała w zakamarkach, skapujące grube krople wchłaniała ziemia. Pachniało miętą i mokrymi liśćmi. Kasztany dawno już przekwitły i gałęzie rozcapierzały pięciopalczaste dłonie. Trawa pomału nasiąkała wilgocią, wykluwając coraz gęściejsze kępki. Stare domy otynkowane z zewnątrz i te, którym się powiodło — całkowicie zrekonstruowane — błyszcząły czystymi szybami. Miasto, dawniej zaniedbane i zniszczone wyziewami z hut, w ostatnich latach wyraźnie odmłodziło.

Biała dwudrzwiowa toyota z otartym błotnikiem stała zaparkowana w zaułku Pijarskiej, między Świętego Marka a Plantami.

— Mam nadzieję, że nikt nie ukradnie tego „Hertza”? — Agata spojrzała sceptycznie.

— Złodziej, nawet jeśli się taki znajdzie, daleko nie zajędzie. Po trzech, czterech minutach automatycznie zablokuje się paliwo. Taka mała sztuczka... chcesz wejść sama?

— Nie. Dlaczego? Mam wyjątkowo inteligentną matkę. Jest od roku na emeryturze. Pracowała w Wydawnictwie Literackim. Teraz tłumaczy z francuskiego.

Szerokie, niegdyś marmurowe schody, prowadziły na drugie piętro łagodnymi skrętami. Na drzwiach pomalowanych zielonkawą farbą widniała wizytówka: Krystyna Drucka-Lubecka.

JFK postawił torbę Agaty.

— Dobre nazwisko. Historyczne. Były minister skarbu w Królestwie Polskim. Straszny konserwatysta. I był przeciwnikiem powstania z osiemset trzydziestego roku.

— Mama jest z domu Drucka. Czy to ma dziś jakieś znaczenie?

— Myślę, że tak. Z jakiego kto pochodzi gniazda. Sam wiem o tym najlepiej.

— Przepraszam, JFK.

— Nie ma za co. Masz klucze?

— Mam. Ale zadzwonię.

W mieszkaniu nie było nikogo. Gdy po kilku minutach weszli, w kuchni unosił się nikły zapach kawy.

— Ekspres jeszcze ciepły. Mama musiała wyjść niedawno. Chodź do drugiego pokoju. Zobaczysz żyrandol.

Zwisał z białego plafonu, prezentując się niezwykle korzystnie. W starym krakowskim mieszkaniu o wysokich sufitach miedziany żyrandol, lśniąca kryształkami szkła, wydawał się całkowicie na swoim miejscu.

JFK przyjrzał mu się z uznaniem.

— Tak. Teraz rozumiem, dlaczego zabrano go z Gdańska. Jest tu jakaś drabina?

— Jest. W schowku. Z przedpokoju na prawo.

Po chwili JFK wspiął się na najwyższy szczebel. Zajrzał do wnętrza konstrukcji, odczepiwszy kilka szklanych wisiorów. Uważnie przyjrzał się centralnej ozdobie w kształcie pięciokąta. Przesuwał ostrożnie palcami po gładkiej, nieco pożółkłej powierzchni. Agata trzymała drewniane szczeble i z zadartą w górę głową obserwowała wysiłki Jacka.

— Agato Krystyno — usłyszała wesoły głos — może mi przedstawić tego pana, który, nie wiem czemu, zwisa z sufitu. Mojego sufitu.

— Mama? Przepraszam. Nie było cię, gdy przyjechaliśmy. To Jacek Filip Keller. Dziennikarz...

— Reporter, łaskawa pani. Reporter. Zaraz schodzę...

Po krótkiej prezentacji Agata poprosiła o kawę.

— Mamo, daj nam tylko dwie filiżanki kawy. Błagam. Jedziemy z Berlina i...

— Nie zamierzam zabierać paniom czasu — sumitował się JFK, całując wypielęgnowaną dłoń kobiety tak podobnej do Agaty. Tylko kolor włosów miała inny: kasztanowy.

— Pojadę teraz do matki. Mieszka na Salwatorze.

— Trochę daleko od centrum...

— To stary dom. W zaniedbanym ogrodzie. Ale jest kolorowo i w maju śpiewają słowiki.

— Agato, po co zaglądaliście do żyrandola?

— Mamo, wszystko ci opowiem. Ale jeszcze nie dzisiaj. Znalazłeś?

Przecząco pokręcił głową.

— Nie. Postaraj się przeszukać wszystko, co możliwe. Zadzwoń.

Starsza pani uśmiechnęła się wesoło.

— Nie mam telefonu. To jeszcze stara, zacofana Polska, panie Keller. Ale będzie mi miło, jeśli zjawi się pan tu na ciasto z orzechami.

Uśmiechnął się urzekająco. Jego białe zęby w opalonej twarzy robiły wrażenie na szesnasto-, czterdziesto- i sześćdziesięciolatkach. Jednakowe.

Jadły obiad, siedząc przy kuchennym stole przykrytym obrusem haftowanym jeszcze przez ciotkę Łucję.

— Kim jest Keller?

Agata zastygła z łyżką w dłoni. Z talerza unosił się zapach włoskiej minestrone.

— Chodzi ci... kim jest dla mnie?

Przytaknęła.

— Trudno mi to wyjaśnić jednym słowem. Poznaliśmy się w Szwajcarii. Wpadłam na jego narty.

— Jak cię znam, moja droga, zrobiłaś to celowo. Przystojny mężczyzna. Ma coś wyzywającego w ustach. Może się podobać.

Agata wstawiła talerz do zlewozmywaka. Odcedziła ziemniaki.

— Owszem. Podoba mi się. Ale tak się złożyło, że jesteśmy oboje zamieszani w pewną historię, która zaczęła się dwa, a może trzy tysiące lat temu na Pustyni Śmierci.

— Aha. To wiele wyjaśnia... mięso jest w piekarniku... słucham dalej. Rozumiem, że ta starożytna przygoda kończy się w moim żyrandolu. Czy tak?

Agata zastygła z garnkiem w dłoni.

— W tym sęk, że nie wiemy. Mamo, gdzie są szpargały, które przywiozłaś z Gdańska po śmierci cioci Łucji?

Spojrzała na córkę bez zdziwienia.

— Mówiłaś, że wiąże was dwa tysiące lat, a nie pudło po cioci!

Agata zajęła się cielęcina.

— A jednak. Czy wiesz, że Jacek jest stryjecznym wnukiem Sturmbahnführera Ottona Kellera?

— Nazwisko od razu wydało mi się znajome. Czy chcesz powiedzieć, że szukacie jego rodzinnych pamiątek? W żyrandolu?

Jadły, siedząc naprzeciw siebie. Tak do siebie podobne. I tak różne.

— Mamo, może to wszystko wydaje ci się zawile... ale na razie dla dobra sprawy nic więcej nie mogę powiedzieć. Uwierz.

— Wierzę. A „szpargały” cioci Łucji są w dolnej szufladzie komody.

— Tej w przedpokoju?

— Tak. I pamiętaj: ja mogę mieć jeszcze fobie na temat Niemców. Przeżyłam wojnę i okupację. Ty już nie.

— To ładnie, że pozwalasz mi ze spokojem w duszy sypiać ze stryjecznym wnukiem nazisty. Ale dziadek Jacka, Polak, był obrońcą Poczty Gdańskiej. I nie odpowiada za drugi człon rodziny.

Matka przyjrzała jej się z uśmiechem.

— Agato Krystyno. Masz swoje własne życie, do którego się nie mieszam. Ale, przynajmniej, kamień spadł mi z serca. Po Kellerze zostało niewiele... jakieś bibeloty. Bawiłam się nimi tuż po wojnie. Miałam dziesięć lat i żyłam w biedzie. Jak my wszyscy.

Późnym wieczorem Agata, ze świeżo umyтыми włosami, ubrana w stary dres matki, przykucnęła obok czereśniowej komody z odłóżkowym miejscami fornirem. Jej dolna szuflada, nigdy nie otwierana, wysuwała się z wielkim trudem. Wśród starych, niemodnych apaszek i zabawnych filcowych kapeluszy leżały lalki w koronkowych mantylkach, z porcelanowymi twarzyczkami. Ich bezduszne błękitne oczy pełne były niekłamanego zdziwienia. Agata systematycznie odpruwała te różowe główki, zdobne w sztuczne loki, zaglądając do środka. Ale niczego w nich nie znalazła. W szufladzie były jeszcze hiszpańskie wachlarze z kościanymi rączkami, malowane w różę, i duży ciepły szal haftowany złotą nicią, który odłożyła, bo jej się spodobał. W ogóle go nie pamiętała. W kącie grzechotały jakieś metalowe pudełka po herbacie. Miały niemieckie napisy, a na wieczku obrazek z dżunglą i słoniami. Chyba była w nich kiedyś przednia cejlońska lub indyjska herbata. Teraz pudełka zawierały niezliczone ilości błyszczących guzików. Niektóre bardzo ładne. Chcąc nie chcąc, wysypała je na podłogę. Ale wśród tego śmiecia rodem sprzed drugiej wojny światowej nie było „Pawiego oka”. Niczego, co by kształtem lub wielkością podobne było do rysunku zrobionego przez JFK na restauracyjnej serwetce.

Pogrzebała jeszcze w lewym kącie i wyjęła coś, co wprawiło ją w dobry nastrój. Jej ukochana zabawka z dzieciennych lat. Coś, czego potem nigdy i nigdzie nie widziała, bo nikt tego w kraju nie wyrabiał: szklana kula, w której wnętrzu, gdy się nią mocno potrząsnęło, wirował śnieg. Wzięła ją w obie dłonie, chichocząc niczym mała dziewczynka. Pamiętała, że w środku jest zatopiona szklana góra z grotą, a w grocie maleńka wieśniaczka odziana w... nagle zamarła. Przerazenie ścięło jej krtań. W szklanej kuli wstrząśniętej jej dłonią istotnie padał śnieg. Padał śnieg. A postać siedząca odziana była w... habit z kapturem! Agata chciała wrzasnąć, ale ściśnięte strachem gardło wydało za ledwie cichutki pisk. Szklana góra w kuli miała kolor błękitu. I kształt, jaki Agata już знаła!

— Malach Ha-Mavet — wyszeptwała. — Znalazłam!

Przez pół nocy przesiedziała na stołku w kuchni, wpatrując się jak zahipnotyzowana w błękitny diament. Szklana góra, śnieg i mała postać wieśniaczki. Bo naprawdę była tam tylko dziewczynka w ludowym bretońskim stroju. Teraz rozumiem, co miał

na myśli Jeremy, mówiąc, że sławny francuski jubiler opracował kamień w „coś dziwnego”. Zaiste! Takie szklane kule z ludzikami, zwierzątkami i domkami w środku były niegdyś szalenie modne. W całej prawie Europie. I zawsze, przy potrząśnięciu, w środku wirują płatki sztucznego śniegu. To sprawka fizyki. I chemii. Ale kamień jest prawdziwy. Mogła stłuc szklaną kulę. Wyjąć diament wartości siedemnastu milionów dolarów. I zgłosić się z nim na aukcję w Amsterdamie lub Genewie. Byłaby najbogatszą kobietą. Tu, nad Wisłą. I codziennie umierałaby ze strachu o własne życie.

— Długo na niego czekałaś, Bilqis — powiedziała półgłosem. — Bo doskonale wiesz, królowo Saby, że ci go oddam. Zbyt wiele trupów, zbyt wiele tajemniczych zgonów. Nie jestem obłąkana na punkcie milionów, choć, nie ukrywam, każdemu pieniądze ułatwiają życie. Ale jak długo trwałoby moje życie? I pomyśleć, że minęło przeszło dwa tysiące lat. A jego blask wciąż trwa i kusci.

Usłyszała kroki matki. Objęła kulę dłońmi. Poczowała jakby prąd przepływający wzdłuż palców do nadgarstka, a potem ramionami do serca. To nie było uczucie nieprzyjemne. Przypominało raczej energię, która uzdrawia.

— Co tu robisz po nocy, Agato? — matka mrużyła oczy. — Zachowujesz się dziwnie. O, znalazłaś tę starą zabawkę? Bawiłam się nią, gdy mieszkaliśmy z babcią w Gdańsku. Ale wiesz... Łucja się jej bała. Uciekała z krzykiem, kiedy nią potrząsałam, by śnieg zaczął padać na głowę tej małej, zmarzniętej biedaczki.

— Mamo... zabieram kulę. Jest mi potrzebna.

— Oczywiście, moja droga. Ale nie niszczyć jej. Dziś nigdzie tego nie kupisz. Nikt już takich nie wyrabia. Idź spać, bo rano będziesz miała podpuchnięte oczy. Już widzę, że będziesz używała lodu na powieki, zamiast do soku.

— Rano muszę wyjechać — wymruczała Agata, nie przestając ścisnąć kuli. Czuła chłód i gorąco. Na przemian.

— Bez powiadomienia tego młodego człowieka, który odkurzał zyrandol?

Skinęła głową.

— Napiszę do niego — powiedziała łagodnie — pod adres jego matki. Zanim wystartuje mój samolot, mamo, nikt nie może wiedzieć o moim wyjeździe.

— Ostatnio dziwnie się zachowujesz. Jakby ci coś zagrażało... może się mylę?

— Nie chcę cię martwić, mamo, ale nie mylisz się. To stara klątwa pewnej umierającej z miłości kobiety. Miała trochę ciemniejszą skórę, prawie dwa metry wzrostu i kochała mężczyznę, o którym mówią, że miał siedemset żon...

— Brzmi jak opowieść biblijna — matka wycofała się z progu. — Wiesz, co robisz. Od dziecka wiedziałas. I nikt na świecie nie mógł zmienić tego, co postanowiłaś.

— O dzieciach takich jak ja mówi się, że są uparte. W świecie dorosłych to już tylko stanowczość. Mamo, jesteś i byłaś najrozumniejszą z kobiet. Ale sprawa, która dotyczy tej kuli, jest z gatunku, jakiego nie lubisz: magii.

Matka westchnęła. Patrzyła na pobladłą twarz Agaty, czując niepokój w sercu.

— Nikomu nic nie powiem. Choćby dlatego, że nic nie wiem.

— I tak będzie dobrze.

Następnego ranka Agata zapakowała rzeczy do zielonej torby. Szklaną kulę zawinęła w miękką irchową ściereczkę. Długo zastanawiała się, co z nią zrobić. Rozbić? Schować tylko kamień? Nie, kula-zabawka wydawała się najłatwiejsza do przewiezienia. Także za granicę.

— Strzeż mnie, królowo — mamrotała, upychając bawełnianą, tropikalną odzież. Miała się przydać. Ucałowała matkę i wyszła na ulicę. Niebo było błękitne z szarawym odcieniem. Północnym. Stare Planty odświeżone wczorajszym deszczem, lśniły zielenią. Agata poczuła ukłucie w sercu. — Nie mogę nie zawiadomić JFK, że wyjeżdżam. To nie byłoby całkiem w porządku. Zadzwonię do niego. Najprościej, po drodze, z hotelu Grand na Sławkowskiej.

W recepcji, do której weszła różnym krokiem, parę osób siedziało w głębokich fotelach, kilka tłoczyło się przy ladzie, czekając na klucze do pokoi. Młoda kobieta w mundurku z plaketką przypiętą do klapy, wychyliła się, wołając:

— Madame Keller! Proszę pani, pokój już gotów. Madame Lieselotte Keller!

Agata stanęła jak przymurowana. Poczowała suchość w ustach i strach paraliżujący ruchy. Uspokój się, idiotko! — pomyślała przytomnie, usiłując opanować miękkość kolan. — Ona cię nie zna. Nigdy cię nie widziała. A jeśli...

Uratowała ją grupa turystów zbiegających ze schodów. Wmieszała się w niemieckojęzyczny tłum, bacznie obserwując kobietę podchodzącą do lady recepcyjnej.

— Blondynka — wyszeptała martwymi wargami, w których nie było kropli krwi. Ta Lieselotte Keller.

Elegancka trzydziestokilkuletnia kobieta odbierająca klucze miała na sobie kostium od Givenchy'ego, pantofle od Gucciego i piękną torbę-walizę w szkocką kratę.

— Danke — powiedziała, posyłając uśmiech. I dodała coś jeszcze, czego Agata już nie dosłyszała.

— Przepraszam — powiedziała miękko, gdy już Lieselotte zniknęła w drzwiach windy — czy pani... panna Keller przyleciała z Berlina?

Recepcjonistka uniosła głowę.

— Właśnie się zameldowała.

— Jestem jej tłumaczką. Z niemieckiego.

Recepcjonistka leciutko wzruszyła ramionami.

— Tak? Pani Lieselotte Keller, a właściwie Keller-Tschudi, przyleciała z Genewy. I mówi po francusku.

Grom z jasnego nieba nie przestraszyłby Agaty tak, jak to zrobiła informacja dziewczyny z długopisem w palcach.

— Tschudi? — wyjąkała.

— Tak. Dlaczego panią to dziwi? Nazwisko po mężu...

Agata z kamiennym uśmiechem wycofała się. Marzyła, by jak najszybciej opuścić hotel. Już nie chciała telefonować do JFK. Nie mogła wprost uwierzyć, że nie miał nic wspólnego z nagłym przylotem kuzynki do Krakowa. A zatem jest żoną profesora. To wiele wyjaśnia. JFK nie pisał o tym ani słowa. Zatem... oboje chcą odzyskać kamień. Bo obydwoje czują się do tego upoważnieni. Czarownica i nazista! Oto przodkowie tej pary!

Tak! — myśli jak błyskawice przelatywały przez mózg — wszyscy się tu zbiegną. Jak sępy. O ile, naturalnie, nie zostaną gdzieś po drodze przez kogoś uduszeni. Jak Tom, Jeremy... Boże, ta klątwa może zabić i mnie!

Godzinę później siedziała w Inter-City do Warszawy. Trzykrotnie, w myślach, zmieniła plany. Jacek zna mój stołeczny adres. Jak się zorientuje, że zwiłam, domyśli się, że wśród szpargałów cioci Łucji znalazłam diament. Razem z kuzynką Lieselotte będą mnie śledzić krok po kroku. Zawiadomią profesora. A on już ma swoje sposoby i pieniądze, by posłać za mną jakieś gończe psy. Zawodowego killera. Co to dla nich! Tylko w lokalnej prasie ukaże się mała wzmianka, taki „michałek” o nie znanej nikomu Polce, uduszonej przez nieznanych sprawców w warszawskim mieszkaniu na piętnastym piętrze wieżowca. Codziennosc, jakich wiele. Siedemnaście milionów dolarów na dnie torby z paryskich soldów sprzed dziesięciu lat. Ludzie, to się w głowie nie mieści!

Pociąg pędził na północ przez mazowiecką równinę. Każdy, kto wchodził do przedziału, mógł być potencjalnym złodziejem-zabójcą.

W mieszkaniu, do którego wsunęła się ostrożnie, prawie na palcach, stał upał i zaduch. Ale nie odważyła się otworzyć drzwi balkonowych. Jeśli ktoś obserwuje dom z zewnątrz... nie zapaliła też światła. Nawet wieczorem. Nie ruszyła zasłon, choć księżyc w pełni przeszkadzał jej, nie dając zasnąć. Nigdy nie spała w czasie pełni. Nazywano ją od szczeniństwa „księżycowym dzieckiem”.

— Jezus, Maria! — szeptała, przewracając się w rozgrzanej pościeli — a jeśli ja rzeczywiście jestem czarownicą? Taką samą jak ta, którą przodkowie profesora Tschudiego spalili na stosie w miasteczku Glarus? Rude włosy, zielone oczy i pieprzyk w kąciku ust...

Zasnęła koło czwartej nad ranem, wierząc, że postać w brązowym habicie kiwa ku niej pizczelem. A z sufitu, w czerwcowy poranek, pada biały, gęsty śnieg. Topiąc się u nóg tapczanu w wielką, czarną kałużę wody.

Śniadanie jadła w najgwarniejszej kawiarni Warszawy, przyciskając dłońią kieszeń, w której była kula. Kieszeń zapiętą na cztery agrafki. Najlepiej czuła się wśród ludzi. No — myślała — tu nikt nie podbiegnie z linką lub sznurem, by mnie udusić na oczach setki jedzących ludzi. Tylko co dalej?

Otworzyła gazetę i pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to artykuł w dziale kulturalnym: *Po przeszło dwóch tysiącach lat uczeni z American Oriental Society, wspomagani przez Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, są o krok od odkrycia grobu słynnej królowej Saby. Ekipa archeologów z doktor Samantha York na czele odkopła pięć dni temu, na pustyni arabskiej, zespół skalny oznakowany wrytym symbolem sabejskiego boga Almaqah. Zapewne tam znajduje się grób królowej, która, jak wspominają o tym zapisy źródłowe, zmarła w drodze powrotnej z Palestyny do swego kraju. Wracła przez Derb el Arabain — słynną drogą „czterdziestu dni”. Wcześniej piękna i młoda władczyni, lądowała ze swoja flotylla w zatoce Akaba. Tu znajdowały się zakłady obróbki miedzi króla Salomona, stąd wypływały jego statki w dalekomorskie rejsy...* — przerwała czytanie.

Pomieszanie z poplątaniem! — szepnęła, opróżniając filiżankę. Oni wszystko zawsze przekręcą, ci niedouczeni dziennikarze! Nie ma żadnego dowodu na to, że Bilqis przepłynęła morzem! Są za to dowody, i to niepodważalne, że do Jeruzalaim, świętego miasta Judejczyków, przybyła na grzbietach wielbłądów!

Agata wiedziała, że czas nadszedł. Że musi natychmiast udać się na skrawek Pustyni Śmierci. Jednego tylko nie wiedziała: jak to zrobić. Wizy pobytowej wymagali zarówno Izraelczycy, jak też Jemeńczycy. Nie wspominając o Saudyjczykach. I na dodatek te ogromne koszty! Na swoim koncie w Banku PKO SA miała niespełna dwa tysiące dolarów. Piekielnie mało, by przelecieć samolotem do Dahrajnu. I wynająć przewodników. Bo tylko tak można się było dostać na skraj pustyni. Cuda się nie zdarzają. Chyba że jest się pod opieką tajemnych sił.

Nad głową Agaty rozległ się radosny okrzyk:

— Tu jesteś! A my cię szukamy!

Spojrzała w górę i dostrzegła siwiejącą czuprynę Marka, kolegi ze studiów, dziś docenta Instytutu Orientalistycznego na Uniwersytecie Warszawskim.

— Nie widziałam cię całe wieki. Dlaczego mnie szukasz? Usiądź i napij się kawy.

Zapadł w fotelik.

— Byłaś na konferencji w Szwajcarii, prawda? Wszyscy się dziwili, dlaczego zaproszono właśnie ciebie...

— Sama się dziwiłam. Ale, przyznaję, poznałam interesujących ludzi. Tłumaczyłam ich książki. Spójrz na ten artykuł: mowa w nim o Samancie York. Była w Sankt Moritz. I parę innych osób...

Marek mrużył oczy z lubością. Kawa była doskonała.

— Wszystko to wiem. Wczoraj dostaliśmy telegram z Genewy...

— Nie kończ! — zawołała, ścisnąwszy mocniej wewnętrzną kieszeń wiśniowej spódnicy. — Od profesora Tschudiego?

— Więc wiesz? To dlaczego nie odbierasz telefonów? Profesor przekazał ci bilet do Kairu. Przez Frankfurt. I jakieś pieniądze. Czekają na ciebie w kairskim hotelu Sheraton. Powiedz prawdę: czym ich tak zauroczyłaś?

Pokręciła głową. Czuła szum w uszach i ból tuż nad prawą skronią. Tak zwykła nadchodzić migrena. Cierpiała na nią, gdy spadało gwałtownie ciśnienie lub kiedy przeżywała szczególnie silne stresy.

— Nie wiem, Marek. Mówiłam ci: tłumaczyłam książki Tschudiego, Samantha, Aurelii Levy... może dlatego chcą, bym razem z nimi spojrzała prosto w oczy królowej.

— Jakiej królowej? O czym ty mówisz?

— Bilqis. Tak miała na imię. Są o krok od odkrycia jej grobu. Ale nikt z was się przecież tym nie zajmuje.

Marek podrapał się za uchem.

— Prawdę mówiąc, nikt z polskich uczonych nie wierzył, że ta kobieta istniała naprawdę. Sądziliśmy, że jest legendą. Jak cała Biblia. Sama przyznasz, że nie można traktować Księg Salomonowych jako historycznego źródła!

Agata pokiwała głową.

— Faktem jest, że nikt w Polsce nie zajmuje się archeologią tych terenów. Zbyt też mało wiecie o zwojach z Qumran. Kościół katolicki interpretuje je po swojemu, chcąc uratować doktrynę. Niektóre fragmenty zwojów zostały ukryte przed naukowcami. Ale Aurelia dotarła do pewnego hiszpańskiego klasztoru. Mnisi też potrzebują szczególnie wysokich... datków...

Spojrzał na nią, smakując ostatni łyk. Czarny i gęsty.

— Zaczynam rozumieć. Ale tak czy owak, powinnaś odebrać bilet. I polecieć tam, gdzie cię chce wysłać profesor z Genewy. To na razie! Opowiesz o wszystkim, jak wrócisz?

Skinęła głową. Lubiła Marka. Może dlatego, że nie okazywał nachalnie swojej zawiści. Ale zazdrość na pewno trawiła duszę młodego uczonego. Choć przykrywał ją przyjaznym uśmiechem.

Sytuacja odmieniła się o sto osiemdziesiąt stopni. Teraz miała bilet i pieniądze. Ale w dalszym ciągu nie miała wizy. Sekretarka w Instytucie rozwiązała i te wątpliwości.

— Wizę dostanie pani na lotnisku w Kairze. Tu jest odpowiednie pismo.

— Egipska nie wystarczy, żeby polecieć do Arabii Saudyjskiej — wystękała, miętząc bilet.

— Proszę pani — sekretarka wykonała palcami gest, jakim w krajach Orientu określa się bakszysz. — Za pieniądze będzie wszystko. Niech tylko pani powie...

— Dlaczego ja? A nie ktoś pracujący tu etatowo?

— Właśnie.

Uśmiechnęła się do tlenionej blondynki w opiętym sweterku koloru wrzosu.

— Bo jestem dla nich warta siedemnaście milionów dolarów!

Klasa biznes w załoczonem do ostatniego miejsca Boeingu 747 Lufthansy polegała na szerokich, wygodnych fotelach obitych szarym sztruksem, kanapkach z łososiem i kaparami, melonie z prowansalską szynką, świeżych figach i niezliczonych kieliszkach szampana.

Na frankfurckim lotnisku, jednym z największych, jakie znała, Agata poruszała się nieco chwiejnie. Pamiętała tylko o jednym: szklanej kuli obciążającej wewnętrzną kieszeń szerokiej marszczonej spódnicy. Kieszeń tę, zapiętą na największą agrafkę, jaką kiedykolwiek widziała w pasmanterii, przykrywała z zewnątrz długa kurtka z kapturem. Jak na business class ubrana była... nietypowo. Mieszanina kultury pop plus ekwipunek przydatny przy zdobywaniu Annapurny. Toteż udawała, że nie widzi rzucanych skrycie spojrzeń. Piła szampana dla dodania sobie odwagi. Całe szczęście, że szkło nie powodowało alarmów przy przekraczaniu specjalnych bramek kontrolnych na lotniskach.

W hali przylotów od razu podeszła do stoiska Egyptian Air.

— Nazywam się Lubecka Agata Krystyna. Mam tu odebrać...

Młoda Arabka błysnęła czarnymi jak węgielki oczyma.

— Yesss — zasepleniła lekko. — Miss Lubecka, please...

Dalej wszystko potoczyło się jak w bajce o Alladynie i jego cudownej lampie. Podawana z rąk do rąk, pomimo totalnego bałaganu, z jakiego słyną Egipcjanie, wylądowała znów w business class Dacoty DC 10.

— To latająca trumna! — wybąkała, zapinając pasy. Stewardesa w błękitnym mundurku bez namysłu podała jej na tacce kieliszek koniaku. Agata wychyliła go, zdumiona takim obrotem rzeczy. Z doświadczenia wiedziała, że alkohol jest przestępstwem w muzułmańskim świecie. A DC 10 był zaczątkiem tego świata. — In'sz Allah!

— In'sz Allah — Błękitna przymknęła powieki. — Arab w podróży...

Agata zamrugnęła przyjaźnie. „Arab w podróży”! Bywa zwolniony z konieczności postu na przykład w czasie ramadanu. Ale co to ma wspólnego z prohibicją? Wypiła jeszcze trzy lampki, by zagłuszyć strach, gdy stara maszyna kładła się na skrzydło lub zniżała podejrzenie lot, mając pod kadłubem błękitne fale Morza Śródziemnego.

Kair przywitał ją upałem, kurzem i nieprawdopodobną masą ludzką, przemieszczającą się w hali przylotów. Agata, nieco zamroczone szampanem, a następnie koniakiem podejrzanego gatunku, poczuła się jak na suku. Znała ten największy bazar Wschodu. Tak samo duszno, tak samo smrodliwie. I tyleż samo dłoni wyciągających się po bakszysz.

I znów stał się cud. Chrypiący megafon wymamrotał czterokrotnie: miss Agatha Lube... ka, miss Agatha Christine...

Zlitowała się nad sobą i osobnikiem, któremu kazano odczytywać polskie nazwisko. Wiedziała, że prędzej połamię sobie zęby i zawiążą język w supelek. Ale poprawnie go nie wymówią.

— Jestem Lubecka.

Przystojny oficer w czarnym mundurze ze złotymi galonami obrzucił ją nachalnym spojrzeniem. Nie miał najmniejszego zamiaru z tym się kryć. Rudowłosa kobieta o mlecznobiałej skórze i spoconym nosie była tą, którą miał się zająć.

— Proszę za mną.

W dziesięć minut później, po pobieżnym przejściu paszportu i bez żadnej odprawy celnej wsadzono Agatę wraz z bagażem, wypchaną kieszenią i sporą zaklejoną kopertą do samochodu, który, przepychając się i rycząc klaksonem, zawiózł ją do hotelu Sheraton. Przez moment tylko, z okna wozu, widziała potężny bok piramidy w Gizie oraz rozległy teren Miasta Umarłych.

Przekroczyła bramę Wschodu.

Hotel Sheraton przy alei Shari Ramsis różnił się klasą od Europy, w której niegdyś mieszkała przez dwa miesiące, współpracując z Polską Misją Archeologiczną i zwiedzając Egipt od Aleksandrii aż po Abu Simbel niedaleko granicy z Sudanem.

W recepcji czekała na nią druga koperta, z czekami American Express i miłym listkiem od profesora Tschudiego.

— Czy profesor jest w Kairze? — spytała z głupia frant.

Wysoki Arab w nieskazitelnym burnusie rozpromienił się na dźwięk nazwiska.

— I am sorry, profesora Tschudiego nie mamy szczęścia gościć. Ale jego apartament w naszym hotelu zawsze czeka. Jeśli miss Lube... ka pozwoli, to posługacz zanieś bagaż. W lodówce są napoje i kilka butelek baraki.

To była ważna informacja. W Egipcie nie wolno pić wody z kranu ani myć nią zębów. Nawet w hotelu pięciogwiazdkowym. Baraka — woda mineralna, jest bezpieczna.

Pierwszą osobą, na którą natknęła się w windzie, był... Michael Burrows.

— Pan tutaj? — jej zdumienie wydawało się nie na miejscu.

Uśmiechnął się serdecznie, wyciągając dłoń. Jego oczy za złotymi oprawkami okularów były kryształkami lodu. Serdeczność syberyjskiej zimy.

— Witam, Agatho. Nie miałem wątpliwości, że się tu spotkamy. Jesteśmy coraz bliżej, prawda?

Nie odważyła się spytać: czego. Szklana, niewygodna kula, obrywająca kieszeń, mówiła sama za siebie. Na szczęście, nie mówił głośno.

— Przyznaję, że zaproszenie na pustynię trochę mnie zaskoczyło. Czy archeolodzy są pewni, że to grobowiec Bilqis?

Skinął głową.

— Najzupełniej. Moim zadaniem jest dowieźć panią na miejsce.

Chciała coś powiedzieć, zdziwiona, ale winda zatrzymała się na siódmym piętrze. Mały Arab w cynamonowym zawoju podniósł jej torby.

— Też tu wysiadam. Mieszkam w pokoju siedemset osiemnaście. To tak... na wszelki wypadek.

Mieszkali dokładnie naprzeciwko. Agata stwierdziła to bez specjalnego zdziwienia. Chce mieć dokładny wgląd w to, co robię i dokąd chodzę. To pewne. Burrows jest uczonym, nie płatnym zabójcą, mam nadzieję. Ale każdy w tym hotelu mógł dostać specjalne zadanie śledzenia mnie lub... In'sz Allah, przeszukania pokoju. Muszę za wszelką cenę ukryć gdzieś tę nieszczęsną szklaną zabawkę.

Na wszelki wypadek nie zostawiała kuli ani na minutę. Siedząc po szyję w pianie i wypoczywając po podróży w obszernej wannie, ścisnęła szkło palcami stóp, ciesząc się, że jest nieprzemakalne!

— Co, do diabła, z nią zrobić? — wymruczała i natychmiast umilkła. Podejrzliwie przyjrzała się lampom i kurkom. Wszędzie mógł być ukryty podsłuch. W dobie elektronicznych „pluskiew” nie istniały żadne zabezpieczenia. Miała tylko nadzieję, że nie mówi przez sen.

Długo czekała z uchem przy drzwiach na wyjście Michaela. Kiedy już zniknął w windzie, wyskoczyła na korytarz. Hotel był ogromny. Dużo zakamarków z fotelami, pseudoarabskimi kindżałami na ścianach i ogromnych donic, z których wylewała się sztuczna zieleń. Schować w którejś z nich diament wartości siedemnastu milionów? Nie schować — znaczy stracić go. I skazać się na zemstę królowej. Wciąż się jej zdawało, że na plecach czuje czyjś wzrok. Czarne, arabskie, bezwzględne oczy mordercy.

Przypadek, jak zwykle, przyszedł jej z pomocą. W wędrownicy po siódmym piętrze hotelu zajrzała do pakamery, w której trzymano góry pościeli. Na jej widok młoda Arabka wrzasnęła ze strachu. Nic dziwnego. Została przyłapana na miłosnej scenie z jednym z hotelowych służących. Byli tak zajęci gimnastyką na stosie poszewek, że upłynęły sekundy, nim chłopak prysnął drugim wejściem. Agata w pierwszym momencie chciała się cofnąć, ale błagalny wzrok rozplamionej dziewczyny zatrzymał ją na progu. Cicho zamknęła drzwi.

— Miss... nic nie powie, prawda? — dziewczyna poprawiała mundurek pokojowej.

Agata milczała, oceniając sytuację. W świecie islamu stosunki damsko-męskie, które nie były małżeńskimi, mogły kosztować gardło.

— Nie powiem, ale...

Dziewczyna trzęsła się jak galareta. Też wiedziała, co jej grozi.

— Miss — błagała łamaną angielszczyzną — mój mąż... gdyby... ale mam tutaj pracę. W Kairze trudno o pracę... dziewczyna musi, nawet kiedy...

— Kiedy nie chce?

Skinęła głową. Łzy spływały jej po policzkach. Czarne, długie rzęsy trzepotały trwożnie.

— Miss, Alana... znaczy ja. Mam na imię Alana. Zrobię dla miss wszystko.

— Dziękuję. Nie martw się, Alana. I powiedz chłopakowi, że go nie widziałam. Nigdy bym go nie rozpoznała. Tu pracuje tyłu... ale mam do ciebie prośbę.

Oczy dziewczyny były już suche. Ręka z przyzwyczajenia wyciągnęła się po bakszysz. Agata udała, że tego nie widzi.

— Chcę, żebyś mi coś schowała. Talizman — pokazała szklaną kulę. Chwilę obracała ją w palcach. Śnieg posypał się na grootę z błękitu. Arabka cofnęła się o krok. — Nie można tego sprzedać ani ukraść. W środku jest dusza... umarłej kobiety. Widzisz?

Śnieg znów wzbił się z dna kuli i zaczął opadać chemicznymi płatkami. Oczy dziewczyny ogromniały. Zaczęła się trząść.

— Schować... duszę? — wybąkała.

— Tak jak bóg Ra czuwał nad duszą Hatszepsut.

Była Egipcjanką. Wierzyła w swoich bogów.

— Tak, miss...

— Na duszę tej zmarłej czyha niebezpieczeństwo. Gdyby się z kuli wydostała... i ty, i ja, i ten, który by to zrobił... umrze. W ciągu pół godziny. Rozumiesz?

Rozumiała. Jej religia z czasów faraonów dokładnie określa, kiedy BA wraca do swojego RA. Dla Egipcjanki żyjącej w końcu dwudziestego wieku było to tak samo jasne, jak to, że bóg Thot spisze przed jej śmiercią wszystkie jej dobre i złe uczynki. Kula z kryształu, opraciona przez Bouchersona, stała się czystą magią.

— Schować? Przed złodziejem?

— Tak.

— Tutaj?

Agata rozejrzała się uważnie. Wśród stosów prześcieradeł, poszewek w błękitne paski, obrusów i eleganckich ręczników dojrzała kilka kolorowych pudeł.

— Co jest w środku?

— Guziki. Miss, ta dusza... nie wyjdzie ze szkła? W nocy?

— Nie. Jeśli nikt nie rozbije kuli. Boję się trzymać ją w moim pokoju. Sprzątaczką mogłaby nieumyślnie...

Przerażona Arabka szybko przytknęła palce do ust i czoła.

— Sira jest taka... nieostrożna. Raz coś ukradła. O mało nie straciła pracy!

— Ty nie stracisz pracy. Jeśli zrobisz, co każę. A gdy po nią przyjdę... nie wiem kiedy... oddasz mi. Dostaniesz bakszysz.

— Ile?

Agata potrząsnęła szkłem. Białe płatki znów zasnuły błękitną górę. Arabka skurczyła się, zmalęła.

— Miss, tam jest pudełko z tasienkami. Już puste. Schowałam je pod tym stosem obrusów. Używa się ich tylko w przypadku bankietów.

— Dobrze. Daj. I pamiętaj: nie dotykaj pod żadnym pozorem. Ani nikomu o tym nie mów. Bo twój mąż dowie się o wszystkim.

Dziewczyna była przestraszona nie na żarty.

Wracając do swego pokoju, Agata zastanawiała się, czy postąpiła słusznie. Może nic mi nie grozi? Może to wszystko to są tylko głupie przeczucia? Nikt nie wie, że mam diament. Ale mogą podejrzewać... Szkoda, że nie jestem Agathą Christie.

Z pokoju siedemset siedemnaście sprzątaczką wywoziła mokre ręczniki. Agata uśmiechnęła się do niej. Ale Arabka miała złe, zaciśnięte usta.

Natychmiast poznała, że w torbie, biureczku, łóżku ktoś buszował. Każda kobieta ma swój własny, niepowtarzalny sposób układania rzeczy. W każdej damskiej torebce, choćby należała do największej bałaganiary, jest pewien stały system: to tu, a to tu. I dlatego Agata odetchnęła z ulgą, że kula leży w pudełku po tasiemkach.

Otworzyła lodówkę, wyjęła butelkę baraki i nalała sobie szklankę. Woda miała nieco słonawy smak.

I wtedy film się urwał.

Obudziła się późnym popołudniem, z gardłem wyschniętym na wiór. Zdumiona spojrzała na zegarek i na własne buciki z białego płótna stojące obok łóżka, na którym leżała. Nie pamiętała chwili, gdy je zdjęła z nóg. Pragnienie spowodowało, że spojrzała na stolik. Butelki z wodą mineralną nie było. Powoli podniosła się, czując dziwny szum w uszach. Potrząsnęła głową, ale szum nie ustąpił. Czowała się źle. Głowa ciążyła, powieki się zamykały.

O siódmej wieczorem obudziła się na dobre. Ktoś mnie uspił — pomyślała względnie przytomnie. Miała na sobie szlafrok kąpielowy. Jej rzeczy, nieporządnie rzucone na fotel, były najwyraźniej przeszukane. Szeroka spódnica miała wywrócone kieszenie. Żebyś pękł, Michaelu Burrows! Tylko ty mogłeś tu nasłać jakichś szperaczy. Wody! Królestwo za wodę!

Baraka z lodówki miała tym razem smak normalny. Agata piła jak człowiek zagubiony na Saharze, aż w litrowej plastikowej butelce ukazało się dno. W tej samej chwili rozległo się pukanie do drzwi.

Otuliła się szlafrokiem.

— Kto?

— Burrows. Niepokoilem się o panią. Może zjemy razem kolację?

Rozmawiali przez zamknięte drzwi. Agata czuła dziwny niepokój.

— Dobrze. Proszę przyjść po mnie za godzinę. Muszę wziąć prysznic.

— Jak pani sobie życzy. Wszystko w porządku?

Nie odpowiedziała, wędrując boso w stronę łazienki. Nawet w Sheratonie ze ścian odpadały kafelki. Dwie puste łaty przeszkadzały jej poczuciu estetyki. Powiedzieć mu o rewizji czy nie? Przecież to mógł być on sam? Myśl, że Michael ją rozebrał, wydała jej się wstrętna. Dlaczego nie zabrałam ze sobą JFK? Z nim byłoby bezpieczniej! Ej, czy naprawdę? Urocza kuzyneczka Lieselotte mogła dla zdobycia „Pawiego oka” doprowadzić do porozumienia dusz. Mogła zaproponować Jackowi współuczestnictwo. Lieselotte Keller-Tschudi wydaje się spiritus movens całej tej sprawy!

Burrows zapukał punktualnie. Wyszła ubrana w skromną sukienkę na cienkich ramiączkach. Uciekając z Warszawy, nie zabrała na pustynię wieczorowej kreacji od Ivesa Saint Laurenta. Pomijając ten drobny fakt, że jej nie miała!

— Ładnie pani wygląda, Agatho. Zejdziemy do baru. Ma pani ochotę na coś arabskiego?

— Byle bez trucizny w środku — wymruczała, siadając przy śnieżnym obrusie. Był nowy, ale nie tak elegancki, jak te w pakamerze na siódmym piętrze.

Burrows spojrział na nią spod szkieł. Wydał się Agacie jeszcze wyższy i bardziej giętki: nać kartoflana wyrosła zimą w zbyt ciepłej piwnicy.

— Czy coś się stało?

Potrząsnęła włosami. W Polsce nie zdążyła ich podstrzyć i teraz sięgały ramion.

— Nie. Skąd takie wrażenie?

— Zamówię kus-kus z mięsem z drobiu. Do tego zielony sos i kruchą sałatę z oliwkami.

Oboje wiedzieli, że potrawę przygotowuje się dość długo. Mieli czas.

Mężczyzna pogryzał ciepłe podpłomyki, maczając je w soi i soku ze świeżych fig.

— Będziemy się dalej oszukiwać?

Agata rozciągnęła wargi w uśmiechu.

— Michael, jest pan podporą uniwersytetu w Cambridge i bardzo złym psychologiem. Niczego pan nie wskóra na siłę.

Złote oprawki błysnęły. Był zły.

— Nie jestem pani wrogiem, choć wiem, że ma pani Malach Ha-Mavet.

Zatrzepotała rzęsami.

— Gdzie? Przeszukano mój pokój bardzo dokładnie. Zrobiono mi osobistą rewizję. Niech pan da spokój. Nie jestem idiotką!

Westchnął, przetykając kęs.

— Profesor Tschudi dawno to stwierdził.

— A Lieselotte? Jego żona?

Zdziwił się. Wyglądało na to, że niewiele wie o Kellerach. Może nie wszystko, co odkrył Tom, zostało przekazane pozostałej szóstce.

— Co ma do tego Frau Tschudi?

— Tylko tyle, że śledziła mnie aż do Polski.

Podano glinianą misę z wysokim stożkiem. Zapach ryżu i szafranu rozszedł się, powodując u obojga wydzielanie trawiennych soków.

— Dobrze. Nie wiem o wszystkim. Każdy tu coś ukrywa...

— Coś? To „coś” ma wartość siedemnastu milionów dolarów! Czy wiozłabym tutaj diament, gdybym go miała? Po co? Każdy zdrowo myślący człowiek byłby już w Sotheby's lub Christie! Tam są aukcje na diamenty!

Prawie rzucił się na jedzenie.

— Agatha Christie... jutro lecimy na pustynię. Wszystko załatwione.

Zdziwiła się.

— Bezpośrednio? W kopercie, którą wręczono mi na lotnisku, jest inny plan. Lot do Adenu lub Dahrajnu.

Napychał sobie usta lepkiem od sosu ryżem. Skrzydełko kurczaka trzaskało w zębach. Wyglądał jak wygłodzony ludożerca.

— Nie — przełknął, popiwszy wodą mineralną — lecimy małą Cessną wprost do stanowiska wykopaliskowego. Wzdłuż Morza Czerwonego. Potem skręcimy na wschód. Na pustynnoskalisty teren, gdzie schodzą się: Arabia Petrea i Arabia Felix. To dokładnie skraj Ar-Rab al-Chali... Pustyni Śmierci.

— Nie zestrzelą nas? Takie rzeczy się zdarzają w Arabii Szczęśliwej.

— Jest pewne ryzyko. Są tam wojskowe bazy Amerykanów. I nie tylko. Ale mamy wszelkie potrzebne zgody. Pilot Cessny to Anglik. W kabinie będzie jeszcze z nami Arab. Podobno z Dowództwa Sił Powietrznych króla Sauda. Nie znam go. Musiałem się zgodzić...

Skinęła głową. Była pewna, że ów Arab ma specjalne zadanie: szpiegować ich wszystkich. I będzie miał oczy i uszy na łożyskach kulkowych. A w rękawie ostry sztylet. I użyje go w imię Allacha.

Tej nocy spała spokojnie, choć we śnie zjawiała się postać w brązowym habicie. Miała puste oczodoły i czaszkę pokrytą brązową, cienką jak pergamin skórą. I kępkę czarnych włosów przyklejonych nad prawym łukiem brwiowym. Nieco przypominała twarz mumii Setiego Pierwszego, gdy ją po wiekach odwinęto z bandaży. Nie ruszała się. Jakby płynęła między leniwie obracającymi się skrzydłami klimatyzatora w metalowej obudowie a brzegiem tapczanu. O czwartej nad ranem zniknęła. Wtedy właśnie nad Pustynią Śmierci wschodzi słońce.

Agata pospiesznie spakowała torbę. Do pakamery dostała się bez problemu. Młodej pokojówki nie spotkała. Kula spokojnie leżała na dnie pudła. Włożyła ją do kieszeni w spódnicy-spodniach, zapięła agrafką i wyszła przed hotel. Stał tam mały mikrobusik z dwoma Arabami w białych galabiach i zawojach na głowach. Obaj byli brodaci, ze wzrokiem ukrytym za szklami czarnych, słonecznych okularów. Wyglądali tak, jakby pomiędzy połami śnieżnych tkanin ukrywali po kilka szybkostrzelnych izraelskich pistoletów maszynowych typu Uzi.

— Gdzie mister Burrows? — spytała.

Nie odpowiedzieli.

Agata kątem oka spojrzała w głąb hotelowego holu. Jacyś ludzie w białych kitlach, wyglądający na służbę medyczną, wynosili nosze, a na nich coś przykrytego prześcierałem. Nowy trup? — pomyślała i ciarki przeszły jej po grzbiecie. Michael? Trzecia ofiara królowej Bilqis?

Zdenerwowana nie pytała już o nic. Tak było bezpieczniej. W każdym razie w tym kraju, gdzie życie ludzkie nie przedstawia wartości.

Jeden z Arabów delikatnie popchnął ją do mikrobusu. Nie mogła się opierać. Nie miałoby to sensu. Przykryte prześcieradłem ciało zniknęło właśnie w drzwiach sanitarki. Człowiek był, człowieka nie ma. In'sz Allah.

Jechali długo przez zatłoczone ulice Kairu. Potem skręcili na drogę prowadzącą ku oazie Fajum. Mijając posterunki wojskowe, kierowca podawał jakiś papier. Żołnierze salutowali z szacunkiem, nie prosząc nawet o papierosy lub butelkę coca-coli, co jest w zwyczaju.

Małe lotnisko, a jakże, wojskowe, ukryte pomiędzy burymi namiotami i obstawione starymi beczkami po paliwie, zapewne należało do egipskich służb tajnych. Kręciło się tu kilku oficerów i żołnierzy noszących zwoje kabli. Na suchym, żółtoburym piasku stała wypucowana Cessna ze znakami brytyjskimi. Pilot, w cywilnej czarnej kurtce, wyglądał, jakby właśnie wyszedł z pubu. Mimo temperatury bliskiej trzydziestu stopniom nie miał na okrągłej twarzy ani kropli potu.

Agata pozazdrościła mu. Choć rano wzięła prysznic, teraz już czuła się wymięta i spocona.

Zakutany w galabie Arab wsiadł od razu na tylne siedzenie czteroosobowej maszyny, zakrył rękawem twarz i zasnął. Przynajmniej takie robił wrażenie. Agata próbowała nie myśleć o obciążonej kieszeni. Starła się jedynie, żeby o coś niechcący nie uderzyć szkłem. Nie wiedziała, jak jest grube i wytrzymałe. Fotele były całkiem wygodne, choć dolny pas bezpieczeństwa przechodził niebezpiecznie blisko obciążonej kieszeni.

Wystartowali z rykiem, skoro tylko egipski oficer, stojący na końcu pasa ubitego z piasku, dał znak chorągiewką. Ani wieży kontrolnej, ani naziemnej obsługi. Egipt jaki jest, każdy widzi.

Maszyna wychodziła na dogodny pułap, hałasując silnikiem. Nikt nie rozmawiał, bo też nikt niczego nie słyszał. Agata odetchnęła, kiedy włączyło się chłodzenie. Przestała się pocić i przymknęła oczy. Słońce mieli z lewej strony, w dole szaro-żółtą powierzchnię od czasu do czasu znaczoną kępami palm daktylowych. Żółta pustka. Potem wyskoczył szary pas Morza Czerwonego. I znów równina, załomy skał i bezkresna pustynia.

Wylądowali gdzieś wśród szarych gór, płytkich wąwozów i małych kraterów.

— Bierzemy paliwo — powiedział pilot, zeskakując. — Proszę zostać w środku. Nawet jeśli zrobi się upalnie. To już starożytne Bir al-Madani.

Agata spojrzała w lewo. Okutany Arab spał bez ruchu. Zrobiło jej się niedobrze. Z trudem opanowała nerwy i żołądek podchodzący do gardła. Wyjęła ze schowka obok fotela butelkę baraki. Wypiła duszkiem połowę. Poczowała się trochę lepiej.

Obok samolotu nagle pojawili się ludzie. Już nie wojsko, lecz brodaci cywile. Przytoczyli zza kamieni wielką, na czarno pomalowaną beczkę i grube węże.

W powietrzu rozszedł się zapach benzyny. Nie było bezpiecznie. Było dziwnie. Brodaci łachmaniarze w turbanach i boso mieli za paskami nowiutkie automaty. Ucieszyła się, kiedy samolot ponownie wystartował. Wsiadając, pilot wydmuchał powietrze przez nos.

— Ufff... nigdy nie wiadomo, co Beduini zrobią z samolotem. Napełnią paliwem czy wysadzą w powietrze.

Posłała mu słaby uśmiech.

— Długo jeszcze?

Odwrócił pyzată twarz. Miał krótko ostrzyżone włosy koloru słomy.

— In'sz Allah. O ile ktoś nas nie zestrzelił pociskiem ziemia-powietrze. Taki kraj. Różne interesy. Można zarobić fortunę, można stracić życie. Jest wybór.

Brzegi krateru nikną na horyzoncie. Wtapiają się w rozedrgany żarem widnokrąg.

Miejsce, w którym wylądowała Cessna, było pęknięciem ziemi. Prawie dnem świata. Wokół skały dzikie, spiętrzone, pocięte rozpadlinami, nad którymi paliło się oszalałe słońce. Temperatura sięgała w cieniu pięćdziesięciu stopni. Suche piaski, potworna, bezbrzeżna męka.

Agata oblizwała wargi. Nie pomogło. Sól i pieprz. Wysiadając, dotknęła metalowego okucia fotela. Sparzyło.

Pilot odwrócił się do Araba.

— Czekamy?

Zakutany w burnus skinął głową. Od skał, w których erozja przez miliony lat wyrzeźbiła coś na kształt skamieniałego miasta, wyprysnęły szybko poruszające się punkciki. Trzej jeźdźcy na wielbłądach. Jeden luzak i biały jak śnieg ogier z rozwianym ogonem i gęstą, dobrze utrzymaną grzywą. Koń z innego świata. Z innego snu.

Agata, czując, jak pot spływa jej po twarzy, szyi i plecach, oddychała z trudem. W nieruchomym powietrzu stały drobiny piasku. Mgiełka pyłu pokrywała świat aż po horyzont. Góry były kolorowe: białe, żółte i rude, gdzieniegdzie zbryzgane plamami przypominającymi do złudzenia krew. Sceneria ze snu. Pustynia sudańska, jaką znała, była niczym, płachtą żółtej materii w porównaniu z tym, co roztaczało się wokół niej.

— Wody — głos jak w próżni.

Arab podaje jej butelkę baraki. Agata ma wrażenie, że serce podchodzi do gardła, a mózg roztapia się, spływa w głąb czaszki, bezpowrotnie ginie w otchłani. Pulsuje krew. Ktoś nakłada jej na głowę korkowy hełm. Trzy postacie zeskakują z kłęczących zwierząt, których pyski, miękkie i chłodne, wydają się pochodzić z innego świata. Trwa krótka narada.

— Ja tu zostaję. Przywiozą zaraz paliwo. Już z misji wyjechała cysterna — pilot wyjmuje torbę Agaty. — Odlatuję za godzinę.

Potrafiła tylko skinąć głową. Wody w butelce ubywało w zastraszającym tempie.

Beduini wciągają ją na siodło. Nie pamięta o pilnowaniu kuli. Ale czuje ją. Wielbłąd wstaje i Agacie wydaje się, że daje nurka przez pysk. Czyjeś silne ramię pomaga. Powiodło się. Arabowie sprzecząją się gardłowo. Jeden ma szaty w kolorze indygo. Twarz i ręce także. To Jemeńczyk. Jadą wolno przez płaską skałę w kolorze malachitu. Nie do wiary, że tu, gdzie upał sięga szczytu, powstawały niegdyś państwa, imperia, umierały i rodziły się cywilizacje. W górze pod szarym niebem porusza się wielki ptak. Cierpliwy sęp czyhający na ludzkie truchło? Na padlinę? Pustynia była tu zawsze. Skały też. Czasem, gdy ziemia się trzęsła, zapadały w głąb. Wyłaniały się nowe, odsłaniając drobno pokruszone cząstki malachitu z domieszką kwarcu. Więc ona tędy jechała? Bilqis? — Agata czuje, jak myśli chwieją się w takt stawianych wielbłądzich nóg: dwie lewe, dwie prawe. Okręt pustyni przyspiesza. — Wracała pełna bólu i żalu. Jak każda porzucona kobieta. Ale Bilqis była królową! Władczynią cywilizowanego państwa, gdzie szumiały fontanny i kwitły ogrody. Jej lud potrafił wyprzeć pustynię, znaleźć zbiorniki wody deszczowej, przeprowadzić irygację. Co z tego zostało? Nic!

W dali, we mgle z drobin piasku mającą palmy. Oaza czy fatamorgana? Oaza. Jeden z wodnych zbiorników ukrytych w skałach.

Obok namioty archeologów.

— Żyjesz? — To Samantha York. Ma przepoconą bawełnianą bluzę i postarzałą twarz.

Agata kiwa głową. Nie może wydobyć słowa.

— Nie wiem, gdzie... Burrows — mruczy wreszcie, plując piaskiem.

Samantha marszczy brwi. Jej długi nos wydaje się jeszcze dłuższy. Włosy są spięte na karku tą samą szylkretową zapinką, jaką Agata zapamiętała z Sankt Moritz. Nagle zapra gnęła znaleźć się znowu na posypanym śniegiem tarasie kawiarni w Zermatt.

— Jak to? Nie przyleciał z tobą?

Agata przecząco kręci głową.

— To nic. Dobrze, że jesteś — brzmi to sucho i groźnie.

Arabowie i ich wielbłądy gdzieś zniknęli. Koń z jeźdźcem także. W namiocie jest miska z wodą i czysty ręcznik. I łóżko polowe opięte gęstą siatką przeciw moskitom.

— Memsahib uważa — mówi łamaną angielszczyzną kilkunastoletni Arab w brązowej galabii, stawiając torbę na drewnianej ławie. — Nie wolno wkładać butów, zanim się nie sprawdzi, czy w środku nie ma skorpiona.

— Tak, wiem. A kobry?

Chłopiec wyszczerza olśniewające zęby.

— Jusuf utłukł największe. To pustynia, memsahib...

Wiedziała o tym. Czowała ją. Pustynia pachnie mieszaniną roztartych minerałów i za duchem włoskiego kopru. Jej woń zmienia się w zależności od pory dnia.

— Umyję się tylko i wyjdę.

— Zaraz lunch, memsahib. Właśnie walą w żelazo. Przyjdą robotnicy.

Zaciąga za chłopcem klapę namiotu. Rozbiera się i myje, czując, jak wraca życie. Ale cały czas ma kulę w zasięgu wzroku. W szerokich płóciennych spodniach, wysokich skórzanych butach, bawełnianej koszuli w kolorze piasku i korkowym hełmie odszukuje archeologów. Wchodząc do namiotu, kątem oka dostrzega daleką postać Araba na wielbłądzie. I drugiego na koniu. Stoją obaj w oślepiającym słońcu na wzgórzu, które wygląda jak jedna z nadmorskich wydm.

— Jutro odwalamy najcięższy głaz — mówi Aurelia Levy świętą arabszczyzną. Jej biała, tym razem bez cienia błękitu, głowa góruje nad stołem. Siedem par oczu spooczywa na Agacie.

— Witam. Profesor telegrafował, że przylecicie... że przylecisz — poprawia się.
— Przedstawiam ci naszych inżynierów i architektów. Jacques'a znasz.

Trever krzywi usta. W dusznym, pomimo elektrycznych wiatraków, pomieszczeniu unosi się tajemnica. Cicho brzęczy agregat.

Agata nie zmrużyła oka. Trzymając w dłoni chłodne szkło, zastanawiała się, co zrobi. No, nie wiem. Tak naprawdę nie mam zielonego pojęcia, po co przywiozłam tu „Pawie oko”. Żeby je pokazać mumii? Żeby je oddać? A może zatrzymać? Ściana namiotu faluje. Serce Agaty zamiera. Nie, to tylko cień Araba. Pilnują. Ciekawe, kiedy się rzucą niczym oszalałe erynie, by rozerwać mnie na kawałki, a potem wyrwać sobie z rąk błękitny diament? Kto z nich zwycięży? Samantha, Aurelia czy miłkliwy Trever? Jakie to szczęście, że słońce wschodzi o czwartej zero trzy.

Jednak zapadła w krótki sen. Ale nie przyniósł ukojenia. Śnił jej się JFK, jego ramiona, kremowa pościel na największym łóżku świata w hotelu Salvattore nad włoskim jeziorem. Brakowało jej tego. Chciała mieć swojego mężczyznę, któremu mogłaby zaufać. Nie był nim, niestety, JFK.

— Niech piekło pochłonie wszystkich Kellerów! — wysapała w mokrą poduszkę, a raczej coś na kształt wałka, co tę poduszkę udawało.

Stacja archeologiczna miała własny agregat, radia na baterie i osprzęt wartości kilkunastu milionów dolarów. Nad dziurą wśród skał czuwali inżynierowie z Niemiec i Belgii. Trzeba było podnieść potężny kamienny głaz, który obsunął się przez wieki. To pod nim, zgodnie z wcześniejszymi pomiarami, znajdował się grób.

— Nie spodziewajcie się niczego w rodzaju sarkofagu — mówiła zdenerwowana Aurelia. — To nie Egipt. Królowa umarła w drodze do swego kraju.

Potężny dźwig opuścił ramię w czarną, a raczej czarno-srebrną, otchłań.

Agata leżała na skraju płyty. Pod nogami i brzuchem czuła ciepłą powierzchnię kwarcytu. Dźwig ostrożnie uniósł płaski, pożyłkowany kamień. Na jego powierzchni widać było głęboki ryt w kształcie, który znała. Nierównej długości ramiona pięcio-

kątnej gwiazdy z dłuższym ogonem, niczym słynna kometa Halleya. Taka sama udała w kryształowej kuli szklaną grootę dla małej dziewczynki w ludowej sukience i kapтурku.

— Stop!

Runęli w dół, ślizgając się po gładziźnie skał. Trójka archeologów pochyliła się nad brunatnym szkieletem. Kości były nienaruszone. Czaszka z kępą czarnych, dobrze zachowanych włosów. W suchym powietrzu i piasku przetrwały kawałki szat, dziergane złotą nicią. Długie kości ud i ramion. Bilqis musiała mieć prawie dwa metry wzrostu. Mówi o tym Salomonowa „Pieśń nad pieśniami”.

— To ona! Największe odkrycie końca dwudziestego wieku! — głos Samantha ginie w tłumie, jaki robią arabscy robotnicy. Cieszą się, bo praca zbliża się do końca. Pieniądze, duże pieniądze, są w zasięgu dłoni.

— Niczego nie dotykać! Proszę niczego nie dotykać! Nie ruszać nawet centymetra tkaniny, dopóki wszystko nie zostanie sfotografowane, narysowane i obmierzone.

Takie są prawa. Odkrycie na miarę grobu Tutenchamona. Schodzi fotograf. Prosi wszystkich o opuszczenie ciasnej przestrzeni. Jego jasne jak słoma włosy przesłaniają Agacie widok. Nieostrożnie klęka i w tej samej chwili słyszy cieniutki brzęk rozbijanego szkła. Czuje, że zamiast kuli w kieszeni ma okruchy. Tak, kula, nie ze szkła, lecz z kryształu, rozpada się od nagłego uderzenia na milion drobinek. I jeden duży odłamek. Agata sięga do kieszeni. Na dłoni lśni błękitny kamień. A wokół poczerwiałe pod wpływem powietrza płatki śniegu. Mała figurka dziewczynki stacza się po pochyłości i ginie w otchłani. Agata oszołomiona kładzie kamień na skale. Lśni w blasku słońca. On — Malach Ha-Mavet. Niewyobrażalnie piękny od przefiltrowanych promieni. Oszałamiający.

Agata słyszy czyjeś pospieszne kroki. Kamień znika w jej zaciśniętej dłoni.

— Masz go, tak? — Jacques Trever pochyła się nad nią. Mógłby ją zepchnąć w otchłani jednym silnym ciosem. Nie może tego zrobić. Straciłby siedemnaście milionów. Agata cofa się. Dalej już nie ma gdzie. Trever wyciąga rękę. I błyskawicznie cofa ją. Dlaczego? Stukot końskich kopyt na skalistej platformie. Biały burnus odkrywa długą arabską strzelbę. Za pasem lśni zakrzywiony kindżał. Trever unosi kask, chustką ociera mokre czoło. Robi krok do tyłu. Prawie nad swoją głową ma końskie kopyta.

— Jesteś głupia — szepcze. — Głupia.

— Ktoś inny rządzi tą pustynią, prawda? — Agata oblizuje słonawe wargi. Nie czuje, że diament zranił jej palce.

— Pustynią zawsze rządzi śmierć! — Trever odchodzi, uważnie przyglądając się zakutanemu w burnus Arabowi.

Tak. Pustynia rządzi się własnymi prawami. Tu, u zbiegu ludzkich interesów, zawsze walczyły ze sobą przeróżne plemiona. Nikt nie wie, co kryją odwieczne piaski: ropę, miedź czy inne cenne minerały. Allah jest wielki. Lam Allah il al Allah, wa Muhammad rusul Allah. Tak zaczyna się każda sura Koranu — świętej księgi muzułmanów. Bo Koran, jak Talmud i Biblia tworzą — ludzi Książ.

Agata znów czuje ciepło pulsujące z kamienia. Diament w jej dłoni zdaje się pęcznieć, zamiast chłodu — emanuje gorącem. Spogląda w dół: fotograf skończył pracę. Zwija sprzęt. Samantha i Aurelia dyskutują z architektem i rysownikiem. Przez chwilę szkielet samotnej królowej wystawiony jest na słoneczny blask. Teraz! Jakaś potężna siła każe jej zsunąć się w dół i o włos minąć stopami najeżone, ostre odłamki skał. Tuż pod osłoną sterczącego ukosem głazu dokładnie widzi brunatną czaszkę obciążoną wysuszoną skórą. Oczodoły, w których lśnią drobiny kwarcu, i prawe przedramię z kośćmi dłoni. Są jak wypreparowane: nadgarstek ze zbyt luźną złotą, poszarzałą od upływu czasu, bransoletą. Nie wie, jak się to dzieje, ale jej własna pięść rozwiera się, błękitny diament pada wprost na ciemne piszczele. Agata słyszy za plecami ostry krzyk Aurelii i skowyt wydobywający się z gardła Trevera. Czyjeś kroki, potknięcie, ciężki upadek ciała. To, co się dzieje w ułamku sekund, zapamięta do końca życia: oto brązowe kostki poruszyły się, palce królowej zaciskają się na diamencie, który kruszeje, znika, zanurza się w piasku, niczym błękitne drobiny szkła. Szkielet bieleje w ostrym świetle błyskawicy przecinającej skalisty grób. Grzmot huczy w rozpadlinach, potęgowany świstem wichury. Piasek wiruje, zasypuje oczy, zatyka usta. Agata czuje, jak czyjeś ramiona obejmują ją w pół i wyciągają z pękających skał. W piaskowej burzy ledwie widzi znikające sylwetki ludzi. Nie słyszą ich krzyków, tylko bezgłośnie poruszające się usta. Jak na filmie, gdy wyłączą się dźwięk. Łoskot i wstrząs górotworu. Ziemia usuwa się spod końskich kopyt. Agata przyciska twarz do białego burnusa i zdaje się całkowicie na łaskę losu. Już nie widzi nic. Tylko łoskot kopyt, rzenie konia i cichy głos przemawiający do przerażonego zwierzęcia:

— Rich! Jallaaa!

Rich po arabsku znaczy wiatr.

Gdy się budzi z długiego snu, jest ranek. Zdumionym wzrokiem wodzi po zielonkawych ścianach namiotu. Jest inny niż ten, który jej przydzielili archeolodzy. Jej nagie ramię nosi ślady zadrapań. Ale czuje się czysta i świeża. Siada na pościeli, przestraszona i jednocześnie szczęśliwa. Że żyje.

— Czy mi się to wszystko śniło? — szepce sama do siebie. — Nie! Przecież wciąż jestem na pustyni. Czuję ją. — Obok, na inkrustowanym wielbłądzią kością stołku, leży jej odzież. Stoją wysokie skórzane buty. — Kto mnie rozebrał? KTO?

Płachta odchyła się. Wysoki Arab w białym burnusie i zawoju zbliża się, Agata krzyżuje ramiona na piersiach. Nie zna zamiarów syna pustyni. Wciąga nozdrzami zapach. Znajomy zapach. Jej usta wydają okrzyk:

— JFK!

— Głupie babsko — mruczy mężczyzna, obejmując jej gołe ramiona. — Mogłaś zginąć w czasie trzęsienia ziemi!

— Skąd się tu wzięłeś? Kiedy?

— Przyleciałem razem z tobą Cessna. W arabskim przebraniu, ze sztuczną brodą. To nie żarty, mała! Oni za wszelką cenę chcieli upiec dwie pieczenie: odkryć grób królowej, największe zwycięstwo współczesnej archeologii, sława i chwała dla nauki, ale także zdobyć diament.

— Wiedzieli, że go mam? Skąd? Przecież nawet ty...

Zdjął bawełniany zawój. Robiło się gorąco. I nie musiał już udawać syna pustyni.

— Zbyt szybko uciekłaś z Krakowa. — Jego palce gładzą z czułością rude pasma włosów sklezione piaskiem. — Na drugi dzień rozmawiałem z twoją matką. Bała się o ciebie. Powiedziałem jej, że grozi ci śmiertelne niebezpieczeństwo...

— Mama też nic nie wiedziała.

— Ale się domyśliła, że znalazłaś coś pomiędzy rzeczami w starej komodzie. Poleciałem samolotem do Warszawy...

— A twoja urocza kuzyneczka Lieselotte?

Skrzywił usta. Jego dłonie wciąż błędziły po jej szyi i ramionach. Jakby nie wierzył, że żyje, że ją wyrwał śmierci... ciemnym mocom.

— To ona wszystkim kierowała. Niepohamowane szaleństwo. Obsesja. Dla niej nie liczyło się ludzkie życie. Nawet mąż, profesor Tschudi, nie potrafił zapanować nad jej chciwością.

— Kazała zabić? Tamtych? Ona... nie Bilqis?

— Oczywiście, że ona. Wynajmowała przeróżnych zbirów. Obląkana z powodu kamienia. Profesor nie o wszystkim wiedział. Kochał ją. Nie domyślał się, dlaczego młoda i piękna wyszła za starca. Ale w Polsce popełniła błąd: zaufała nazwisku Keller. Skontaktowała się ze mną. Chciała układu: pół na pół. Wszystko już było zorganizowane. Mój lot do Kairu także. Za tobą.

— Myślisz, że dotrzymałaby słowa?

— Nigdy. Jest szalona, choć o tym nie wie. Nie odmówiłem. Bałem się o ciebie. Powiedziałem Lieselotte, że nie interesują mnie pieniądze, tylko prawa do książki. Jestem przede wszystkim reporterem.

— To koszmar.

— Nie. Z koszmara można się obudzić. Z klinicznej śmierci — nie. Bałem się o ciebie. Ona miała wszędzie swoich ludzi.

— W Polsce też?

Skinął głową.

— Cały czas czułem za sobą czyjeś oczy. Nie, nie jestem przewrażliwiony. Ale użyłem pewnych metod. Kuzyneczka jest skąpa. Podstawiłem jej cinkciarza z fałszywymi pieniędzmi. Jak się jest od lat w zawodzie, ma się przeróżne znajomości. Polscy celnicy zatrzymali Frau Keller-Tschudi w Warszawie na lotnisku. To wystarczyło, by odlecieć do Kairu bez jej towarzystwa.

— Jesteś niebezpiecznym facetem. Kiedy nauczyłeś się jeździć konno? Że nie wspomnę o wielbłądzie...

Roześmiał się. Jemeńczyk o twarzy i dłoniach w kolorze indygo przyniósł tygielek z kawą. Ustawił na niskim stoliku i zniknął niczym duch.

— Napij się. To ci dobrze zrobi. Przed nami długa podróż na północ. Niestety, samolot odleciał.

— Uznajesz teraz tylko pojazd napędzany trawą?

— I daktylami. Ale nie bój się. Nic nam nie grozi.

Spojrzała na swoje podrapane ramiona.

— Co właściwie... tam się stało?

Zmarszczył brwi. Wciąż gładził jej włosy, jakby dziękując tajemnym mocom za cudowne ocalenie.

— Z naukowego punktu widzenia... coś w rodzaju trzęsienia ziemi. To się zdarza pod tą szerokością geograficzną. Pustynia Śmierci... sama nazwa wskazuje, że działy się tu różne rzeczy. To nie jest, jak sądzą niektórzy, wielka piaskownica. Pod skałami, w głębinach płyną wody. *Panta rei* — wszystko płynie. I trzeszczy.

— A oni? Samantha? Aurelia, Jacques? Ludzie z archeologicznej stacji?

Potrząsnął głową.

— Stację zmiotło z powierzchni ziemi. Skały pochłonęły też grób królowej. Aurelia żyje, choć z obrażeniami głowy. Także fotograf i paru arabskich robotników z oazy. Po innych ślad zaginął. Pewnie będą ich szukać. Ale to już całkiem inna bajka.

— Oddałam jej *Malach Ha-Mavet*.

— To dobrze. Zbyt wielu ludzi zginęło w ciągu tysięcy lat. Diament przynosił tylko nieszczęścia. Dobrze, że zniknął w otchłani.

Przytuliła się do jego piersi.

— Powinnaś była wiedzieć, że to ty. Tam, w samolocie. Żaden Arab nie pachnie wodą *Egoiste*!



Dwa miesiące później siedziała na tarasie kawiarni *Alpenrose* w szwajcarskim kurorcie *Zermatt*.

— Znów ta cholerna mgła! Czy ja nigdy nie zobaczę świętej góry?

JFK w kostiumie narciarskim i błękitnych goglach podniósł z oparcia parę nart.

— Siedz, siedz, *madame Keller*. *Matterhorn* jest tak samo niepokorny jak ty. Macie ze sobą coś wspólnego. Wybacz, że cię porzucę, ale zaraz rusza moja kolejka na lodowiec. Muszę trochę pojeździć. Siedzenie przy maszynie nad książką oraz małżeńskie pożycie z tobą jest miłe, lecz okropnie rozleniwia!

Uśmiechnęła się. Ślub wzięli dwa tygodnie temu w Chamonix, po francuskiej stronie Alp. Nie zawiadomili nikogo. Tak było lepiej. Prasa światowa rozpisywała się o tragedii na pustyni, śmierci archeologów i kłątwie. Profesor Tschudi udzielał skąpych wywiadów. Snuto przeróżne przypuszczenia. Także o zemście Bilqis. Agata zmrużyła oczy. Ktoś przechodził obok stolika. Potracił go. Zobaczyła brązowy habit. Postać odwróciła głowę, dotknęła brunatnym piszczelem kaptura, odsunęła z piersi tkaninę. Tam, gdzie powinno bić ludzkie serce, pomiędzy nagimi kośćmi żeber pulsował błękitny diament.

I w tym momencie mgła rozsunała się. Z oddali, w całej olśniewającej postaci wychynął błyszczący lodem Matterhorn.

Święta góra.

Agata zamknęła powieki. Gdy je po minucie otwarła, na tarasie nie było nikogo. Za to na blacie stolika leżały trzy duże kamienie szmaragdowe. Takie same jak kolor jej oczu.